

KONKRETY

nr 51
52



Rok III (nr 136) 20 grudnia 1974 r. cena 4 zł



Fot. KRZYSZTOF RACZKOWIAN

KONKRETY roku 1974

STYCZEN

Trzecie miejsce w ogólnopolskim konkursie ZZG na najlepszy zakład górniczy w zakresie kultury i higieny pracy zdobyły ZG „Polkowice”.

W HM „Głogów” ruszył trzeci piec onodowy.

W Legnicy rozpoczął działalność wchodzący w skład dyrekcji KBO w Lubinie Zakład Budownictwa Ogólnego.

Poznańskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych oddało do użytku nową obwodnicę w Polkowicach likwidującą dotychczasowy kłopotliwy przejazd przez miasto.

26 I w SM „Nadodrze” przekazano lokatorom pierwszy blok zbudowany w ramach budownictwa patronackiego ZMS. Zamieszkały w nim 53 rodziny.

LUTY

Mieszkańcy Głogowa otrzymali nową przychodnię zdrowia. Koszt inwestycji 10 mln zł.

W Lubinie rozpoczęła działalność filia Operetki Dolnośląskiej. Sezon zainaugurowano komedią muzyczną „Oplekun mojej żony” Feydeau.

Nagrody m. Legnicy za r. 1973 przyznano Franciszkowi Szymkowiakowi, Józefowi Szajdzie i Tadeuszowi Kaletynowi.

Urząd Powiatowy w Lubinie zaproponował opracowanie projektu humanizacji przestrzeni miejskiej prof. Oskarowi Hansenowi i Zakładowi Doświadczalnemu ASP w Warszawie.

8 II wręczono w Technikum Samochodowym w Legnicy dyplomy i świadectwa dojrzałości 41 absolwentom Technikum Mechanicznego dla Przewodzących Robotników.

W pierwszym plebiscycie „Konkretów” na najlepszego sportowca i trenera zagłębia miedziowego zwyciężyli Ryszard Tomczyk (BKS) i Kazimierz Paździor (Zagłębie).

Ekipy PBMPC dokonały przesunięcia gotowej konstrukcji nadszypia w ZG „Rudna”. Była to 26 operacja przesunięcia obiektów powierzchniowych pod kierunkiem inż. Wacława Minty.

Klasa robotnicza zagłębia wzmocnionym wysiłkiem produkcyjnym odpowiada na apel partii przedstawiony na XIII plenum KC PZPR.

MARZEC

Minister oświaty i szkolnictwa wyższego odznaczył medalem Komisji Edukacji Narodowej Szkołę Podstawową nr 8 w Bolesławcu, dyrekcję KGHM, NZPO „Rokita”, oddział PKS w Legnicy.

Ekspertyza KW PZPR z I sekretarzem Ludwikiem Droidem spotkała się 28 III w Lubinie z okazji zbliżającego się jubileuszu 30-lecia z przodującymi ludźmi pracy Dolnego Śląska.

W HM „Głogów” ruszyła przed terminem czwarta nitka brykietowni.

Operatorzy wozu dostawczego nr 36 w ZG „Lubin” ustanowili rekord eksploatacji maszyn — 8538 godzin bez wymiany części.

HM „Legnica” jako pierwsza w województwie postanowiła wpłynąć dewizowe uzyskane z dodatkowej produkcji przeznaczyć na zakup urządzeń dla Dolnośląskiego Centrum Elektronicznych Badań Diagnostycznych.

W Złotoryi na siedem m-cy przed terminem oddano do eksploatacji nową wyłęgarnię drobiu. Jej roczna produkcja — 7 mln kurcząt.

KWIECIEŃ

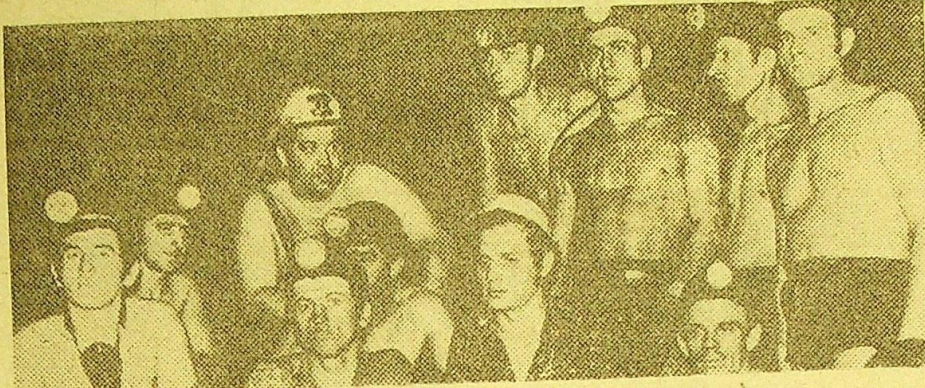
We współzawodnictwie zakładów KGHM w r. 1973 zwyciężyły ZG „Konrad” i Zakład Doświadczalny „Cuprum”.

W Głogowie wmurowano 11 IV akt erekcyjny pod budowę HM „Głogów II”. Inwestycja pochłonie 5,5 mld zł. Cykl budowy 49 m-cy budowlani zapowiedzieli skrócić do 36 miesięcy.

21 IV — niedziela czynu społecznego mieszkańców zagłębia miedziowego.

21 IV otwarto w Głogowie pierwszą linię komunikacji miejskiej.

Górnicy ZG „Polkowice” trzy razy w miesiącu kwietniu ustanawiali dobowe rekordy wydobywania. 2 IV na polu zach. osiągnięto 1164 wozy rudy, 23 IV na polu wschodnim 1201 wozów, 29 IV — załoga oddziału G-14 wydobyła aż 1343 wozy!



Fot. Tadeusz Matkowski

Organizacja zakładowa PZPR przy ZG „Lubin” otrzymała sztandar ufundowany przez KC PZPR.

13 IV ukazał się setny numer „Konkretów”.

MAJ

1 Maja w HM „Głogów” nastąpił ruch drugiej hali produkcyjnej na Wydziale Elektrodzielnictwa.

Niedziela 14 maja była dniem powszechnego czynu partyjnego dla uczczenia jubileuszu PRL. Wykonano szereg konkretnych i niezbędnych dla gospodarki narodowej prac.

Dzień Hutnika. W Legnicy święto to zbiegło się z jubileuszem XX-lecia zakładu. W Głogowie tradycyjnie „Miedzianki” (11—19 V), a w ich programie wytop żelaza w dymarkach i próżnię kamienia miedziowego.

17 V — Głogów miejscem ogólnopolskiej konferencji na temat integracji społecznej w nowych osiedlach mieszkaniowych.

Pierwsza wystawa zbiorowa plastyków, członków ZPAP oddziału „Zagłębie Miedziowe” w Legnicy.

8 V powrócił z ZSRR pierwszy młodzieżowy pociąg przyjaźni zagłębia miedziowego. Trasa wiodła do Moskwy i Leningradu.

25 V — Festyn Prasowy „Konkretów”. Wręczenie pierwszych dyplomów i nadanie honorowych tytułów „Człowiek konkretnej roboty”.

We wsi Łazy w powiecie Wołów odkryto cmentarzysko prasłowiańskie z V—IV w. p.n.e.

Załoga PBKRM zameldowała o połączeniu pod ziemią kopalń „Polkowice” (upadkowej nr 11) i „Rudna” (szyb R-3) i wyprzedzeniu harmonogramu prac o półtora miesiąca.

25 V—2 VI — pierwsze Dni Polkowic.

Siołmy turniej chórów „Legnica Cantat” stanowią przegląd dorobku laureatów dotychczasowych przeglądów.

CZERWIEC

Wystawę dorobku 30-lecia powiatu otwarto w Bolesławcu.

W miastach zagłębia odbywały się powiatowe zloty młodych przodowników pracy i nauki. Imponujący zlot dwóch pokoleń — kombatanów i młodzieży miał miejsce 15 VI w Lubinie.

Załoga WZCW w Wojcieszowie zdobyła sztandar przechodni ministra budownictwa i materiałów budowlanych oraz ZG ZZB i zajęła I miejsce w współzawodnictwie swej branży w r. 1973.

LIPIEC

Miesiąc upłynął w atmosferze przygotowań i obchodu jubileuszu 30-lecia PRL.

1 lipca załogi PBKRM, PBMPC, PMUE i „Delta-Hydra” zameldowały o oddaniu do wstępnej eksploatacji ZG „Rudna”. Rekordowy cykl budowy tej najnowocześniejszej kopalni zagłębia trwał cztery lata!

17 VII przyjechali do zagłębia miedziowego I sekretarz KC partii Edward Gierk, sekretarz KC Jerzy Łukaszewicz oraz wicepremierzy Mieczysław Jagielski i Jan Mitręga. Budowlani i hutnicy w Głogowie na ręce I sekretarza KC złożyli meldunek o przedterminowym zakończeniu budowy drugiego etapu HM „Głogów I”. W „Rudnej” Edward Gierk dokonał oficjalnego otwarcia zakładu. Wysokie odznaczenia państwowe otrzymało 60 budowniczych polskiej miedzi.

Na wniosek KC PZPR Rada Państwa odznaczyła Orderem Sztandaru Pracy I klasy ZG „Konrad” w lwinach i NZPO „Rokita” w Brzegu Dolnym.

W ogólnopolskim konkursie na naj-

Jubileusz 30-lecia MO i SB. Odsłonięta pamiątkowych tablic w Głogowie i Legnicy.

W nowoczesnej wytwórni nici syntetycznych w Nowej Soli wyprodukowano 1000 tonę nici i skrócono doświadczenia zakładu do pełnej zdolności produkcyjnej o sześć miesięcy.

16 X w HM „Głogów” nastąpiło oberwanie dachu. W katastrofie zginęło 10 osób.

20 X w Bolesławcu odbył się wojewódzki finał konkursu „Złota Wiecha”.

Technikum Budowlane w Legnicy zajęło I miejsce w kraju w konkursie bhp.

21 X legnicki PBRol wykonał poczyn plan robót montażowych.

25 X — PBMPC zameldowało o wykonaniu zadań roku 1974, a 5 XI o realizacji o 14 m-cy wcześniej planu pięcioletniego.

W ogólnopolskim konkursie „Klub otwartych drzwi” Technikum Ekonomiczne w Brzegu Dolnym zajęło czołowe miejsce w kraju.

29 X zmarł w Warszawie odkrywca złóż wielkiej polskiej miedzi doc. dr inż. Jan Wyżykowski.

Powołano do życia Młodzieżową Radę Koordynacyjną FSZMP zagłębia miedziowego.

LISTOPAD

57 rocznica Wielkiego Października. W dowództwie PGWAR przedstawiciele władz Dolnego Śląska i delegacje z powiatów zagłębia miedziowego złożyły życzenia i pozdrowienia.

„Sensacja piłkarska roku. Zagłębie Lubin wyeliminowało z rozgrywek o puchar Polski wielokrotnego zdobywcę tego trofeum „Ruch” Chorzów. 20 XI w pojedynku z Górnikiem Zabrze musiało jednak uznać wyższość przeciwnika.

5 XI w HM „Głogów” zakończono odbudowę zniszczonej hali pieców szlacheckich.

Komsomolcy i ZMS-owcy zasadzili w Legnicy przy chłodni składowej aleję drzew — nazwaną Aleją Przyjaźni.

13 XI — Lubuskie BBP w Nowej Soli, główny wykonawca HM „Głogów”, zameldowało o wykonaniu planu roku.

14 XI — meldunek o realizacji zadań r. 1974 złożył na ręce I sekretarza KW Ludwika Droida delegaci DPBP.

15 XI — Załoga SOWI, a 16 XI — ZREM KGHM wykonywały plany produkcyjne roku.

Wiceminister kultury i sztuki Tadeusz Kaczmarek i przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR Tadeusz Kielan, omawiali z gospodarzami Lubina rozbudowę DFIL i nowego zakładu poligraficznego. Goście odwiedzili również naszą redakcję.

28 XI w numerze 48 „Konkretów” ukazała się z okazji Barbaruki pierwsza kolorowa wkładka „Konkrety” — górnikom. Drukowana w DSP w Warszawie.

Rozpoczęła się kampania sprawozdawczo-wyborcza w zakładach organizacjach partyjnych. W konferencji w NZPO „Rokita” uczestniczył I sekretarz KW PZPR Ludwik Droid.

GRUDZIEŃ

Barburka-74. 2 XII przybyli do zagłębia miedziowego I sekretarz KC PZPR Edward Gierk i premier Piotr Jaroszewicz. Przywódcy partii i rządu zwiedzili ZG „Polkowice” i ZG „Rudna” oraz spotkali się z przodującymi górnikami. Delegacje górników złożyły meldunek o wykonaniu zadań produkcyjnych.

Minister obrony narodowej gen. armii Wojciech Jaruzelski 4 XII dokonał uroczystego odznaczenia ZG „Konrad” Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Komisja rządowa d/s LGOM podsumowała wyniki r. 1974 oraz określiła zadania na najbliższy rok. Zakłada się m. in. rozpoczęcie budowy ZG „Sieroszowice” i walcowni w Orsku oraz przyspieszenie budowy HM „Głogów II”.

W drugim barburkowym plebiscycie „Konkretów”, rozgłosni Wrocławskiej Polskiego Radia i Zw. Zaw. KGHM zwyciężył górnik przodowy Jan Jankowski z PBKRM.

W ogólnopolskim konkursie usprawnienia gospodarki materiałowej I miejsce, tytuł przedsiębiorstwa najlepszej gospodarności za okres 1973—74 zdobyły ZG „Lubin”.

Numer zamknęto 15 grudnia



Redaguje zespół w składzie: Zygmunt Łuszcz, Stanisław Małeki, Jan Mazur, Czesław Pańczuk (opracowanie graficzne), Stanisław Pelczar, Ryszard Pollak (redaktor naczelny), Elżbieta Pomorska (redaktor techniczny), Krzysztof Raczkowiak (fotoreporter), Tadeusz Rollauer (sekretarz redakcji), Maria Samborska (zastępca sekretarza redakcji). Adres redakcji 59-300 Lubin, ul. Armii Czerwonej 4/4. Telefony: sekretariat redaktora naczelnego — 42-260, sekretarz redakcji — 42-870, publicysty i administracja — 42-370.

Wydawca — Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega się również prawo skracania materiałów niezamówionych. Ogłoszenia drobne dotyczące kupna, sprzedaży lub zamiany mieszkań itp., przyjmowane są codziennie w godzinach pracy redakcji w Lubinie (ul. Armii Czerwonej 4/4), w Legnicy (Rynek 51, tel. 241-46).

WARUNKI PRENUMERATY: cena prenumeraty krajowej rocznie 104 zł, półrocznie 52 zł, kwartalnie 26 zł. Prenumeraty przyjmowane są od dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe, oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Pozostałe — mające siedzibę w wsi lub w innych województwach w miejscowościach, w których nie ma oddziałów i delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych. Prenumeratę dla zagranicy przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto nr 1-8 1000024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40 proc.

P-5 Nr indeksu: 36479

CZŁOWIEK KONKRETNEJ ROBOTY ROKU 1974

— ten honorowy tytuł,
z inicjatywy własnej i upoważnienia społecznego
redakcja

Ilustrowanego Tygodnika Zagłębia Miedziowego
„KONKRETY”
ma zaszczyt przyznać:

ZOFII BAGIŃSKIEJ

obuwnicze Złotoryjskich Zakładów Obuwia w Złotoryi;

ZBIGNIEWOWI BIAŁKOWI

kierownikowi budowy Kombinatoru Budownictwa Ogólnego w
Lublinie;

JÓZEFIE BORKOWSKIEJ

pracownicy Bolesławieckiej Fabryki Fiolek i Amputek w Bo-
lesławcu;

HENRYKOWI DERENOWSKIEMU

ślusarzowi Głogowskiej Fabryki Maszyn Budowlanych „Fa-
maba” w Głogowie;

KAROLOWI DOBOSZOWI

instruktorowi strzelniczemu Zakładów Górniczych „Polkowi-
ce” w Polkowicach;

PIOTROWI MAĆKOWOWI

głównemu inżynierowi do spraw energo-maszynowych Za-
kładów Górniczych „Lubin” w Lubinie;

TADEUSZOWI PIETRZYKOWI

kierownikowi Zakładu Produkcji Urządzeń Elektrycznych
Przedsiębiorstwa Budowlano-Montażowego Przemysłu Ciężkie-
go w Lubinie;

CZESŁAWIE CZESZEJKO-SOCHACKIEJ

szwaczce Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Milana” w
Legnicy;

JANOWI TURAJSKIEMU

ślusarzowi Huty Miedzi „Legnica” w Legnicy;

KAZIMIERZOWI WOJNIŁOWICZOWI

głównemu technologowi Jaworskich Zakładów Chemii Go-
spodarczej „Pollena” w Jaworze.

ZA NAMI pracowity
rok. Jak kraj długi
i szeroki wszyscy
teraz liczą... Przez
ostatnie tygodnie
nieustannie napływały mel-
dunki o wykonaniu rocznych
planów przez poszczególne
zakłady. W cytowanych teraz
liczbach, procentach kryje się
zbiorowy wysiłek ludzi pracy.

Jest więc czas liczenia efek-
tów tego wysiłku. Ale jest
również czas na osobistą re-
fleksję. Takich rozrachunków
można dokonywać w mniej-
szej skali. Jest sposobność,
aby uważnie rozejrzeć się we
własnym otoczeniu, w rodzin-
nym domu... Dokonać bilansu
własnych, osobistych osią-
gnięć.

Przecież w owym wielkim, zbio-
rowym wysiłku dość miejsca na
nasze osobiste sukcesy. Pasją i
twórcze działanie poszczególnych
ludzi są podstawą społecznych
sukcesów. To również one, obok
przemysłowej polityki gospodar-
czej, nadają naszym osiągnięciom
znamiona niespotykanego dynamiz-
mu.

Redakcja „Konkretów” już po-
raz drugi przyznaje dziesięć hono-
rowych tytułów: „CZŁOWIEK
KONKRETNEJ ROBOTY”. Chcemy
usatysfakcjonować ludzi, któ-
rzy wyróżniają się na swoim sta-
nowisku pracy właściwie pojętym
zdyscyplinowaniem, pasją tworze-
nia i poszukiwania coraz lepszych
rozwiązań. Chcemy wyróżniać lu-
dzi, którzy zdobyli sobie autory-
tet u swoich przełożonych, pod-
władnych i kolegów konkretną ro-
botą wykonywaną solidnie, uczci-
wie, w sposób budzący szacunek.

Nikt z laureatów nie dokonał
cudów. Wszyscy mówią o swojej
pracy ze skromnością. Dziesięciu
laureatów, dziesięć różnych zakła-
dów pracy. Inne stanowiska, za-
wody. Różne efekty pracy. A prze-
cież jest coś wspólnego, co tych
ludzi łączy.

Zofia Bagińska — pracowitość,
dzięki temu określeniu zdobyła
sobie uznanie w zakładzie. Praco-
witość i uznanie złożyły się na
autorytet. Z autorytetem można
już angażować się we wszystkie
sprawy zakładu, załogi. To samo
można powiedzieć o Józefie Bor-
kowskiej z Bolesławca, o Henryku
Derenowskim z Głogowa, o Cze-
sławie Czeszejko-Sochackiej z
Legnicy, o Janie Turajskim z leg-
nickiej huty. Rzecz znamienna, że
każdy z nich po wyczerpującej
pracy, do której wkłada wiele
serca i energii znajduje jeszcze
czas na pracę społeczną. A prze-
cież nie są ludźmi dysponującymi
„specjalnym czasem”. Po dwu-
dziestu czterech godzinach w ich
życiu również przewraca się kart-
ka kalendarza.

Karol Dobosz, świetny górnik,
zawodowe kwalifikacje zdobywał
w „Lenie” i „Polkowicach”; nie
ogranicza się jednak do przypisa-
nych „umową o pracę” obowią-
zków. Interesuje się wdrażaniem
nowych systemów wydobywczych.
Na liście laureatów Nagrody Pań-
stwowej I stopnia za rok 1972 je-
go nazwisko — instruktora strzel-
niczego — figuruje obok lumina-

ry nauki i techniki. Oto możli-
wości pracownitego człowieka. Ka-
zimierz Wojniłowicz — pionier
tych ziem — oprócz przepełnionej
walką i pracą biografii legitymu-
je się dziewięcioma wynalazkami,
których jest autorem i współauto-
rem. Dwa spośród nich zostały o-
patentowane za granicą. Efekty
racjonalizatorskiej pracy — ponad
dziesięć milionów złotych. Tade-
usz Pietrzyk, z wykształcenia tech-
nik elektryk, obok nawalu pracy
znalazł dość czasu, aby zgłosić już
jedenaście wniosków racjonaliza-
torskich — milionowe oszczędnoś-
ci. A przecież jeszcze angażuje się
w prace Polskiego Czerwonego
Krzyża — jest wyróżniającym się
aktywistą tej organizacji.

O Piotrze Maćkowie pisaliśmy
w poprzednim numerze naszego
tygodnika. Podziwu godna praco-
witość i troskliwość o losy zakła-
du pracy. Nowoczesność w działa-
niu, wielka wiedza w sposób rze-
czowy wykorzystywana na co
dzień.

Ludzie konkretnej roboty spraw-
dzają się wszędzie, w każdych
okolicznościach. Warto się powo-
łać na postać Zbigniewa Białka.
Kieruje niemal zawsze budowami
o specjalnym znaczeniu. Pierwsza
w powiecie lubińskim szkoła „Ty-
ślęcica”, dwie przychodnie zdro-
wia, Dom Kultury Zagłębia Mie-
dziowego, dworzec PKS, szpital
powiatowy... Sięgnijmy do pożył-
kich wycinków prasowych.
Wszystkie te budowy oddawane
były przed ustalonymi terminami.
Ostatni wyczyn: skrócenie cyklu
budowy szpitala o siedemnaście
miesięcy...

Pracują w różnych miejscach
zagłębia i na różnych stanowis-
kach. Zawsze i wszędzie cechuje
ich rzetelność, pracowitość i za-
angażowanie w to co robią.

W imieniu Czytelników
„Konkretów” składamy Im
serdeczne gratulacje i prze-
kazujemy wyrazy najwyższego
uznania. Widzimy w Nich jed-
nocześnie reprezentantów
tych pracowników zagłębia,
którzy dokonują bilansu 1974
roku z poczuciem dobrze
spełnionego obowiązku.

Uroczystość wręczenia dyplomów
odbędzie się w styczniu 1975 roku.



REPORTAŻ

Za „Beżowe tapety w srebrny wzorek” Hanna Krall otrzymała I nagrodę w ogólnopolskim konkursie zorganizowanym pod patronatem Kombinatoru Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie.

WSZYSTKO już w życiu mam, o mieszkaniu marzyłem — mam, o meblach marzyłem — mam, tak mi się w życiu powiodło.

Te meble zobaczyłem u mojego sztygara. Później szukałem dokładnie takich — i znalazłem: stół, krzesła, serwantkę, wersalkę i dwa fotele, łącznie za dwadzieścia pięć. Jak chodzi o ścisłość, to sztygar foteli i wersalki nie miał, tak że ja mam jeszcze więcej niż on, o dwa fotele jestem do przodu.

No tak, i o wersalkę. Telewizor jest za dziewięć i pół. Gdybym poczekał do grudnia to bym zapłacił siedem. A lodówka była za siedem, gdybym poczekał to bym ją kupił za sześć sto. Ale już trudno.

W chodzące rzeczy też żeśmy się obkupili.

Pokaż no futro.

No pokaż, możesz pokazać.

(— Oj — ej, tatuś)

To są nutrie. Do tego jeszcze góra dochodzi.

Czapka, polarny lis.

I sukienki. Pokaż sukienkę.

(— No, co ty tatuś...)

Pokaż. Tą niebieską.

To jest góra. A do tego jeszcze dochodzi dół. Z pociągami przyjaźni jak byłem kupiłem ten pierścionek, próba siedemset pięćdziesiąt, ale zaw sze.

Na pierwszą zmianę wychodzi się dwadzieścia po piątej, dziesięć przed szóstą jest się w pracy, przebiera się, zmienia się ze zmianą i czyta raport. Potem trzeba posłuchać jak maszyna pracuje,

czy nie ma stuku, potem obchód i jak się chce to się robotę zawsze znajdzie.

Silnik się nieraz spali to wtedy trzeba pomyśleć co zrobić albo, powiedzmy, jest zanik wysokiego napięcia, ale to też nic strasznego, bo nie ma a za chwilę jest, tylko trzeba pamiętać o kolejności załączania, no i tak to mija, o czternastej trzydzieści jest autobus, w domu — obiad, no i telewizor. To szczęście że ten telewizor jest,

(— i książki, tatuś, czytasz też książki),

i książki, oczywiście,

(„Kochanie Francuza” zacząłeś przeglądać, ale spodziewałeś się czegoś więcej po tytule, prawda tatuś? A to o jakiejś kobiecie, którą zaniedbują), zaniedbana kobieta i tyle, nic ciekawego. Po tem dobranoc. Najlepiej jak jest Bolek i Lolek. No a jak piłka — to już dzień jest cały weselszy.

Na drugą zmianę robiąc to rano jest się w domu, a wychodzi się o trzynastej dwadzieścia, druga zmiana jest nawet lepsza, bo mniej pracy, ale znów opuszcza się telewizję, więc jednak pierwsza jest lepsza, choć szum.

Tak, że wszystko co w życiu chciałem mieć to osiągnąłem, awarii nie ma, bumelek nie ma, w pracy wywiązuję się, całą pensję kładziemy w jedno miejsce, na półkę, do kredensu, w przyszłości jeszcze tylko fiacik i już,

fiacik i już,

(No i magnetofon, tatuś, zapomniałeś powiedzieć, że magnetofon).

KIELISZKI i karafka, karafka w kształcie dużej złotej ryby, a kieliszki w kształcie małych złotych rybek wszystko z pociągu przyjaźni. owoce sztuczne też na kredensie, to z NRD, między nakręcanym misiem na serwantce a palemką na telewizorze — list pochwalny z okazji święta górniczego, ale to jeszcze wszystko nie to, bo jedna koleżanka kupiła tapety, cudowny, cudowny wzór, na beżowym tle takie jakby srebrne i brązowe wzorki, a na górze bladezielony szlaczek,

on tu ma siedem tysięcy jako górnik strzałowy, a ona, pielęgniarzka, dwa,

ostatnio przyszły kożuchy po piętnaście tysięcy, bułgarskie, była akurat u dentystki i siedziała w fotelu — usłyszała jak laborantka mówi z kimś przez telefon, że świeża plomba pobiegła — skąd ani śladu, no coś strasznego, dosłownie w pół godziny nie ma nic, a ona reflektowałaaby, jak najbardziej.

Kobiety to naprawdę ładnie się ubierają, tu teraz jest moda na bistor — coś podobnego do krempliny,

ale nie kremplina, wylapują i na garnitury i na suknie i dla dzieci,

z dziećmi wszyscy chodzą po pracy na spacer, tak przyjęło się, i ojcowie i matki, ale ojcowie częściej, spotyka się znajomych więc te dzieci są porządnie ubrane i w porządnym wózkach, były wózki po siedem i pół, niemieckie, taki jakby zamsz po bokach, ale to nie zamsz, a mniejszy za pięć czterysta, więc w takim wózku za siedem albo za pięć widzi się dzieci w bistorze, no niech będzie nawet ten bistor po pięćset złotych metr, to te półtora metra wyjdzie na sukieneczkę...

Matka zmarła jak miałem sześć lat, a ojciec jak pół roku, zostaliśmy sami w piątkę, siostra miała wtedy siedemnaście lat i wychowała nas wszystkich. Chleba nie było a nie żeby coś innego miało być, gdzie tam. A jak już był chleb to kombinowany, siostra miała znajomość w młynie, dostawała trochę mąki i do otręb tę mąkę się dodawało,

nas była piątka i jeszcze szwagier, dwoje dzieci siostry i ciotka, razem dziesięć osób w jednym pokoju trzy na pięć, zacząłem pracować jak miałem czternaście lat, a dziesięć lat łopatą robiłem zanim zostałem górnikiem. A dzisiaj zostają górnika po dwóch, trzech latach, i już pięć tysięcy, i sześć tysięcy, i już mieszkanie, i wszystko.

nieraz sztygar prosi ich, zostanmy dwadzieścia minut dłużej poedrować, to nie, nie zostanie.

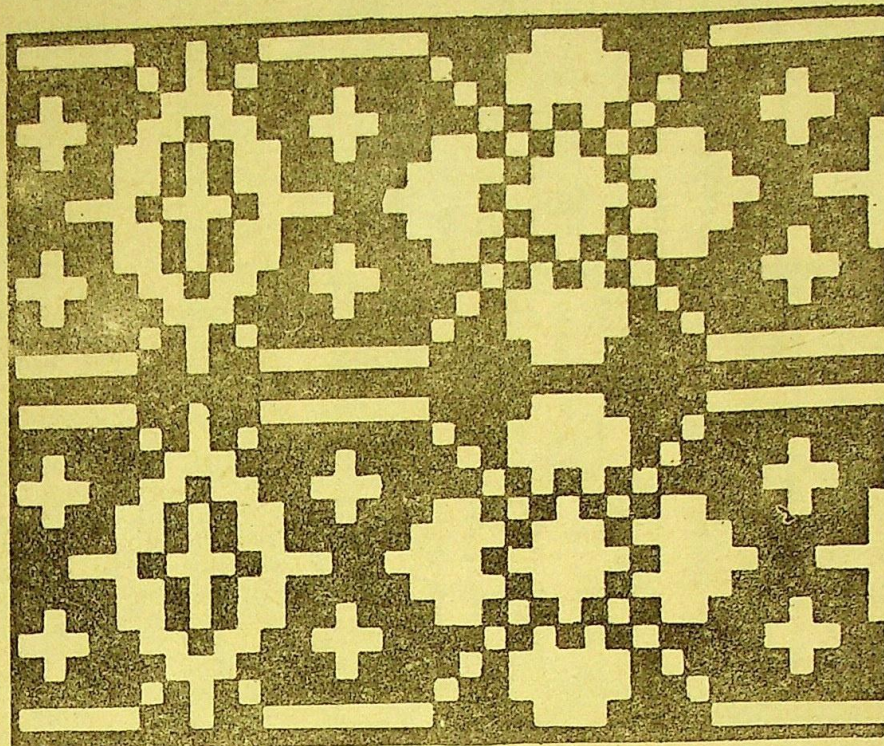
ludzie tacy chciwi są nieuzyczliwi tacy, wszystko od razu chcą mieć, wszystko co inni, meble nie meble, samochód nie samochód, teraz nastala moda telefonów, to wszyscy telefon, słucham tych rozmów na kopalni i jak mam to nazwać — chytróść taka czy moda?

Ja jeżdżę na urlop do siostry do tej co wychowała mnie, na wieś (wieś Relec Wielki koło miasteczka Lubraniec) bo muszę jej choć skosić we żniwa za to co zrobiła dla nas,

dlatego mnie właśnie wybrano bohaterem roku — nie wiem, naprawdę nie mam pojęcia, wydajność wzrasta, a wypadkowość spada to fakt, ale żeby zaraz aż telewizja...

Ci panowie z telewizji obejrżeli najpierw dom i mnie a potem kazali nakryć do stołu. Nakryłam i mówią, żebyśmy rozmawiali swobodnie przy obiedzie o tym co zwykle. Na przykład — co zamierzamy kupić. Mówię tym panom — my wcale nie rozmawiamy zwykle o tym i nic nie zamierzamy kupić bo jest troje dorosłych dzieci w domu i trzeba dla nich odłożyć trochę grosza. To nic, mówią

HANNA KRALL



BEŻOWE TAPETY W SREBRNY WZOREK



...A u nas w „Lutni” o siódmej już zamknięte, nie ma miejsc... Fot. Krzysztof Raczowski

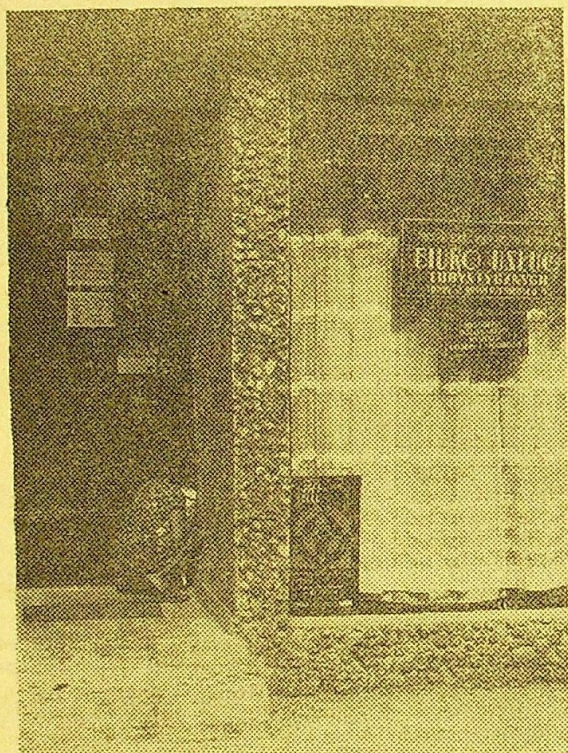


el panowie, nie szkodzi. Możecie dzisiaj porozmawiać. Daję mężowi zupę – tylko zupę, bez drugiego, bo ten pan tak kazał, i mówi do męża – teraz proszę zapytać żonę „co to, tylko zupa dzisiaj?” – więc mąż pyta – „co to, tylko zupa dzisiaj?” – a pani odpowie na to – „zbierasz na samochód, więc mięsa nie będziesz dziś jadł”. – No, wie pan – mówię – przecież wcale nie zbiera na samochód. – To nic ale tak będzie dobrze. A jeszcze synom kazał się przebrać do obiadu w garnitur, specjalnie ich z roboty ściągnął...

Nie miałem pojęcia, że z ojca jakiś bohater roku jest czy coś, ojciec nic nie mówił, aż tu raz przychodzi do mnie do pracy jakiś gość i mówi – przebierz się pan bo będziemy u was w domu kręcić. – A bo co – pytam. – Bo ma pan ojca bohatera roku w zagłębiu miedziowym. I dopiero jak koledy zobaczyli mnie w telewizorze i o niczym innym nie mówilo się w pracy na drugi dzień – zrozumiałem, że ojciec czymś tam naprawdę został. Ja jestem ślusarzem.

Jak się żyje?

A tak: w Bielawie, jak się chce wejść do lokalu, to jeszcze i o dziesiątej wieczór miejsca są i do tego po trzy, cztery dziewczyny siedzą przy jednym stoliku, można się przysiąść. A nas, w „Lutni” o siódmej już zamknięte, nie ma miejsc, są dwie wolne dziewczyny na całą salę, a w dodatku z nie-górnikiem nawet zatańczyć nie chcą. Dla nich chłopak zaczyna się od pięciu tysięcy.



Moim największym marzeniem jest pojechać do Grecji.
Fot. Krzysztof Raczkowiak

MIAŁEM na wydziale gościa: czterdzieści pięć lat, z Kłodawy. Wynajął pokój jednemu lekarzowi. Lekarz tak z nimi mieszkał, mieszkał, aż jednego dnia ten nasz gość przychodzi do pracy szary na twarzy. Co? Żona go do domu nie wpuszcila. Zostaje, mówi, z panem doktorem. Załatwiliśmy zaraz temu koledze miejsce w naszym hotelu, ale życia on już miał nie będzie. Do czego zmierzam? Że u nas, jak już rozwód jest, to z winy kobiety. Rzadko żeby mąż podskoczył. Górnik pracuje ciężko, wraca zmęczony, a jeszcze się cieszy że w oacie wrócił. bo tu są ludzie z różnych stron, nie nawykli do kopalni, jeden jest mleczarz, inny piekarz albo szewc więc jeszcze się tej

kopalni boją. I nie ma co się dziwić. Więc jak wraca – cieszy się, że jest ten dom, żona – ta atmosfera, to wszystko, lubi aby tylko odpocząć, z dzieckiem wyjść, i żadne głupstwa mu nie są w głowie.

A żony – pracują, więc mają i swoją pensję i męża, ubiorą się, kobiet tu mało, a dużo górników w hotelach. Żony górników są uczzone: księgowe, nauczycielki, po maturze wszystko. Wszystkie prawie nauczycielki mają mężów górników, a zresztą od razu poznać, które mają a które nie mają, wystarczy popatrzeć jak są ubrane.

ZROBIŁEM przed naszym wydziałem rabaty tulipanów i róż i jak ktoś ważny na kopalnię przyjedzie zaczynają zwiedzanie od nas. Koledzy z innych wydziałów dzwonią – trzymaj ich, Ludwik, jak najdłużej, bo my jeszcze nie pozamiatali. I kiedy już moim rabatom napatrzą się to te wrażenia im potem pozostają i na resztę kopalni.

My z żoną bardzo lubimy kwiaty, przyrodę, chodzimy po pracy w pole i w las, a z ludźmi się nie stowarzyszymy, bo jesteśmy ostrożni. Z naszych stron nie ma nikogo, a inni się rodzinami trzymają. Jeden popracuje rok, przychodzi – panie kierowniku, czy miałby pan miejsce dla brata. Brat zjeżdża, prosi o miejsce dla szwagra żony – i potem wszyscy mieszkają obok siebie, weźmy od nas, taką Wójtowicz: ona na 11 Lutego, zaraz obok dwaj bracia, na Osiedlu Staszica – siostra. Niektórzy, jak przydziela się mieszkania, zaraz proszą, żeby koło siebie im dać i na dole mieszka ojciec na piętrze syn, w końcu – pół wieżowca to – powiedzmy, Ziębice a drugie pół Bolków. Później jeden patrzy na drugiego – szwagier zapisał się na meble segmentowe to i on się zapisuje, on jest dwusetny na liście na samochód. to i kuzyn się zgłasza...

Zrobiliśmy aukcję – sprzedaż obrazów malarzy z naszego województwa. Trzy obrazy kupił wydział kultury, prywatnie kupiono jeden obraz, a sto dziewięćdziesiąt sześć wróciło do Wrocławia.

Był u nas zespół grecki i śpiewał piosenkę o Akropolis. Pięknie śpiewał. Moim największym marzeniem jest pojechać do Grecji. Bardzo lubię rzeźbę. Byłem kiedyś w szkole Kenara, z Hasiorem w jednej klasie.

Nawet miałbym na tę Grecję pieniądze, ale byłoby głupio: tracić ot, tak na wycieczkę. Co innego – mój kolega, który był w Egipcie: coś kupił, coś sprzedał i wszystko mu się zwróciło. To – tak to każdy rozumie. Ale – nic nie kupić i wydać na oglądanie tylko? Patrzyliby na mnie jak na wariata. Nie mogę narażać się na śmieszność bo przecież żyję w tym naszym świecie, a u nas jest świat mały.

INTERESUJE mnie ich model życia, ależ żywo interesuje. Ten model może mieć wpływ na wydobywanie miedzi!

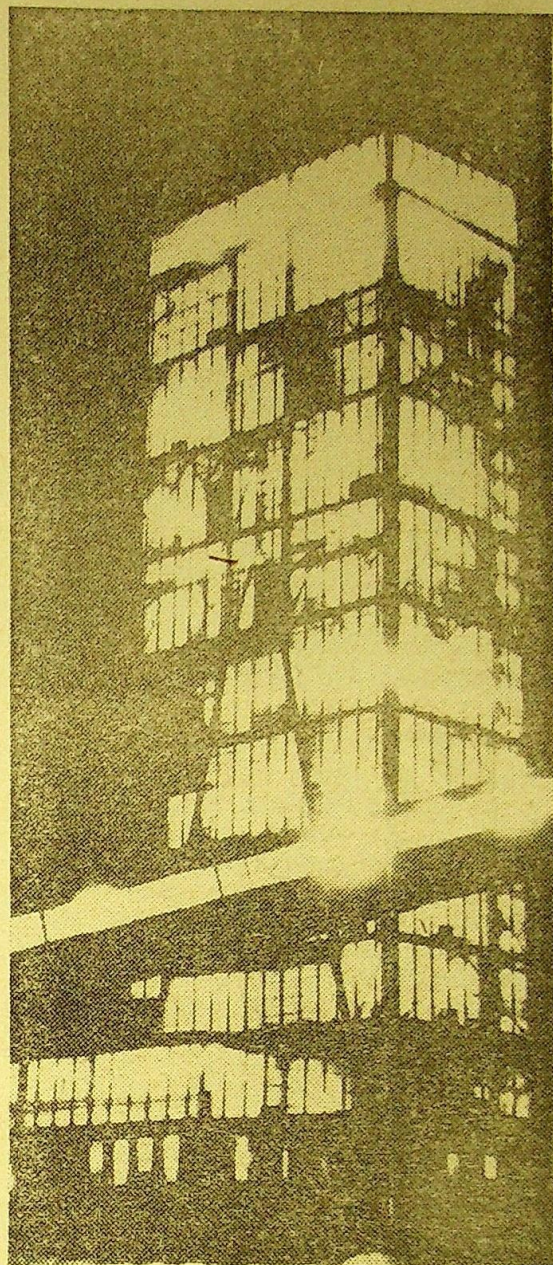
Jako dyrektor bardzo bym chciał, żeby jeździli do Grecji: wierzę, że człowiek, który spędza w Grecji urlop nie zniszczy mi potem brutalnie maszyn.

My mamy maszyny po trzy, po pięć milionów, jest ich dwadzieścia pięćdziesiąt w kopalni i od sposobu eksploatacji zależy obecnie koszt wydobycia miedzi.

Zauważyliśmy, że ta eksploatacja zależy od cech charakteru człowieka.

Nie od jego kwalifikacji, wcale nie, bo obsługiwać maszynę on potrafi, tylko – od charakteru właśnie.

Od stycznia eksploatacja maszyn oparta jest u nas na przetwarzaniu informacji przez komputer i wybieraniu optymalnych rozwiązań, które nam maszyna podsuwa. Komputer dostarczy również materiałów, według których można oceniać operatora obsługującego maszynę i będzie to materiał



Fot. Stanisław Wolniewicz

bezdyskusyjny. Tylko jednego nam komputer nie załatwi: nie ukształtuje tego operatora.

Ale też i my nie jesteśmy od kształtowania go. W szkole im. Przewodników Pracy Zakładów Górniczych „Lubin” powiesiliśmy portrety naszych najlepszych pracowników.

Powstaje pytanie: czy my chcemy poprzez nich lansować pewien model życia czy też chcemy, jako dyrekcja, usatysfakcjonować naszych ludzi.

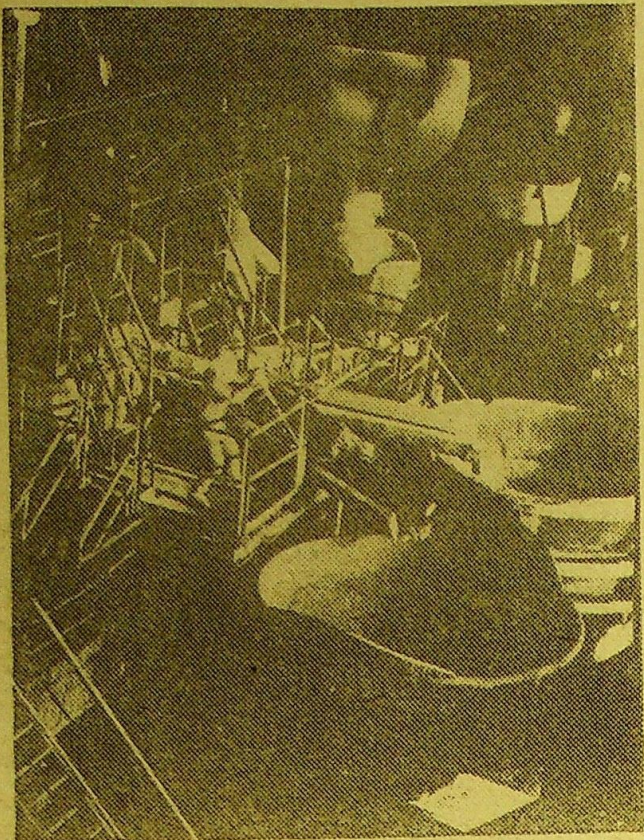
Szkole, być może, chodziło o ów model, ale nam nie.

Nas interesują wyniki pracy. Dlatego powiesiliśmy portrety, tych, którzy mają wyniki najlepsze.

Ja wiem, że to są właśnie ci, co zbierają potem na samochód, marzą o tapetach w srebrzysty wzorek i o wózku za siedem i pół – zarabiają dobrze, a nie nauczyli się na nic innego wydawać, w ogóle jeszcze nie nauczyli się inaczej żyć, powiadam, to nie jest moja sprawa.

Moją sprawą jest wydobywać miedź. A to oni robią doskonale.





W UPALNĄ SYLWE STROWĄ NOC

STANISŁAW MAŁECKI



ZA KILKA dni zasiądziemy przy wigilijnym stole. Stara to i piękna tradycja, sięgająca czasów zamierzchłych. W ów dzień matki, żony, córki krzatać się będą od rana przy gotowaniu świątecznych przysmaków. Lubimy ten dzień, lubimy święta. Przynoszą one do domów niezwykle nastrój, serdeczność. Staramy się być inni niż zazwyczaj, lepsi. Cieszymy się czasem spędzonym w rodzinnym gronie, wśród przyjaciół. Taki to już obyczaj uświęcony tradycją, podkreślający więzy rodzinne, narodowe. Są jednak domy, gdzie rodzina nie zawsze zbiera się w komplecie...

W hutach — legnickiej i głogowskiej, załogi znają już harmonogramy pracy, rozkład zmian w tym okresie. Ci, którym pozostanie nieco więcej

czasu, planują spędzenie go wśród rodzin, przyjaciół. Są i tacy, którym przypadną najbardziej niewdzięczne zmiany — trzeci. Oni powitają Nowy Rok na stanowiskach pracy. Kilka naście dni temu odwiedziłem obie huty w towarzystwie przewodniczących rad zakładowych: w Głogowie — Stanisława Igrasa w zawodzie od 14 lat, w Legnicy — Tadeusza Janiszewskiego długoletniego hutnika, starego i cenionego działacza związkowego, cieszącego się wysokim autorytetem i zaufaniem wśród załogi.

W Głogowie imponowała wielkość i rozmach nowego zakładu, jego nowoczesność. W Legnicy zaś przede wszystkim ludzie, którzy zapisali w swoim życiu po kilkanaście, niektórzy po kilkadziesiąt lat pracy w hutnictwie.

Rok mijający, 1974, to rok ważny dla obu zakładów. Dla HM „Głogów” to kolejny okres zdobywania doświadczeń dalszego dopasowywania się młodej załogi. Niełatwo przychodziło tym, którzy z rodzinnej tradycji nie znają zawodu hutnika, nie przejęli go po ojcu, dziadku. Rok ten zapa-

miętają z niezłych osiągnięć produkcyjnych, ale też i tragicznych wydarzeń minionego października, gdy zimną krew musieli połączyć z wielkim poświęceniem w odbudowie nadrabianiu strat. Dla hutników legnickich zaś był to kolejny rok sukcesów. Nie przyszło lekko znaczne przekroczenie planów produkcji miedzi, dokonanie zmian konstrukcyjnych wielu urządzeń, udoskonalenie technologii, niosących postęp techniczny i wyższą wydajność. Nie przyszło to łatwo tym bardziej, że praca hutników legnickich nie zawsze jest właściwie doceniana — oczkiem w głowie jest młoda HM „Głogów”, a to starych, doświadczonych pracowników boli. Im to przecież zawdzięcza ostrzany zakład pomoc, fachową poradę, ofiarność przy usuwaniu wszystkich poważniejszych awarii. Niejednemu raz przecież wzywano speców z Legnicy.

SPORO rozmawiałem z hutnikami w Legnicy. Głogowie, z ludźmi w szarych drelichach kaskach lub charakterystycznych kapeluszach. Zastanawiałem ich przy stanowiskach pracy. W pobliżu zięjących ogniem pieców, wśród pyłów i gazów wydziału przygotowania wsadu (WPW), oparów na wydziale elektrorefinacji. Na stanowiskach technologicznych, gdzie praca nie może ustać na minutę. Oczerał czoła zakurzone oczy. Pytałem o pracę, święta rodzinę. Proste, szczere rozmowy. Myślałem, że inaczej nie można było o tych sprawach mówić.

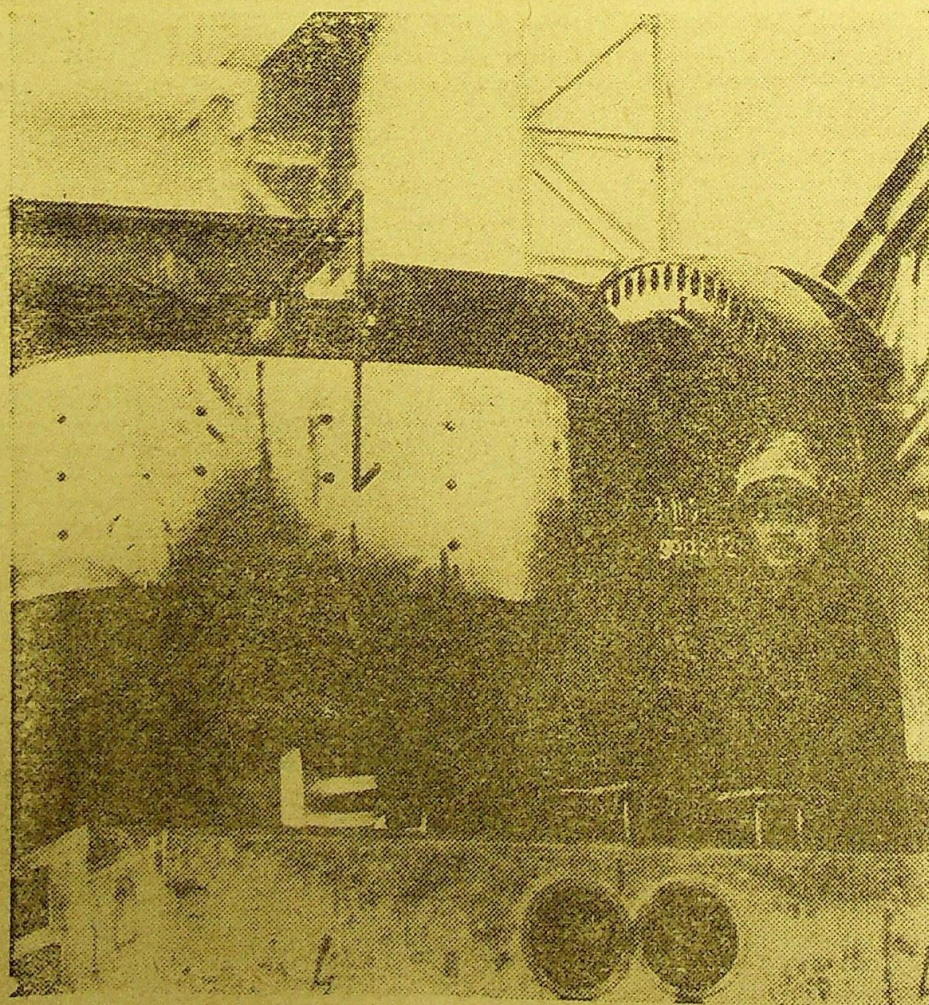
— Lubimy te nasze święta w hucie spędzać spokojnie. Jakoś tak się dobrze złożyło, że takie one zazwyczaj były. A rodziny? Cóż, żal nam tych świąt, że też im. Ale co zrobić, powoli wszyscy się przyzwyczaili. Taki los hutnika i jego rodziny. Kiedy wypadnie zmiana w hucie, a wypada zwykle co rok, bardziej ceni się te chwile, które zostają dla najbliższych. Hutnik po pracy rzadko wtedy zawerusza się spieszy do domu, gdzie już czekają. Niewiele prosi o zamienną chybą, że ważne święto rodzinne wypadnie. Staramy się wtedy iść na rękę kolegom. A tak, to tylko urlop lub poważna choroba mogą od pracy w te dni uratować. Rzadko to się starym hutnikom przydarza. Gorzej z młodymi. Wadomo, młodość ma swoje prawa. Chciałoby tak, pohulać a tu perspektywa popołudnia lub nocy przy robocie. Planuje się takiego, ale czy przyjdzie? To sprawa charakteru. Po tym poznaje się hutnika, to nieźła szkoła. Wie pan, chociaż święta to dla nas normalne dni, powszednia praca nieco inny jest nastrój. Na piecach o to trudniej, ale np. na elektrorefinacji, czy WPW czuć święta. Nikt nie luzuje w pracy

dyscyplina nawet większa — mowy nie ma o świętowaniu. Ale w tym roku chce tam brygada choinkę postawić, bombkami przystroić. Wesołej będzie. A inni? Życzenia sobie złożymy, odwiedzi nas ktoś z dyrekcji, rady zakładowej. Tyle tylko, inaczej nie można. Jedni muszą być na stanowiskach, inni dyżurują w domu. Najważniejsze dla nas to, aby minęły te święta spokojnie, bez awarii, normalnie. Krajowi potrzebna miedź. No a my? Dodatkowy grosz za tę pracę w rodzinie nie zaszkodzi, budżet podreperuje. I to ważne. Inaczej sobie tego wszystkiego nie wyobrażamy.

TYLE o sobie hutnicy. Niewiele różnią się między sobą w poglądach na pracę, w swoim stosunku do wykonywanego zawodu. W święta i noc sylwestrową stawiają się w hucie do pracy, tam powitają Nowy Rok. Starzy i doświadczeni oraz młodzi, zdobywający pierwsze szlify. Bolesław Rząsa — operator walcowni, Helena Nowak — mieszalnica na WPW, Adolf Marzec — kierownik oddziału konwertorów, Jankiel Kulawiec — rafinier, stary ceniony hutnik, Franciszek Bialek — brigadzista i działacz związkowy, Kazimierz Jenderowicz — brigadzista, 23 lata w hucie, Teresa Dąbrowska — jedna z 21 kobiet na elektrorefinacji, Andrzej Koska — wytapiacz, Edward Kulas — prasowacz brykietów, Stanisław Mazur — I konwertorowy, Bolesław Macieja — mistrz, uczestnik całego szlaku i Dywizji, Jan Nowak, Adam Gentelman, Michał Kulik, Stefan Kowal i wielu, wielu innych, których należałoby w tym miejscu wymienić. Wytapiacze, odlewników, elektrorefinatorów, rafinierzy, konwertorowych nitowaczy. Starych, dobrych hutników, a w większości działaczy społecznych, oddanych zakładowi, pracy związkowej. Brak miejsca nie pozwala, aby ich wszystkich wskazać.

Sądźmy, że nam to wybaczą, a my będziemy o nich w czas świąteczny pamiętać. Tak jak pamiętać będą przedstawiciele dyrekcji, rad zakładowych, którzy tradycyjnie odwiedzą ich na stanowiskach pracy, przyniosą serdeczne pozdrowienia. Należy się bowiem hutnikom szacunek i poważanie. Przyłączamy się i my do najserdeczniejszych życzeń składanych przez organizacje polityczne i społeczne, rady zakładowe, dyrekcje — niech Wam hutnicy upłyną te święta radośnie, a przede wszystkim, co jest najważniejsze — spokojnie.

ZDJĘCIA (U GÓRY) W HUCIE MIEDZI „LEGNICA” WYKONAŁ HENRYK KRUK.



6

Na stanowiskach technologicznych praca nie może ustać ani na minutę. Fot. Edmund Uchymiak

TEATRUM MA ZASZCZYT PRZEDSTAWIĆ KU POŻYTKOWI PT. PUBLICZNOŚCI

NIE KONTENTUJĄ nas najnowsze reprezentacje teatrów naszych. Banał, nuda, śpiączka. Jakoś Joneski, Genety, Onile, Olbie i Storeje. Trzeba z tym skończyć! Wrócić do autorów dramatycznych piszących dla nas, a nie jakiejś tam garstki wybrzydzczy. Pokazać na teatrum samo życie, pokazać kwiat naszych męskich dni — kobiety! Nie te przeżywające frustracje i tzw. stressy, będące rezultatem za dużych bankowych kont. Trzeba o stworzyć sceny dla pań naszych, które kochały, cierpiały, zdradzały... W miłości były tragiczne i szalone, czułe i namiętne.

Trzeba wykorzystać potencjał twórczy teatrów, gdzie latami czeka na role wielkich heroin wiele artystek scen naszych. W jakim repertuarze niektóre z nich teraz występują? Barbara Kostrzewska i Maria Wałczak — w płochy rewiście amerykańskiej „Hello, chłopcy”. Maria Zbyszewska tudzież w tragifarszecie zza oceanu „Poszukiwanie ideału”. Iga Mayr i Irena Remiszewska w łzawej komedynie „Deszcz siąpi w moich domach”. Gena Wydrych w dziwnym dramacie bez ładu i składu „Genulka, ukochana córka kniazia Fizdejki”. Jadwiga Skupnik i Krzesława Dubielówna w staroci przez pana Waligórskiego przysposobionej pt. „Wampirka Turandot”. Czysta marynacja talentów. I po co to, i dla kogo?

MISTRZ palety i piórka **KAZIMIERZ WIŚNIAK** — wybitny dekorator nasz, który wytwornymi wnętrzami i wolnymi okolicami przyozdobił dramata wystawione przez znanych i wielce szanowanych reżyserów: Jarockiego, Swinarskiego, Tomaszewskiego, Witkowskiego. Skuszanek, a także poza granicami ojczyzny dekorował — przedstawia dziś kilka propozycji dramatów, do których wrócić należy. Już z nowym rokiem. Natychmiast. W trosce serdecznej o talenta ślicznych artystek naszych i ku pożytkowi Szanownej PT publiczności.



HALKA

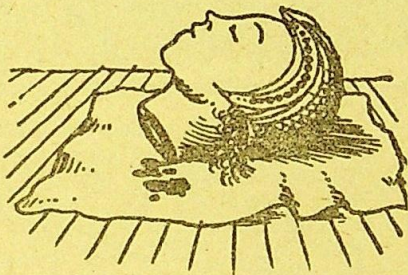
Rysunki: Kazimierz Wiśniak

Tekst: Piotr Pietrusiński

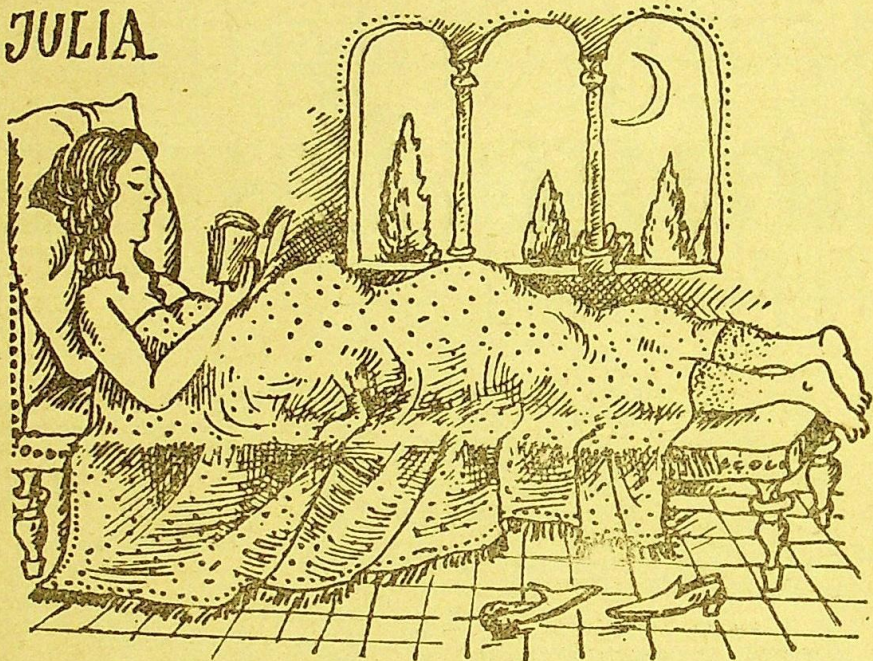
Reprodukcja fot.:

Stanisław Kokurewicz

MARY STUART



JULIA



Z czego się śmiejemy? odpowiada Silna Grupa pod Wezwaniem



— Porozmawiajmy o poczuciu humoru. Zastanówmy się razem, czy i jakie ono jest w naszym narodzie. Spróbujmy odpowiedzieć z czego się śmiejemy i czy nasz śmiech gromki i zdrowy, czy też cichy i walty.

Jacek Niezychowski: — Wszystkiemu winno jedno małe słowo. Kiedyś go nie było, skąd i kiedy się wzięło, jak zrobiło taką karierę — tego nikt dobrze nie wie. To słowo pryncypialność. Wszystko jest, a jeśli nie jest, to winno być pryncypialne. Poczucie humoru też, niestety. Oto przyczyna, dla której z poczuciem humoru nietęgo u nas. Przynajmniej jedna z przyczyn.

Kazimierz Grześkowiak: — Poza tym, wbrew pozorom, jesteśmy bardzo zachowawczy. Dużo u nas świętości, od szargania których wara. Jakże inni są w tym względzie Francuzi. Oni rozumieją tę prostą rzecz, że wyśmiać niekoniecznie musi oznaczać do końca sprostować. Dlatego też potrafią śmiać się z królów i dygnitarzy, nie ma dla nich satyrycznego tabu.

Krzysztof Litwin: — No, my też śmiejemy z królów i sekretarzy królewskich.

— Wydaje mi się, że owo tabu dotyczy u nas nie tylko spraw, nazwijmy to, wagi państwowej. Ot, choćby w sferze obyczajowej...

Jacek Niezychowski: — Właśnie. Gdy przed kilkoma laty zaprezentowaliśmy po raz pierwszy w telewizji „Pochód świętych”, nastąpiło niemałe wzburzenie umysłów. Telewizja otrzymała stertę listów, w których ludzie w ostrych słowach wyrażali swe oburzenie z powodu podeptania ich uczuć religijnych.

— Myślę, że ataki na Grześkowiaka to sprawa wciąż aktualna. Z podobnymi spotkał się wszak nie tak dawno Redliński po wydrukowaniu „Awansu” i „Konopielki”. Zwłaszcza tę pierwszą książkę tu i ówdzie przeklinano.

Kazimierz Grześkowiak: — Tak po prawdzie, to ci co z dziada na wsi siedzą obrażeni nie są. Obrażają się chłopcy z Marszałkowskiej. Tacy, co to chodzili za stodołę, a teraz w miejskie piórka obrośli. Wiechcie im jednak jeszcze z butów wyłażą, i oni wiedzą o tym. I dlatego we wszystkim doszukują się szyderstwa i kpiny. Uch, jak ja nie cierpię tej Warszawy...

Jacek Niezychowski: — To tytuł piosenki Kazika.

Kazimierz Grześkowiak: — I jeszcze to mnie mierz, że warszawiacy są tak głęboko przekonani, że wszystko co ich — jest lepsze. Barbakan lepszy, Starówka lepsza, fale wiślane ładniejsze od fal Bałtyku. Nic nie jest zdolne zmienić tego mniemania.

Jacek Niezychowski: — Jedno jeszcze przeszkadza śmiać się głośno i szczerze. To ogólnonarodowe wyśkokowiedztwo. Kiedyś to jeszcze pół biedy. Znano się powszechnie na medycynie, każdy od pierwszego spojrzenia potrafił określić co komu dolega i czym tę przypadłość leczyć. To pozostało do dziś, domorośli lekarzy mamy bez liku, ale przybyło wiele

innych dziedzin, na których każdy — w swoim mniemaniu — zna się dogłębnie i bez reszty. Ot, choćby sport, którego znawcą jest nie tylko, nie obrażając pana, każdy dziennikarz, ale dosłownie wszyscy. Nie ma człowieka, który nie potrafiłby rozdysonować na jakiej pozycji jaki piłkarz grać powinien. A jeszcze lepiej wiedzą wszyscy, kto i dlaczego grał, a kto nie, a zwłaszcza, ile wziął za to pieniędzy i w jakiej walucie. Czegośmy się to nie nasłuchali po powrocie z piłkarskich mistrzostw świata! Na pokrzepienie muszę jednak powiedzieć, że na Dolnym Śląsku z poczuciem humoru jest nie najgorzej, a nie mówię tego bynajmniej ze względów li tylko grzecznościowych. Jak dotąd wszędzie jesteśmy znakomicie przyjmowani i — co istotne — rozumiani. Jest to coś, co się zwie kontaktem.

Kazimierz Grześkowiak: — Jeszcze jedno wpływa, i to niebagatelnie na poczucie humoru, na jego jakość. Położenie geograficzne. No tak, dużo zależy od tego, jakie kto ma widoki. Na takim Mazowszu budzisz się rano, patrzysz, a tu wokół piaski i wierzyby płaczące. To i tobie bardziej do płaczu niż do śmiechu. A na Śląsku inaczej. Są jednak sprawy, przy których i kabaretowcy nie do śmiechu. O niektórych mówimy w naszym programie, zapraszam więc do jego obejrzenia.

Rozmawiał: JAN MAZUR
Fotografował: Krzysztof Raczkowiak





TO najbardziej górnicze ze wszystkich dolnośląskich miast. Brzmi to dzisiaj paradoksalnie. ZŁOTORYJA, miasto bez kopalni: stolica powiatu, w którym nie ma kopalni... Najbardziej górnicze ze wszystkich...

Ze źródeł pisanych wiadomo, że początki eksploatacji złota w okolicach Złotej Góry sięgają XIII wieku. Początkowo wydobywano złoto metodami odkrywkowymi, zaś po wybraniu powierzchniowych złóż — w podziemnych sztolniach. Według informacji pochodzących z czternastego wieku kopalnie znajdujące się na terenie Księstwa Legnickiego dostarczały tygodniowo około dwudziestu dwóch kilogramów złota.

Przekonanie o tym, że początki eksploatacji złota na Dolnym Śląsku przypadają na koniec XII wieku, było aktualne do ubiegłego roku. Właśnie rok temu pracownicy Katedry Archeologii Polski, Muzeum Archeologicznego i Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego we Wrocławiu podjęli badania naukowe w dawnym centrum wydobywania złota. Wrocławscy specjaliści, kierując się wynikami dotychczasowych badań, skłaniają się do przesunięcia początków eksploatacji złota w tym terenie na wcześniejszy okres epoki brązu, a więc aż na... XVIII—XVII wiek przed naszą erą.

Złotoryja, najbardziej górnicze ze wszystkich dolnośląskich miast. Wieki całe, tysiąclecia... Był czas złota, po nim nastał czas miedzi. Pierwsze informacje o rudzie miedzi pochodzą z 1506 roku. Prowadzono wówczas prace poszukiwawcze w Prusicach, Leszczynie, Kondratowie i Nowym Kościele. Już w XVII wieku w okolicach Prusic i Leszczyny czynne były piecownice hutnicze do wytopu miedzi. W latach 1808 i 1809 między Nowym Kościołem i Kondratowem budowano trzy szyby, upadową i wiele wykopów. Napotkali jednak poszukiwacze bogactw ziemi na pokłady o bardzo niskiej zawartości miedzi...

Ponowny przypływ aktywności w poszukiwaniu miedzionośnych złóż to lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. Uruchomiono wówczas dwie kopalnie — „Daniel”, położoną między Leszczyną i Prusicami, w której prowadzono głównie prace badawcze oraz „Ciche Szczęście” koło Leszczyny. Ta ostatnia pracowała od roku 1861 do 1883. Rudę z „Cichego Szczęścia” przerabiano na kamień miedziowy i sprzedawano w tej postaci do obcych hut. Przez dwadzieścia dwa lata „Ciche Szczęście” dało 1100 ton miedzi i 3437 kilogramów srebra.

Tropienie i wydobywanie miedzionośnego kamienia przeżywa wielkie wzniości i takie same przeboje. Czas wzniości wyznacza światowa koniunktura na ten strategiczny metal. Pierwsza wojna światowa przypomina na przykład ludziom o bardzo ubogiej miedzi świętokrzyskiej. Lata trzydzieste dwudziestego stulecia to kolejny okres gorączkowych poszukiwań.

Niemcy szczegółowo badają obszar między Bolesławcem i Złotoryją. Odwiercono wówczas również badawcze otwory w okolicach Żagania i Wrocławia.

Budowę kopalni w Wilkowie koło Złotoryi rozpoczęli Niemcy w 1936 roku. Dwie upadowe, chodniki oraz szyby, któremu dano imię „Hegewald”. Już w trakcie eksploatacji budowano trzecią upadową. Kopalnia ruszyła wraz z zakładem przeróbki mechanicznej w 1939 roku.

DO DZISIAJ mieszka w Wilkowie przy ulicy 1 Maja Ignacy Merta, od czterech lat emerytowany górnik Zakładów Górniczych „Lena”. Przywieźli go tutaj Niemcy 1 maja 1940 roku. Na znalezionej po wojnie liście sporządzonej przez niemieckiego urzędnika odnalazł się Ignacy Merta pod numerem 544. „Wolsdorf Lager — Merta Ignatz — Schlepper”. Pracował w kopalni razem z wieloma Polakami i więźniami innych narodowości. Dzielne wynagrodzenie dla czterech górników: jeden bochenek chleba, kawałek tłuszczu, cztery kartofle...

Kiedy zbliżał się front Niemcy zatopili kopalnię i uciekli. Więźniów pędzili w głąb Rzeszy. Koniec

wo zauważyłem wieżę z kołem. To był szyb. Wiedziałem jak wyglądała kopalnia szyby. Następny budynek, betonowe postumenty, na których nie było żadnych maszyn. W następnym budynku — to samo... Nachyliłem się nad czarnym otworem szybu. Niczego nie można było dojrzeć... Mnóstwo przewracanych wózków. Wszystko pokryte popielatym kurzem.

Opisany przez Zygmunta Malatyńskiego obraz kopalni pokrywa się z tym, co mówili o niej inni pionierzy. Ruina. Pod koniec grudnia 1945 roku pojawili się w Wilkowie obcy ludzie. Nikt by nie zwracał na nich uwagi, ale przyjechali samochodem. Pochodzili między domami, wstąpili do sołtysa, pojechali... Zostawili jednak po sobie ślad. Na terenie kopalni pozostała deseczka przybita na wejściowej bramie, a na niej wielkimi, czarnymi literami: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP W OBRĘB KOPALNI SUROWO WZBRONIONY. I pod tym podpis: DYREKCJA.

Po kilku dniach znowu pojawiło się znajome auto i sołtys już oficjalnie rozpowiadał, że dyrekcja istnieje naprawdę, czasowo w Świdnicy. Na ogłoszeniowym słupie w

wszystko, wrócili do Wilkowa i zbrojeni w mauzery i długie rączki KB.

Dyrekcja kopalni zajęła już jeden dom, przywożono pierwsze pompy i inne maszyny.

W 1946 roku strażnicy byli w zasadzie jedyną i pierwszą załogą kopalni. Sporadycznie pokazywali się na krótko specjaliści, sporządzali plany, badali poziom wody i... odjeżdżali.

Strażnicy trwali w dziesiątkę. Ale nadeszła noc, po której zostało ich tylko dziewięciu. Sprawdziły się słowa instruktora ze Świdnicy. Banda grasująca w okolicy zamordowała Jana Galusa.

Czy to była pierwsza śmierć po wojnie, która spadła na kopalnię? Pierwsza udokumentowana. Ale ludzie powiadają...

Zaraz po wyzwoleniu Złotoryi i Wilkowa grupa żołnierzy radzieckich zatrzymała się na terenie kopalni. Na portierni siedział radziecki żołnierz, pisał list... Strzelanina, brzęk szkła... Żołnierz pada martwy. Zdażył napisać tylko dwa słowa: KOCHANA LENO...

Czy ten list dał nazwę kopalni? To tylko jedna z wielu wersji. „Le-

Kochana Leno...

wojny zastał Mertę pod Dreznem. Stamtąd pojechał do Blachowni, gdzie przed wojną pracował w kopalni rudy żelaza „Maria”.

W roku 1948 wrócił do Wilkowa. Dlaczego? Coś go tutaj „gnało”. To będzie nasze — mówili ludzie kiedy zbliżał się front do Wilkowa, to jest nasze — mówili ludzie po wojnie. Przyjechał sprawdzić. Wrócił do miejsca, z którego pochodził jego najstraszniejsze życiowe wspomnienia.

Do Złotoryi i do Wilkowa przyjeżdżali inni Polacy znacznie wcześniej. Wracali na tę ziemię potomkowie dawnych poszukiwaczy złota, którzy cierpliwie pochylali się nad sitem wypełnionym złotonośnym piaskiem. Wracali do dawnych kopackich wsi i osiedli. Nie czekały tutaj jednak na nich góry złota, chociaż Złotoryja nazywała się jeszcze wówczas Złota Góra.

Kiedy do Wilkowa przyjechał Zygmunt Malatyński we wsi mieszkało już osiem polskich rodzin. Malatyńscy pochodzą z Działoszy, cała rodzina to rolnicy, w Wilkowie czekała na nich ziemia. Ale Zygmunt zawsze marzył o robocie w przemyśle i miał trochę za złe ojcu ten powojenny wybór losu dla całej rodziny.

To był wrzesień 1945 roku. Zygmunt Malatyński dowiedział się, że w Wilkowie jest nieczynna kopalnia rudy miedzi. Zaraz na drugi dzień poszedł się jej przyjrzeć.

Puste zabudowania z czerwonej cegły. Otwarta brama. Wybite szyby portierni. Popielaty gruz. Wszędzie pełno popielatego gruzu i piasku o tym samym kolorze. Malatyński miał być „tylko” rolnikiem, nie wiedział więc, że z tego popielatego gruzu można wytopić miedź.

— Pchnąłem zamknięte drzwi dużego budynku. Zaszeleściły papieryska. We wszystkich pokojach i na korytarzach masy druków i papierów. Połamane krzesła i stoły... Wyszedłem na dziedziniec. Na lewo widniała gładka woda wielkiego stawu, którego brzegi tworzyło dziwne popielate błoto... Na pra-

Wilkowie pojawił się następny „dokument” przemawiający za prawdziwością słów sołtysa. „DYREKCJA KOPALNI WILKÓW PRZYJMIE DO PRACY 10 MŁODYCH MEZCZYŹN, KTÓRZY ZOSTANĄ ZATRUDNIENI W CHARAKTERZE STRAŻNIKÓW PRZEMYSŁOWYCH”

Zygmunt Malatyński nie zastał się długo. W mieszkaniu sołtysa poznał pierwszego dyrektora kopalni, inżyniera Drożdża. Wkrótce po tym spotkaniu, wraz z dwiema kolegami, wyjechał na parodniowy kurs do Świdnicy.

Wrócili już przeszkoleni, z wiedzą potrzebną do tej pracy, a wiedza była prosta: wróg nie śpi, waszej czujności powierzamy drogocenne mienie państwowe. Ponieważ sama wiedza teoretyczna to nie

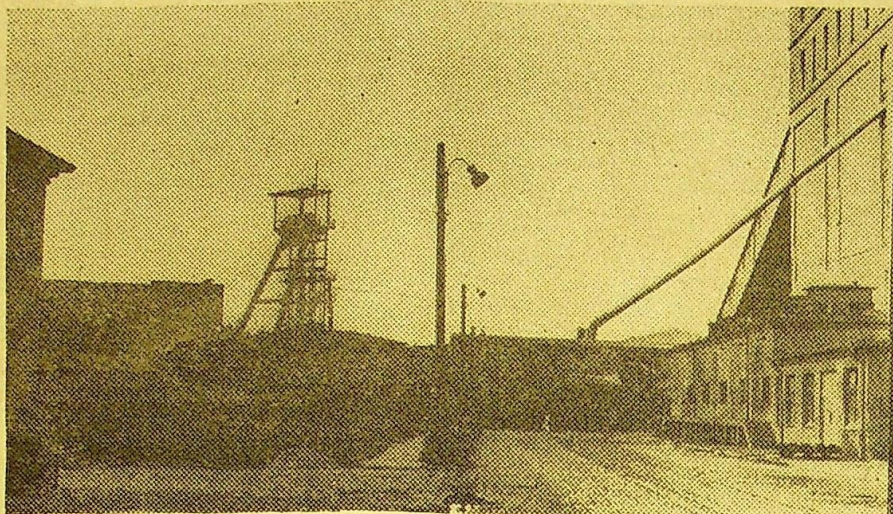
na”. Nie znalazłem człowieka, który z całą pewnością mógłby powiedzieć mi dlaczego właśnie tak nazwano tę kopalnię. Znam kilka wersji, ale żadna z nich nie jest udokumentowana. Imię radzieckiej łączniczki kierującej ruchem koła kopalni, zastrzelonej przez Niemców? Imię żony komendanta miasta? Pierwsze i ostatnie litery z Leszczyny, miejscowości, wokół której przez wieki dobywano miedź? I wreszcie ta ostatnia wersja: ledwie rozpoczęty list... KOCHANA LENO...*)

W 1947 roku rozpoczęła się już na dobre batalia o uruchomienie kopalni. Woda. Woda. I jeszcze raz woda. Brak dokumentacji, poważne kłopoty. Liczyła się wówczas również pamięć tych, którzy tu-



Jedno z ostatnich pamiątkowych zdjęć pod ziemią w „Lenie”.





taj tak, jak Ignacy Merta, pracowali.

W czerwcu 1950 roku wydobyto pierwsze tony miedzi. Pierwszą tonę koncentratu wyprodukowano z końcem tego samego roku. A w dwa lata później „Lena” osiągnęła pełną zdolność produkcyjną.

Przez dwadzieścia siedem lat istnienia „Leny” przewinęło się przez ten zakład ponad dwadzieścia tysięcy pracowników. Jakże więc opowiadać o „Lenie” i jej dwudziestu tysiącach twarzy?

Kiedy w 1950 roku Leon Kaspepek jechał do Wilkowa z nakazem pracy, nic nie wiedział o końcu swojej podróży. Nakaz był bardzo lakoniczny: ZG „Lena” — Wilków. Ponieważ Leon Kaspepek był świeżo upieczonym absolwentem elektrycznego Liceum Technicznego w Nysie, ani przypuszczał, że dwie tajemnicze literki: ZG, mają coś wspólnego z górnictwem.

Przyjechało ich wówczas do „Leny” trzech takich, świeżo upieczonych fachowców. Mechanik i dwóch elektryków. Zadania postawione przed nimi były proste: budowa głównej rozdzielni, uruchamianie pomp, przygotowywanie do eksploatacji odtopionych lokomotyw.

Panie dyrektorze — pytał rozpaczliwie sztygar Bylok — z kim ja mam to robić? — Raz, dwa, trzy — liczył dyrektor wskazując nowicjuszy — to wam powinno wystarczyć.

Po tygodniu Leon Kaspepek był już... sztygarem i prowadził drugą zmianę. Przez dwa lata zresztą, bez przerwy. Nawet nie zastanawiał się

Jednym z większych problemów tamtych lat były... łopaty. Ileż to zebrań, narad na temat łopat. Co zrobić, żeby się nie łamały, żeby się nie wyginały. Teraz można się uśmiechnąć, w nowych kopalniach nikt łopaty nie ruszy, jeśli coś trzeba zgarnąć czeka się na spychacz, „fadromę”. Wtedy łopata była najważniejszym i najlichnijszym narzędziem.

Przychodzili ludzie, ciężko pracowali, rynnny potrasały plus łopaty. Wiele urządzeń psuło się. A przecież na dyrekcyjnym budynku wypisano: „Każda tona urobku, to pocisk przeciw podżegaczom wojennym”. Liczono tony skrupulatnie.

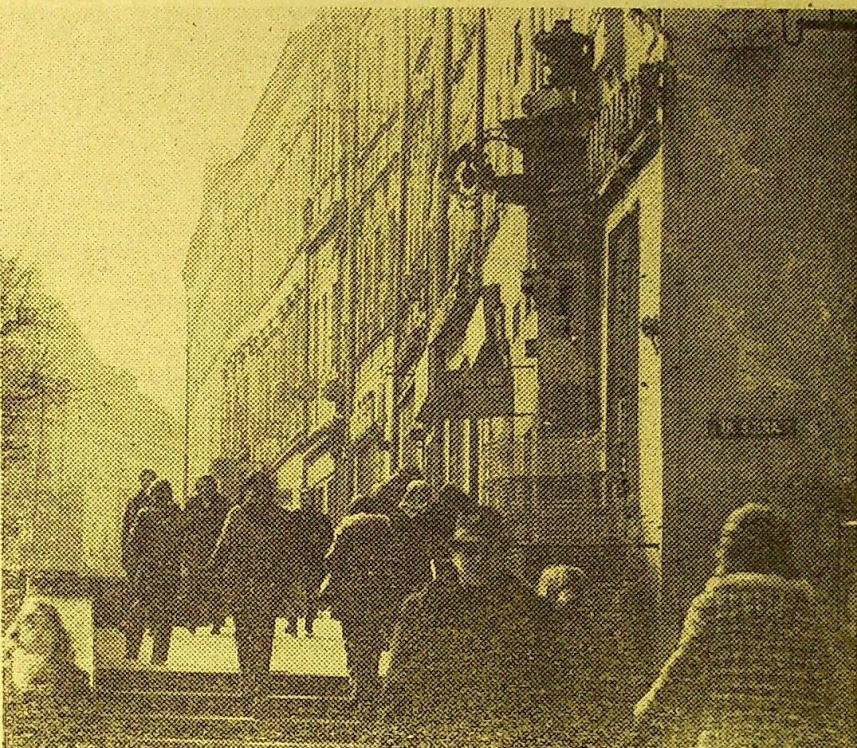
Z końcem lat pięćdziesiątych przybywało fachowców. Przyjechali młodzi absolwenci krakowskiej AGH. Między innymi inżynier Piotr Maćkow do działu mechanicznego, inżynier Mirosław Pawlak oraz inżynier Ryszard Samborski do działu górniczego. Szybko awansowali. Na początku było tak, że kierownik oddziału nie wytrzymał dłużej, niż rok.

TERAZ kiedy się po latach rozmawia o robocie w „Lenie” wszyscy mówią o niej z przedziwnym sentymentem. BYŁA ATMOSFERA — nawet wtedy, kiedy kopalnia przeżywała trudności. Nikt nie zwał na drugiego winy i roboty.

Wspominanie tamtych lat, to nie tylko chęć przypominania barwnych anegdot w rodzaju samochodowych podróży inżyniera Stanisława Pieprzyka i inżyniera Franciszka Kowalskiego, którzy samochodem „dkw auto union meister klasse” jechali nad morze ciurkiem przez prawie pięćdziesiąt godzin (łatwo wyliczyć średnią prędkość), ale chyba nade wszystko szukanie tajemnic wspólnego sukcesu. Bo sukcesy odnosiła cała kopalnia, sukcesy odnosili ludzie z nią związani, zaś dzięki nim rozwijała się Złotoryja.

Teraz można mówić: „Lena” to była bardzo stara kopalnia, trzeba było tylko pilnować, żeby interes się jakoś kręcił... Warto więc powiedzieć, że gdyby nie wnioski racjonalizatorskie, drobne i najdrobniejsze usprawnienia wprowadzone przez te lata przez załogę, to koszt wydobycia jednej tony rudy w „Lenie” byłby czterokrotnie wyższy.

I ludzie z „Leny” widzieli sens tych zabiegów. Dla większości z nich kopalnia była sposobnością do niecodziennego awansu (patrz cykl „Czas pisać historię” drukowany w „Konkretach” — dop. S.P.). Zygmunt Malatyński pierwszy strażnik „Leny” zrealizował swoje marzenia — został elektrykiem. Można mnożyć przykłady. Młodzi inżynierowie, którzy przychodzili do „Leny” na staż zajmują dzisiaj odpowiedzialne stanowiska, odnoszą sukcesy. Ich nazwiska znane są w całym zagłębiu miedziowym. Kawalerowie wysokich odznaczeń i nagród państwowych. Decydują o rytmie i stylu pracy nowoczesnych zakładów w zagłębiu.



Złotoryja na zawsze związana z miedziową krainą.

Zmieniła się tylko skala tych decyzji, zmienił się rytm. Porównanie jest szokujące. Kiedy liczyłem dorobek zakładu z ołówkiem w rękę był on imponujący. Jeśli jeszcze do tego doda się znany tylko specjalistom i uważnym obserwatorom wysiłek i poświęcenie, jakie tym wynikiom towarzyszyły, to CZAPKI Z GŁÓW, ale... Liczymy dalej i teraz mogę już powiedzieć, że:

W KOPALNI „Ciche Szczęście”, koło Leszczyny rekordowe wydobyte zanotowano w roku 1981. Przez cały ten „rekordowy” rok wydobyto 11259 ton rudy miedzi. „Lena” w okresie swojego rozkwitu dawała tyle samo urobku w ciągu pięciu dni! W ogóle „Lena” dała przeszło sześćdziesiąt razy więcej miedzi niż „Ciche Szczęście”. Eksploatację górniczą prowadziła zaś tylko o dwa lata dłużej. To jest jedna miara. Postępu, wysiłku i... czasu. A teraz druga. Na jednej szali dwudziesto-siedmioletni wysiłek „Leny”. Ponad dwadzieścia tysięcy pracowników przewinęło się w tym czasie przez zakład. Mnóstwo sukcesów, cierpliwy i znakomicie zorganizowany wysiłek ludzi, którzy doceniali swoją pracę, swój zakład, przykłady ciekawych rozwiązań technicznych, wielkie doświadczenie. Na drugiej szali położymy dla przykładu nowe zakłady górnicze w Polkowicach. I teraz sypmy na te szale to co w obydwu zakładach było najważniejsze: rudę miedzi, miedź. Jeśli więc przyjmiemy za odważniki miedź przez te zakłady dostarczoną krajowi okaże się, że dwadzieścia siedem lat „Leny” równoważy rok pracy załogi z „Polkowic”.

Tam dwadzieścia siedem lat, tutaj jeden rok. To jest szokujące porównanie i trochę niesprawiedliwe. Może być jednak powodem do dumy dla górników ze starej i nowej kopalni. Bez tamtego wysiłku dzisiejsze sukcesy w nowym zagłębiu byłyby niemożliwe.

W

„LENIE” rozpoczęli teraz produkcję o-sprzętu wiertniczego dla potrzeb KGHM. Pracuje je-

szcze tylko zakład przeróbki mechanicznej. To jedyna pozostałość po Zakładach Górniczych „Lena”. Złotoryja jednak na zawsze związała się z miedzią. Zakład mechaniczny z całą pewnością podtrzyma dobre tradycje „Leny”, pracuje tam zresztą wielu byłych górników.

Przy wjeździe do miasta od strony Legnicy na granitowym postumencie ustawiono kopalniany wózek. „GÓRNICZY ZG „LENA” MIASTO — 1947 — 1974...”. W przyszłym roku otwarta zostanie dla zwiedzających sztolnia nad rzeką Kaczawą, tam będzie można obejrzeć wiele górniczych eksponatów. Bo Złotoryja to najbardziej górnicze ze wszystkich dolnośląskich miast. Jeszcze dzisiaj, chociaż nie pracuje już żadna kopalnia.

* Czytelników posiadających wiadomości na temat pochodzenia nazwy „Lena” uprzejmie proszę o listy w tej sprawie.

Zdjęcia: GRZEGORZ KURZAJCZYK KRZYSZTOF RACZKOWIAK

tekst:
STANISŁAW
PELCZAR

dłaczego tak jest, że ciągle pracuje na drugiej zmianie. Nawet mu to pasowało, bo rano potrzebny był w zakładowej Zasadniczej Szkole Górniczej, uruchomionej w Wilkowie, jako wykładowca.

Zakład pracował, przychodzili nowi ludzie, brakowało tylko nowych maszyn. Odtopiona kopalnia miała dwie lokomotywy sietciowe i cztery lokomotywy akumulatorowe. W 1951 roku na dole pracował koń, nazywał się „Bury”. Rok później spodziewali się już pierwszych, autentycznych nowych lokomotywek akumulatorowych z NRD. Jaka to była radość. Kiedy pociąg z lokomotywkami przekroczył granicę w Zgorzelcu; w Wilkowie już wszyscy o tym wiedzieli, już się przygotowywali. Na teren kopalni pociąg wjechał po południu. Każdy musiał dotknąć, bo to były pierwsze dla „Leny” urządzenia prosto z fabryki, nowe. Wszyscy chcieli te lokomotywki pucować...



Koniec każdego roku skłania do refleksji. Również i w sporcie. W tej dziedzinie odbywa się to na ogół żywiołowo, spontanicznie. Kibiców nie interesują wielkie statystyczne elaboraty. Sami też gromko wypowiadają swoje opinie. Na sporcie zna się przecież każdy Polak. Nawet i ten, który kategorycznie temu zaprzecza.

Jaki był rok 1974 dla zagłębiowskiego sportu? Trzeba generalnie przyznać, że udany, że nie musimy się rumienić. Prześledźmy to na przykładzie kilku wybranych (z braku miejsca nie możemy pisać o wszystkich) dyscyplin.

PILKA nożna. Dotychczas z reguły psioczyliśmy na piłkarzy. O to, że grają nierówno, nie wysilają się, nie odnoszą większych sukcesów. Tym razem opinie są diametralnie odmienne. Piłkarze zasłużyli sobie na uznanie.

Chrobry Głogów został mistrzem okręgu zielonogórskiego. Walczył o wejście do II ligi. Pierwsze podejście było pechowe. Wyprzedziła go poznańska Olimpia.

Ton mistrzostwom dolnośląskiej klasy wojewódzkiej nadawał nie kto inny, a prawie wyłącznie zespoły międzywojewódzkiego zagłębia. Specjalne słowa uznania należą się chłopcom z Lubina. Zdobyli tytuł mistrza rundy jesiennej. Zademonstrowali wysokie umiejętności w pucharowych pojedynkach z Ruchem Chorzów i Górnikiem Zabrze. Dzielnie wtórowali im koledy z legnickiej Miedzi i BKS Bolesławiec. Nazwisk najlepszych nie wymieniamy. Czytelnicy znajdą je na sąsiedniej kolumnie w gronie kandydatów drugiego plebiscytu „Konkretów” na najlepszych sportowców zagłębia międzywojewódzkiego.

Prawdziwą odnowę mieli bokserzy. W krótkim czasie, weszliśmy na krajowe ringi. Zagłębie Lubin nie tylko szturmem awansowało do drugiej ligi, ale zdołało wywalczyć mistrzostwo jednej z jej grup. O drugą ligę walczyły zespoły Miedzi Legnica, BKS Bolesławiec i Chrobrego Głogów. Szczytów się możemy nie tylko sukcesami zespołowymi. Badaż po raz pierwszy nasi pięściarze dali o sobie znać wynikami indywidualnymi. Pamiętne pod tym względem były marcowe mistrzostwa Dolnego Śląska. Cztery tytuły mistrzowskie. Na najwyższym podium stanęli Mieczysław Massier, Zdzisław Lipiński i Bronisław Suchecki z Miedzi oraz Zbigniew Kowalczyk z Zagłębia. O szczybel niżej znaleźli się Nowik, Zienkiewicz i Cal z Zagłębia, a także Florczak z BKS Bolesławiec.

W tym samym miesiącu na mistrzostwach Polski w Gdańsku Mieczysław Massier zdobył brązowy medal. Do kadry narodowej zaliczono Massiera, Sucheckiego i Wiesława Niemkiewicza. Na tym nie koniec. Andrzej Drab z Bolesławca został mistrzem Polski juniorów. Najlepszy sportowiec zagłębia roku ubiegłego — Ryszard Tomczyk, reprezentował barwy Polski na pierwszych mistrzostwach świata w Hawanie.

NA BOKSIE i piłce nożnej nie kończą się tegoroczne sukcesy. Parę słów o doskonałych żeglarskich Energetyka Waly Śląskie. Podopieczni trenera Teodora Kościłowskiego pracują bez większego rozgłosu, ale mocno liczą się na krajowym rynku. Przewodzi im mistrz Polski w klasie „OK-Dinghy” Ludwik

Najlepsza drużyna zagłębiowskiej jesieni Zagłębie Lubin (w ciemnych koszulkach), we frontalnym ataku z Górnikiem Zabrze.

Fot. Tadeusz Szwed

Tworowski. Wicemistrzem kraju juniorów w klasie „Finn” jest były legniczanie Marek Czuba. Brązowy medal w klasie „Hornet” wywalczył Ryszard Lewicki. Jak na jeden klub sukces to nie lada.

Zagłębiowska akrobatyka to krajowa potęga. Jawor i Złotoryja słyną z doskonałych zawodników, wychowanków świetnego specjalisty Zygmunta Biegaja. Victoria Jawor to drużynowy wicemistrz Polski, a Górnik Złotoryja mistrz w konkurencji juniorów. Tytułów indywidualnych nie sposób wymienić. W ścisłej kadrze narodowej seniorów znalazło się aż siedmiu przedstawicieli Jawora. Piotra Biegaja, Dionizego i Edwarda Andrzejaków, Haliny Wiącek, Marioli Krocak, Jana Gajdy i Jerzego Pilcha oraz dwóch młodych ze Złotoryi Lesława Antonowicza i Sławomira Hałady nie trzeba rekomendować. Odnieśli tyle sukcesów w różnych zawodach krajowych i zagranicznych, że można by im poświęcić oddzielny, długi artykuł.

Tenis stołowy. To przecież w Lubinie znajduje się trzecia drużyna kraju. Na ostatnich mistrzostwach Polski Danuta Mania zajęła trzecią lokatę w grach podwójnych. Alicja Skrzypicka, Adam Pade, Antoni Pawlak, Waldemar Betman i Władysław Błauciak

to trzon jednego w zagłębiu I-ligowego zespołu. Stale plasują się na czołowych pozycjach w różnych krajowych turniejach klasyfikacyjnych.

Jak już zaznaczyłem wybrałem kilka reprezentacyjnych dyscyplin. Nie wolno też zapominać o dorobku II-ligowej sekcji piłki ręcznej mężczyzn Chrobrego Głogów, która od lat należy do czołówek w tej klasie rozgrywek. Ryszard Kotwas i Bronisław Bałd to najlepsi kolarze młodej sekcji z Głogowa. Spore osiągnięcia zanotowali na swym koncie ciężarowcy Bolesławca, Legnicy i Polkowic. Są wśród nich mistrzowie województwa w różnych kategoriach wieku. Sukcesy — i to poważne — odnosili walczący w drugich ligach strzelcy LOK Legnica, i szachiści legnickiego Budrolu, głogowscy i legniccy siatkarze jak również szablści Piasta Legnica. Lekkoatletom zagłębia międzywojewódzkiego też należy się wyróżnienie. Zwłaszcza przedstawicielom Bolesławca i Głogowa, o których przede wszystkim w gronie młodzików i juniorów — coraz głośniejsze na krajowej arenie. Z przyczyn obiektywnych — budowa bieżni sotarowej — nie błyszczeli lekkoatleci Lubina.

POBIEŻNY przegląd wskazuje, że w bieżącym roku sportowcy zagłębia mają się rzeczywiście czym pochwalić. Każde jednak podsumowanie ma to do siebie, że oprócz wymieniania osiągnięć zastanawiamy się, czy nie mogłyby być one jeszcze lepsze. W naszym przypadku odpowiedź jest tylko jedna — stać nas na znacznie i to znacznie więcej. Prężnie rozwijający się okręg międzywojewódzki mierzy wysoko.

Często przy różnych okazjach podkreśla się, że w sporcie powinniśmy wyprzedzić podobne regiony. Chcąc do tego doprowadzić, trzeba działać konsekwentnie i w sposób przemyślany. Chodzi tu przede wszystkim o pełną sportową integrację. Próby takie podjęto przed dwoma laty. Jak dotychczas ograniczono się do zorga-

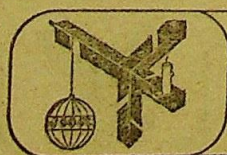
nizowania rozgrywek szkolnych o puchar „Konkretów”, wspólnego wyścigu kolarskiego „Szlakiem Grodów Piastowskich”, bokserskiego meczu z Litwą oraz tradycyjnego już plebiscytu na najlepszych sportowców i trenerów zagłębia międzywojewódzkiego. Udało się nawiązać bezpośrednie kontakty między wydziałami kultury fizycznej i turystyki.

Nie można tego, niestety, powiedzieć o poszczególnych klubach sportowych. Między nimi praktycznie współpraca nie istnieje. A szkoda, gdyż na sportowe jej efekty nie musimylibyśmy zbyt długo czekać. Przykładem może być boks. W całym regionie jest dużo dobrych pięściarzy. Można by więc z powodzeniem stworzyć silny zespół II-ligowy i co najmniej jeden II-ligowy. To samo dotyczy piłki nożnej, lekkiej atletyki i innych dyscyplin. W ten właśnie sposób postępuje się w innych regionach Polski, a zwłaszcza na Górnym Śląsku. Tam nie odgrywają roli lokalne interesy i zaściankowość. Kluby potrafiły nawiązać właściwą współpracę, wzajemnie się wspierają i pomagają. Efekty są widoczne. W czołówce krajowej aż roi się od doskonałych sportowców i drużyn nie z wielkich metropolii, a właśnie z mniejszych miast.

Gdyby u nas zrozumiano to wcześniej, podsumowanie roku 1974 byłoby jeszcze bardziej optymistyczne od obecnego. Wówczas z całą odpowiedzialnością moglibyśmy zatytułować artykuł: Rok Wielkich Sukcesów. Miejmy nadzieję, że w niedługim czasie dojdzie do pełnej integracji całego regionu, a o sportowych sukcesach głośno będzie nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami.

ROK SUKCESÓW

ZYGMUNT ŁUSZCZ





POJADĘ jednak do szybów zachodnich „Rudnej”. Za chwilę szef techniczny kopalni „Rudna” poświęci mi kilka minut czasu, skończy odbierać poranne meldunki przez radiotelefon, przy jednym z nich straci nieco humor, ale natychmiast się opanuje, wreszcie powie, że mogę wsiadać do jego służbowego gazika.

Do szefa technicznego chce się także dostać młody gość, kawał chłopca, zniecierpliwiony chodzący po korytarzu. Inżynier. Przyjechał do zagłębia 2,5 miesiąca temu. Mieszka w hotelu robotniczym. Przeprowadza się tu ze Śląska. — Żona nie protestowała? — pytam. — Jasne, trochę kręciła nosem, ale sprawę postawiłem ostro: ja zarabiam na rodzinę, ja decyduję! Co prawda tam miałem mieszkanie, ale myślę sobie: po co się za długo zastanawiać, trzeba zażytkować. Mam prowadzić na dole hydrauliczne podszadanie wyrobisk. Polega to na wdmuchiwanju w wyeksploatowane odcinki piasku z wodą. Dość nowoczesna sprawa. Trochę się bałem, że tam, na dole, ciśnienie trochę za duże i źle będę znosił. Patrzę, a organizm jakoś się dostosowuje. Wie pan, teraz mogę spać 4-5 godzin i wystarczy. Pieniądze? Na pewno mniej niż na Śląsku nie zarobię, a wszystkiego i tak nie da się przeliczyć na pieniądze. Grabuła, może się jeszcze spotkam.

★

Szyby zachodnie. Stalowe konstrukcje wież wyciągowych. Kilka niewielkich budynków: magazyny i szatnie, biura. Szygar Głowacki zapewnia, że jeśli idzie o rozmowę, z nim nie będzie kłopotu: — Ja jestem już, panie, jak aktor — z pierwszej dziesiątki gwiazd na „Rudnej”. Dla telewizji gadałem, dla radia gadałem, dla kroniki filmowej gadałem. Zawsze coś się takim panom powie, no nie? Pokręca się, zamieszania narobią i już ich nie ma. I spokój. Ich też rozli-

czają z ilości nakręconych pozytywnych numerów, nie? A ja jestem z natury pozytywny, więc mnie takie gadanie łatwo przychodzi.

Szyb R-3 doszedł już do głębokości 840 m i teraz odbywa się w nim wstrzykiwanie mleczka cementowego, które utrwala jego ściany. Szyb R-4 ma głębokość dopiero 420 m (w lutym 1974) i na 463 metrze skończy się mrożenie górotworu, zacznie się skała. — Ale już na 428 metrze, już za chwilę, wejdę w tę skałę — Głowacki liczy metry, nic dziwnego, przy maksymalnym wysiłku R-3 przyrastał miesięcznie o 42,5 m w górotworze, który trzeba mrozić (1,5 m dziennie przy pracy na trzy zmiany!), a rekord głębienia w skałę bez konieczności mrożenia wynosi 93 metry.

Teraz rozmawiamy w grupie kilku osób: inż. Antoni Ratajczyk — zawiadowca szybów R-3 i R-4, inż. Jan Urbaniak — kierownik robót górniczych, inż. Jan Jóźwicz — główny mechanik. Ich średni wiek — nieco ponad 30 lat. Budują jedną z najnowszych kopalni miedzi na świecie. Za dwie godziny ich głosy będą mi się kojarzyły z tym, co zobaczylem zjeżdżając na głębokość 420 m.

W jaki sposób taki szyb głębić w takich warunkach, w tych piaskach, żwirach, ilach, glinach, przez żyły wodne, które to wszystko rozmywają tak, że np. ily pełzną i wytwarzają ogromne ciśnienia na konstrukcje zabezpieczające? Tego nikt nie wie. Naukowcy odmówili zrobienia dokładnych obliczeń, ponieważ po prostu nie dało się ich wykonać. Nie chcieli ingerować w te sprawy, bo nie byli w stanie powiedzieć, jaka powinna być grubość mrożonej warstwy, ile trzeba wiercić otworów dla rur mroźniowych, jaka powinna być temperatura mrożenia przez solankę w tych rurach. O tym wszystkim musiał zdecydować górotwór. I doświadczenie. Więc najpierw trzeba było zacząć kopać, a później podejmować ostateczne decyzje. Wobec tego przez długi czas obcowaliśmy z wielką niewiadomą.

Najwięcej przyjeżdża do nas ludzi ze Śląska. No i proszę, górnik węglowy zagląda do naszego szybu i mówi: — Ja pieprzę, nie zjadę tu, mała śrubka spadnie z góry i zabije człowieka.

Też to miałem. Jak wdziałem ludzi wywożonych z dołu po wypadku, przysięgałem sobie, że nie zjadę. Te-

raz wiem: Trzeba się bardzo pilnować, są po prostu jakieś nieprzekraczalne zasady bezpieczeństwa.

— A ryzyko?

— Czasami jest konieczne. Wtedy wybiera się mniejsze. Pamiętacie jak było w szybie L-2? Nagle zrobiła się diabelnie trudna sytuacja. Przy głębieniu natrafiliśmy na podziemną żyłę wodną. Miała metr grubości. Nie wiadomo co robić. Postanowiliśmy przejść ją jak najszybciej, a to nie było zbyt bezpieczne. Zatrzymaliśmy się tam na rok! Trzeba było władować w ten odcinek dziesiątki tysięcy ton cementu. W takich sytuacjach z dwójga złego wybieramy szybkie dojście do warstw skalnych.

Musimy ciągle kontrolować stan szybu. A raz na kwartał cała obudowa sprawdzana jest komisyjnie. Obudowa to przede wszystkim pierścienie tubingu. Jeden segment pierścienia waży 3,5 tony. Za ten metalowy pierścień wlewa się cement. Potem jeszcze uszczelnia się zastrzykami z mleczka cementowego.

Oczywiście, usprawnia się tę robotę. Z czystym sumieniem możemy powiedzieć, że w R-4 znajdujemy się w

obliczamy. Każdy z nas średnio pracuje przy głębieniu szybu osiem lat. Większość sztygarów zaczynała od pracy jako fizycy. Do budowy R-3 nasze przedsiębiorstwo dobierało specjalnie załogę. Sam kwiat tu przyszedł.

— Jak długo dacie radę ciągnąć tę robotę? Nie marzycie jeszcze o ciepłych pantoflach?

— Jeszcze się trochę pociągnie... Budownictwo górnicze to są niepowtarzalne sytuacje. Ja chyba nie wytrzymałbym w dyrekcji przy papierach i biurku... Tu wymagany jest typ ruchowca: szybkie działanie, szybkie decyzje... Owszem, nerwówki bywają straszne, nieraz pracuje się dzień i noc. Ale nie to najbardziej wpieprza człowieka, a biurokracja...

— Kiedyś telefonuje do mnie młody chłopak, który miał projektować dla nas szyb wentylacyjny. Pyta mnie jak ma to zrobić. A ja mu mówię: Przyjeżdż królewiczu, zobacz sam jak to powinno wyglądać, ja się nie znam na wentylacji... Często chłopcy po

SPOTKANIE

światowej czołówce jeśli idzie o głębienie. Zastosowaliśmy system podwieszania tubingu — montowania go od góry. W ten sposób samo kopanie szybu wyprzedza o trzy metry obudowę, czyli o dwa pierścienie tubingu. Najtrudniejsze jest te prawie 500 m, które trzeba zamrozić do temperatury minus 35 stopni. W każdym szybie sprawdzamy nowe metody, bez tego nie da rady. A światowi specjaliści mówili, że Polacy nie przejdą tej głębokości.

— Polegacie na sobie?

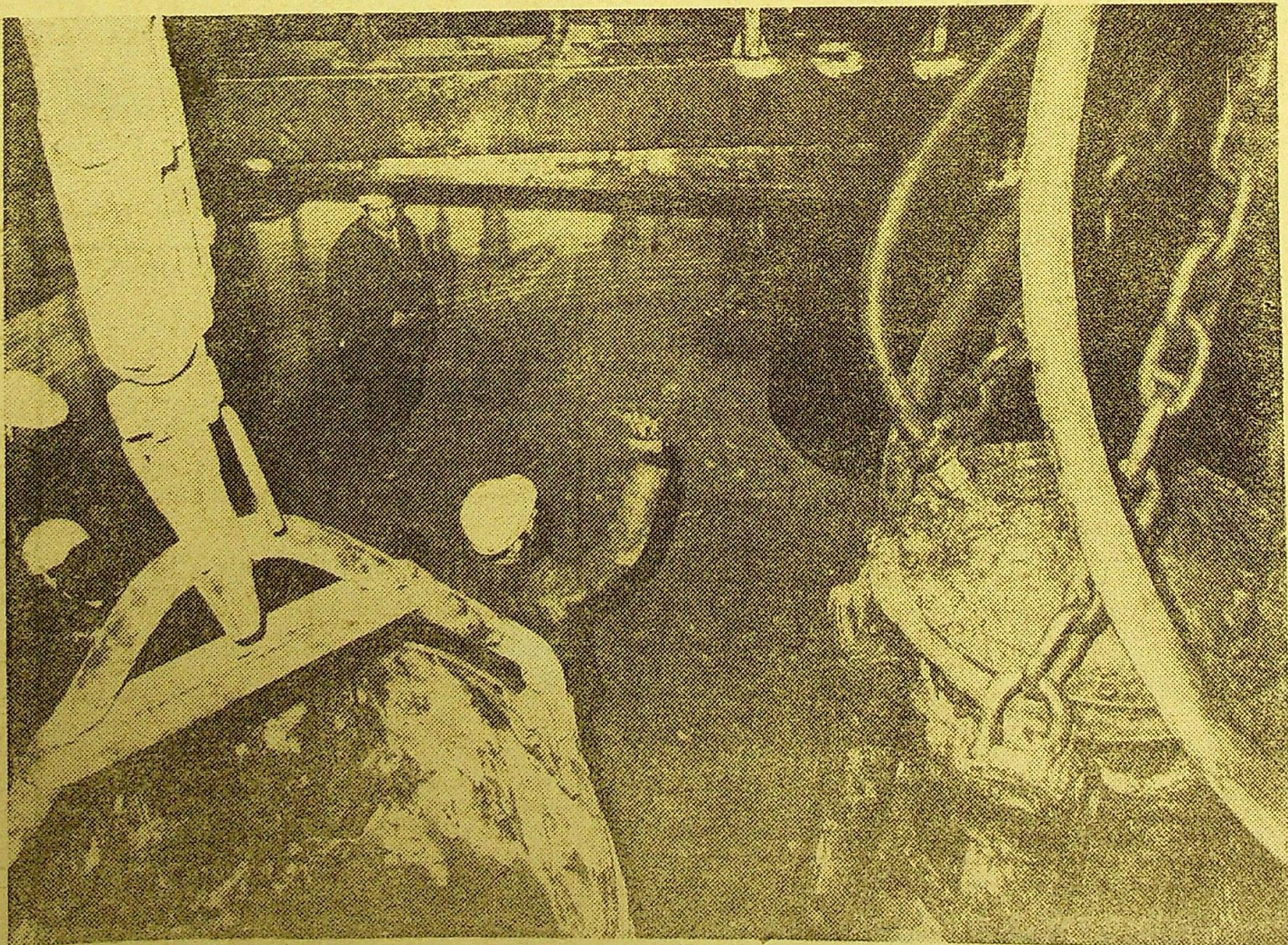
— Nie dałoby się tego robić bez dobrego zgrania ludzi. Chwilęczkę

studiać boją się pracy w ruchu, a najwięcej uczy życie...

— W kopalni „Lubin”, jeszcze dawno, też było sporo radosnej twórczości. Hałdy złomu nic, tylko rosły. Na samym początku uszczelnianie kuzawki odbywało się przy pomocy słoniny, kufajki i słomy... albo do pracy była tylko mandolina czyli łopata.

— Teraz mamy tu taką masę nowości, że na własnym placu budowy nie można ich ogarnąć. Dlatego przyszedłem tu z Turpszowa. Górniczy z węgla, a to jest przecież niezły poziom są zaskoczeni. Też nie przypuszczali, że damy sobie radę. Teraz przyjeżdżają podglądać nas nawet z Bytomia, a Bytom, ho, ho, najbardziej doświadczony w budownictwie górniczym przedsiębiorstwa w Polsce...

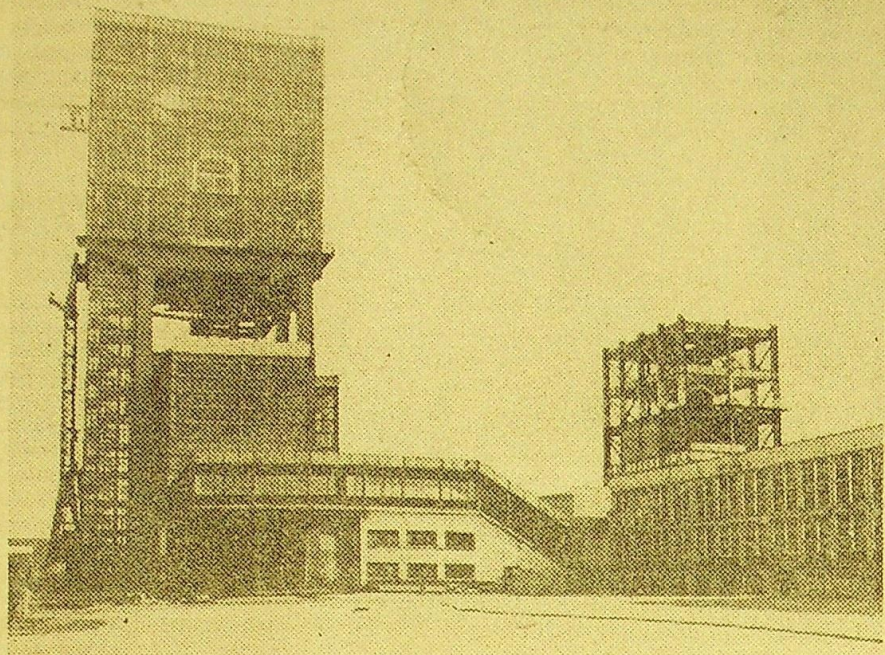
Siedzmy z Głowackim w kuble, który za chwilę zacznie zjeżdżać na dół. Mamy na sobie roboczą bieliznę, kufajki, gumki, spodnie. Kubeł wisi na linie. Gdy sto się w środku, jego krawędzie znajdują się mniej więcej na wysokości oczu. Już. Otwiera się kłapa zamykająca wlot szybu. Opuszczają nas. Średnica szybu ma 7,5 metra. Oświetlamy wnętrza latarkami. Opęte żelaznymi obręczami tubingu ściany. Snopy światła wydobywają z nich iskrę szronu. Chłód. Dopiero na ośmiuset metrach, gdy nie ma już mrożenia, w szybach i chodnikach temperatura wzrasta nierzadko do ponad plus 30 stopni. Kilkanaście metrów nad dnem szybu wisi pomost. Pełni rolę stanowiska dyspozycyjnego. Mijamy go bardzo wolno. Osiadamy na dnie. Dwunasta w południe. Z ciemności szybu wpadliśmy w oświetlone reflektorami jak atelier filmowe stanowisko robocze na dnie R-4. Głębokość dopiero 420 metrów. Akurat pierwsza zmiana kończy pracę. Przybywa następna. Kilkunastu ludzi. Dziś zakładają się kolejny pierścień tubingu. W każdym pierścieniu trzeba ułożyć 170 śrub. Dawniej praca ta należała do najcięższych. Teraz śruby wkręca się mechanicznie — automatycznym wkrętarkami i praca ta stała się jedną z najłatwiejszych. Oto problem: czym kopać szyb? Tutaj z boku, pod zaokrągloną ścianą, rozpięta się przypominające żuka urządzenie — maszyna: kombajn. Po raz pierwszy zastosowano go w R-4. Jest dzieckiem górniczych konstruktorów. Przebrnął przez całą głębokość góro-



Głębienie szybu R-4.

Zdjęcia Krzysztof Raczkowiak.





WOJCIECH ADAMIECKI Z RUDNA

tworu mrożonego. Teraz gdy szyb dochodzi do skały, trzeba będzie go zastąpić wypróbowanymi dopiero wiertarkami albo — jak było we wszystkich innych szybach zagłębia — młotkami pneumatycznymi. Właśnie te młotki są głównym wrogiem górników. Powodują hałas o kolosalnym natężeniu i choroby wibracyjne. Spróbowałbyście pracować przy pomocy takiego 25-kilogramowego młotka przez sześć godzin. No tak, w redakcji „Konkretów” (tygodnik, który jest w zagłębiu rozchwytywany, a robi go młody i wielce zapalony do tego zespołu) mówił mi ten wysoki blondyn:

— Nie wiem jak pisać o pracy górników od dnia kiedy dowiedziałem się, że bywają przypadki posyłania ludzi przed trzydziestką na rentę, z powodu stanu zdrowia.

Pamiętam przed dziesięć laty, na dzień szybu gdzie pracowało kilku ludzi z młotkami pneumatycznymi mogłem wytrzymać pół godziny, nie biorąc młotka do ręki. — Teraz, przy kombajnie, jest o 50 procent lepiej — mówi Głowacki — coż więcej możemy zrobić oprócz naciskania na konstruktorów i wypróbowywania nowych urządzeń? R-4 metr po metrze pełnie w dół, a jednocześnie od strony szybów kopalni Polkowice prowadzi się w stronę Rudnej poziome chodniki, które niebawem spotkają się z chodnikami ciągniętymi od ukończonych już szybów wschodnich. Na górze szefowie patrzą na zegarki, na dole powstaje podziemny labirynt, w którym mogą poruszać się samojazdne pojazdy. Na dzień R-4, pośrodku, leży stos śrub przygotowanych do skrócenia oplatających od samej góry ściany szybu żelaznych pierścieni. Porcja na dzisiaj. Druga zmiana rozstawia się na stanowiskach.

KTO by pasował do takiej rozmowy... — mruczy Głowacki — niech no ja pomyszę... chyba Rożek byłby niezły. Chłopak wszedł jakoś w kopalnię, a to nie jest łatwa sprawa, bo takich, co wędrują raz tu, raz

tam, pokażą się, znikną — nie brakuje, a takich, co zostają, zauważa się. Patrzę na takiego i myślę: — Jakiś ty? Jest w tobie kawałek mężczyzny, czyś niepozobierany jak panna? Poszukajmy go, on będzie miał teraz trochę czasu.

Głowacki zagląda do baraczk. — Hej, jest tam Rożek?!

Proszę posłuchać Edmunda Rożka, chociaż to co opowiada jest znacznie mniej barwne od przygód Belmonta. Może warto wyobrazić sobie przy tym krajobraz tego kawałka zemi. Świeże, wywołane w tej pustce kształty miast, nazwane na nitki szos wbiegające w większości wpatrzone w gospodarczą eksplozję miedziowego zagłębia, w dwóch miejscach przy tym górnym gigantycznym wyrastającym bryli hut miedzi, wieże kopalni „Lubin”, „Polkowice”. „Rudna”, jakaś świeżość i ruchliwość tego co otacza tutaj mieszkańców, co zagłębie z kolei przejęło też od ludzi. Stąd zapewne zjawisko, które nazwałbym dynamizmem oczekiwania, nadziei, w których zawiera się kategoryczny imperatyw dokonywania przeobrażeń, łamania krępujących hamulców, bo rozwój właśnie staje się tutaj, wbrew wszystkim trudnościom, prawem naczelnym, a nadzieje rozwój postulujące dziać się — oprócz bodźców inwestycyjnych i zwiększonych stawek roboczych — jak jeden z jego motorów.

— ... W ogóle to było tak, że studiowałem już na trzecim roku górnictwa odkrywkowego we Wrocławiu, kiedy nagle się ożeniłem w Legnicy. Moi rodzice pochodzą z Poznańskiego, wywieziono ich do Niemiec, na roboty w czasie wojny, w góry Harzu. Pracowali tam na wsi, u bauera. W Poznaniu mieli gospodarke, trzy hektary z kawałkiem. Po wojnie całą gromadką wracaliśmy do Polski: matka, ja mały szczeni w beciku, dziadkowie, krewni matki. Dziadek z jednym wujkiem postanowili szukać zaczepienia na ziemiach zachodnich. Wypatrzyli w Legnicy czteropokojowe mieszkanie i tam w siedem osób zaczęli

śmę żyć. W ten sposób Legnica stała się moim miastem rodzinnym. Mama została księgową, ciotka — wychowawczynią w przedszkolu, dziadek poszedł do pracy w gazowni.

Stamtąd, po ogólniaku wybrałem się na studia. No, ale od czasu żeniaczki trzeba było inaczej spojrzeć na sprawę. Przyszło dziecko. Zamieszkaliśmy z żoną u matki, „kąt” jak to się mówi. Poszukałem sobie roboty w zagłębiu, w Polkowicach; trzeba było wstawać o czwartej rano, dojeżdżać. Ze studiów prosto do kopalni, tak... To było zderzenie światów. I co ukrywać — koniec zabawy. Pamiętam jak dziś mój pierwszy dzień pracy. Pierwsze zadanie jakie dostałem polegało na zrywaniu osłony betonowej. W szybie, na samym dole. myślałem, że to piękło. Huk. Po czterech godzinach mówi do mnie przodowy: — Masz już dość, odpocznij sobie, załaduj ten beton do kubła. Nie cackał się ze mną. To była trzecia zmiana, kończyła się o 12 w nocy. O 1 w nocy znalazłem się na szosie Lubin-Legnica. Puściutko, nic nie jedzie. O 5 rano na piechotę byłem w domu. Spacer dobrze mi zrobił.

Na początek przyjęli mnie na fizycznego — ładowacza. Od tego czasu obszedłem niemal wszystkie stanowiska w kopalni: w szybie, przy obsługiwaniu przodka, przy budowie ścieków, torów. Na przodku pracowałem w czasie wakacji, bo wtedy nie musiałem się uczyć, aha, bo ja po półtora roku pracy w kopalni zacząłem studiować zaocznie. Niedługo mam obronę pracy dyplomowej na Akademii Górniczo-Hutniczej: eksploatacja — głębień e szybów.

Ne będę bujał, nie widziałem się w tym zagłębiu na dłuższą metę. W gruncie rzeczy traktowałem to jako okazję do dostania się na studia. — Wszystko wytrzymam — myślałem sobie — żeby tylko wywindować się przy pomocy uczelni. No tak, trafiłem do między wskutek zbiegu okoliczności, widocznie tak już jest w życiu. Na początku, jak zacząłem studiować, szefowie nie wierzyli, że skończę, nawet trochę krzywo patrzyli, bo brałem urlopy, przysługiwali mi zwolnienia... Stosunki zaczęły się zmieniać na lepsze, gdy dobiegłem do trzeciego roku. Może zaczęło im na mnie zależeć? W brygadzie ciągle zmieniali mi się ludzie, tylko ja zostawałem na swoim miejscu. Niby podobało mi się tu, ale... Wie pan, nawet nie chciałem brać mieszkania choć mi zaproponowali. Naprawdę, nie wiedziałem czy tutaj zostanę, mieszkanie jednak wiąże. Może brakowało mi pewności, wiary w siebie, zaufania do samego siebie, przecież to było stawianie pierwszych kroków.

W 72 byłem już pewien, że skończę studia. Przyszedł skok w stawkach. Zmieniły się w ten sposób na korzyść główne punkty, które miałem do załatwienia. Zdecydowałem się sprowadzić tu rodzinę. W 72 w październiku dostałem mieszkanie. W Polkowicach. Znajomi się dziwili: Zamieniasz Legnicę na Polkowice? Zwartowałeś?

No tak, jestem teraz zastępcą sztygara zmianowego. Sporo moich ludzi znam z poprzedniego okresu, kiedy razem harowaliśmy jako fizycy. Nie jest to łatwe — trzeba ich dobierać,

REPORTAŻ

zostają ci, na których można liczyć. Wiem o nich wszystko. Nieraz przychodzą do mnie ich żony, a kobiety lubią sobie niezgorzej pogadać. Ciekawi ludzie czasami mi się zdarzają. Taki przodowy Walas: był kiedyś fryzjerem, widać znudził mu się ten fach. Miałem kiedyś niedosłego księdza, nawet jednego złodziejaszka, który zdążył już posiedzieć.

Wie pan, co myślę? Tu naprawdę rodzi się jakaś tradycja, styl życia — nie wiem czy nowy, po prostu tutejszy. Na przykład nie ma tu zwyczaju, żeby ludzie chwalili się łatwym życiem. Raczej odwrotnie. I nie wypytuje się człowieka zanadto o poprzednie życie. Jesteś tu — dobra, umiesz coś — pokaż, lubisz się migać — lepiej poszukaj sobie innego miejsca.

Inna rzecz, że trzeba tu dość dużo umieć, żeby zajmować jakieś fachowe stanowisko. I dużo trzeba praktyki, żeby wejść w to wszystko, wtopić się naprawdę tutaj być. Mówią, że dobrze dogaduję się z ludźmi. Bez doświadczenia, które tu wcześniej zdobyłem nie potrafiłbym tego. Działaj, powiedzmy, tylko jeden wyciąg, ale szefa to nie obchodzi — zrób pan tak — mów — żeby wydajność nie spadła ani o milimetr. Takiej rzeczy też trzeba się nauczyć.

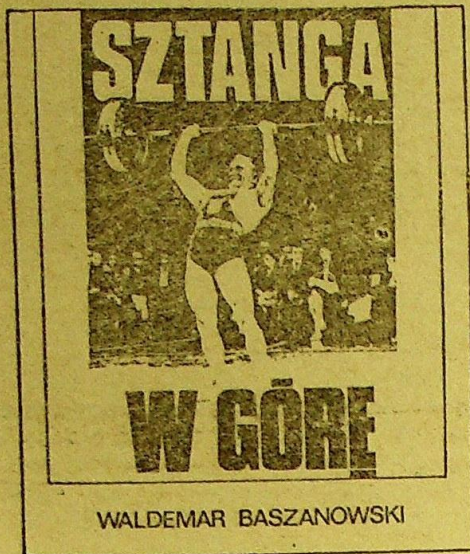
Na te moje trzydzieści lat ładny kawałek przypadł na naukę, w jakiej by ona formie nie była. Ciągłe siebie obserwuję, badam. Przyzwyczaiłem się — do tych wież, do tych domów, w których przeważnie mieszkają młode małżeństwa z dziećmi. Dla mnie ważne jest to, że już nie żyję w takim młynie od kiedy skończyłem studia, i mam czas na zastanowienie się nad tym wszystkim, czas na dzieci, na mecz na to żeby pofotografować i kupić album z malarstwem. Czeka pan, kiedy zacznę mówić o samochodzie? To nie jest moje marzenie. O marzeniach też nie chciałbym teraz mówić. Żeby dwóch moich paroletnich baków wychowało się przyzwyczajenie? Banalne byłoby prawnie takich rzeczy. Żeby było „dużo szczęścia, zdrowia i pieniędzy”? Proszę pana, nie jesteśmy przecież u cioci na imieninach.

Podjeżdża autobus. Zaczyna mżyć deszcz. Wsiadam. — Podjedzie pan? — pytam go. — Dziękuję, chyba się przejdę, mam niedaleko — odpowiada.

NIECALE dwa kilometry stąd widać mury nowych domów. Polkowice. Ziemia przypórsko-pyłem. Czy to jest miejsce, które znalazł? Które kiedyś było dla niego nieokreślonym punktem Polski lub świata? Znam wielu ludzi, w wielu miejscach, u jednych sama sylwetka, sposób stawiania kroków, robią wrażenie niepasujących do tego kawałka ziemi, po którym chodzą. A kroki innych — choć może to złudne — wywołują przekonanie, iż są oni właśnie stąd, że na to właśnie miejsce przystali, choć kiedyś zapewne szukali czegoś innego na kontynentach tysiąca marzeń.

Rożek idzie spokojnie, pochyla głowę przed zacinającym deszczem. Autobus zakręca, teraz go mija, chce mu pomachać ręką, nie patrzy na mnie, idzie ku swemu domowi. Po kilku minutach nie odróżniam już jego sylwetki od innych szczegółów krajobrazu.

Drukujemy powyżej obszernie fragmenty reportażu Wojciecha Adamieckiego, który otrzymał II nagrodę w ogólnopolskim konkursie organizowanym przez KGHM na utwory ukazujące przemiany społeczne w zagłębiu miedziowym.



CORAZ częściej nachodziły mnie myśli o wycofaniu się ze sportu. Łatwiej jednak powiedzieć — wycofać się, niż naprawdę zrezygnować. Smał życia związałem przecież ze sztangą... Wycofać się... Już czas... Zaczynały mnie już męczyć treningi. Coraz częściej też „odzywały się” moje stawy. Bólały kolana, łokcie, kręgosłup. Wycofać się... Już czas... — mówiło coś we mnie. To „coś”, zwłaszcza po porażkach, mówiło do mnie bardzo głośno i coraz natarczywiej. A niestety, zaczynałem prze-

grywać. Miejsce Mariana Zielińskiego zajął nowy rywal — Zbigniew Kaczmarek, który wygrał ze mną w 1971 roku na mistrzostwach świata w Limie. On został mistrzem świata, ja zdobyłem tytuł wicemistrzowski wynikiem 435 kilogramów.

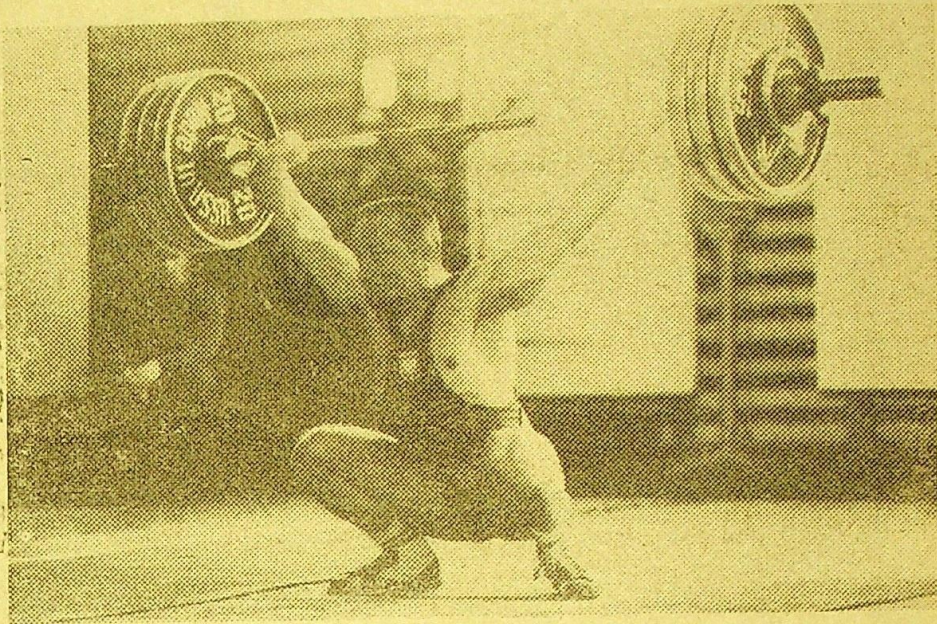
Złoto przegrałem także na mistrzostwach Europy w Rumunii. Zmieniłem wówczas styl w wyciskaniu, a wiadomo — każda zmiana stylu pociąga za sobą pewne komplikacje. Spaliłem podejście w wyciskaniu. Co do tego „spalonego” to nie byłem taki pewny. Chyba mnie jednak sędziowie skrzywdzili twierdząc, że dotknąłem łokciem kolana. Mniejsza z tym. Nie martwiłem się tym zbytnio. Ba? Byłem nawet przekonany, że w sumie w tej sytuacji, srebro jest dla mnie lepsze niż złoto. W tej sytuacji — czyli przed olimpiadą. Była to po prostu dla mnie lepsza pozycja wyjściowa. Gdybym został mistrzem, znów, jak przez lata, zaczęłyby się różne kalkulacje. Znów byłbym psychicznie obciążony mianem faworyta...

Po mistrzostwach Europy zostaliśmy jeszcze w Rumunii. Rozkoszowałem się cudowną pogodą, słońcem. Zapomniałem o bolących kościach. Czulem się wręcz znakomicie. Serce, płuca, mięśnie, układ nerwowy —

bez zarzutu. Byłem świeży, dosłownie rwałem się do sztangi. I to mnie zmyliło. W poprzednich latach po olimpijskim treningu padałem ze zmęczenia, dłonie miałem w bąblach, czulem wstręt do ćwiczeń. W tamtych latach kres moich możliwości i wydolności ograniczały stawy. Tym razem zupełnie ich nie odczuwałem. Na treningach działały bez zarzutu jak dobrze naoliwione dźwignie. Na miesiąc przed igrzyskami osiągnąłem życiową formę. Mówiąc konkretnie:

mogę! Wreszcie chyba dopiero za szóstym razem wycisnąłem te 130 kilogramów... Zanim wszedłem na podium wiedziałem, że to już koniec wszystkiego. Koniec moich marzeń, koniec moich ambicji, że to już sprawa tylko zdobycia punktów dla biało-czerwonych. Rywale byli poza zasięgiem moich możliwości...

Zająłem w rezultacie czwarte miejsce, za Kaczmakiem. Wycisnąłem 142,5, wyrwałem 130, podrzuciłem 162,5 kilograma. 435 kilogramów w



POŻEGNANIE



tylko dwukrotnie w życiu udało mi się wyrwać 140 kilogramów, a teraz robiłem to na każdym treningu, regularnie, jak na zawołanie. Podrzuciłem też na pierś 190 kilogramów, co nie udawało mi się nigdy przedtem. Wszystko razem wprowało mnie w zdumienie. Byłem jak najlepszej myśli tym bardziej, że nikt mnie o taką formę nawet nie podejrzewał. Faworytem byli zawodnik radziecki Kirzynow i Bułgar Kuczew, w przedolimpijskich kalkulacjach wyprzedzał mnie także Kaczmarek. Tamczasem ja szykuję taką niespodzankę...! Doskonała kondycja uśpiła mnie chyba...

Bezpośrednio przed olimpiadą zgrupowani byliśmy na obozie w Zakopanem. Przez cztery tygodnie, od pierwszego dnia, do ostatniego, deszcz lał bez przerwy! Mimo to byłem jeszcze w doskonałej formie. Rwałem „na co dzień” 140 kilogramów wyciskałem 150, podrzucałem 180! Słowem — forma bez zarzutu. I nagle... Nagle zaczęły się dolegliwości. Po słonecznej Rumunii odezwało się ze wzmoczoną siłą w moich stawach deszczowe Zakopane. Lekarz, masażysta, masażysta, lekarz. Trzy razy dziennie masaż, na noc jakieś smarowidło, spanie w dresie i skarpetkach. Mimo to ciągle nie przypuszczałem, że może być źle. Przecież czy to raz coś bolało dokuczało? A człowiek zapomina! Węc znów — masaż, dres, skarpetki...

Niestety. Nie pomogło. Ponadto stała się jeszcze jedna rzecz. Moja wysoka forma mimowolnie przyczyniła się do przetrenowania Kaczmarka. Wygrywał już przecież ze mną, a że teraz widział, iż jestem lepszy od niego, więc stałe nasilał trening. W rezultacie ja zniszczyłem sobie stawy, on „zarzął” się fizycznie i psychicznie...

★

Mimo wszystko nie traciłem nadziei. Chciałem musiałem przezwyciężyć własny organizm i własne z tymi chęciami pojechałem do Monachium. Na rozgrzewce poszło mi doskonale, ale tylko do ciężaru 120 kg. Biorę na sztangę 130 i rany boskie! zupełnie nie mogę się odchylić. Próbuje raz... drugi... trzeci... Nic? Nie

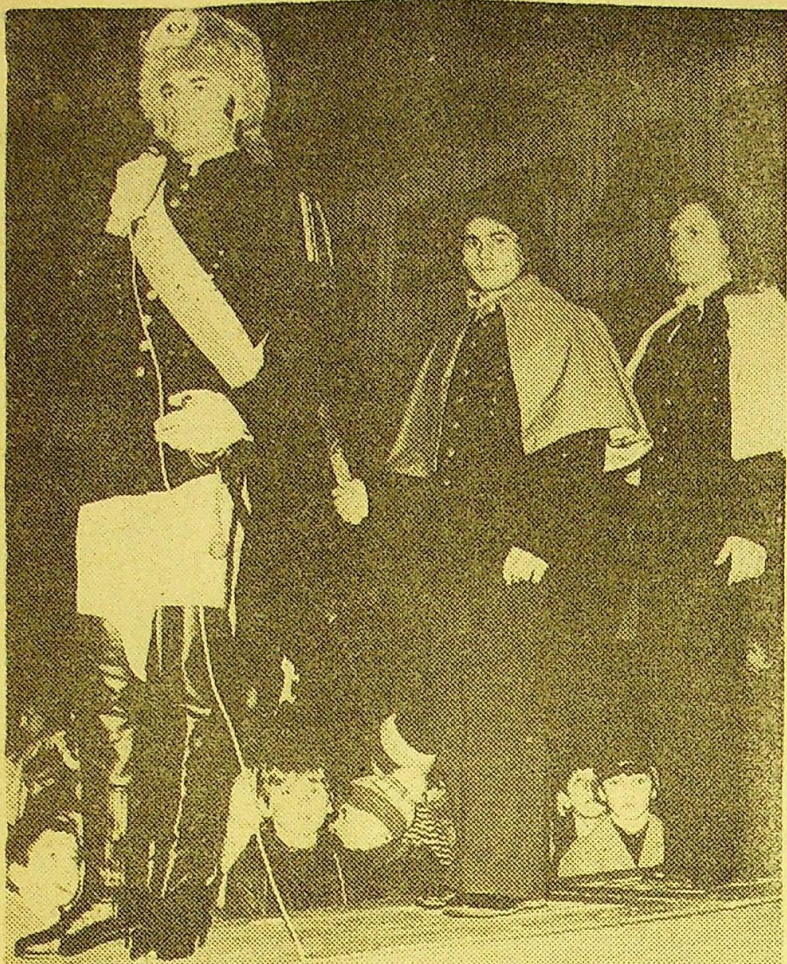
trójboju — nieciekawo to niestety wynika...

A mało być przecież zupełnie inaczej. Przyznaję bez żenady, że myślałem o złocie. Marzyłem, że złotem z Monachium przypieczętuję całą swoją sportową karierę. Start w Monachium miał ją przecież zakończyć. Planowałem to od dawna. Zrobiłem wszystko, aby to zakończenie było udane, efektowne. Oszczędnie gospodarowałem swoimi siłami, akumulowałem je na ostatnią batalię. Wiedziałem przecież, że do Montrealu w żaden sposób nie dołączę, że Monachium to będzie walka o trzeci i zarazem ostatni złoty medal olimpijski. Ułożyłem sobie wszystko. Wszystko zaplanowałem jak jakiś komputer. Nie wyszło. Nie wytrzymały stawy. Było ze mną tak jak z samochodem, w którym zamontowano bardzo mocny silnik, a mimo to nie dojechał do mety, bo karoseria okazała się za słaba rozspalała się...

Nie spełniły się moje marzenia. Było to przykre. Bardziej jednak przykre niż nieudany start, była świadomość, że nie mogę odegrać się, że nie mam już żadnej możliwości rewanżu. Zdałem bowiem sobie sprawę, że każde następne wyjście na ciężarowy pomost prowadzić będzie do następnej katastrofy, że nie mam już szans na sukces... Tak, to już koniec. Nawet nie potrafię powiedzieć jak bardzo było mi ciężko pożegnać się ze sztangą po piętnastu latach naszej przyjaźni. A jednak musiałem to zrobić. W 1973 roku w Elblągu na mistrzostwach Polski w podnoszeniu ciężarów pożegnałem się z „moją” sztangą na zawsze...

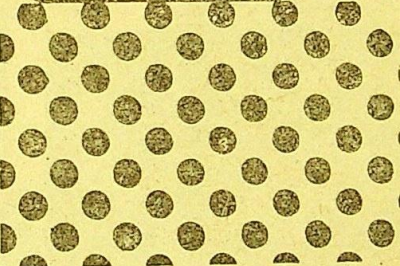
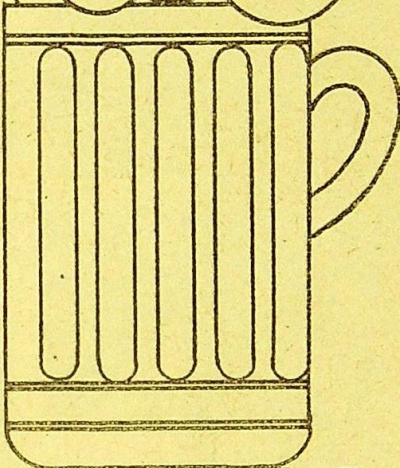
Notowała: M.S.





W „Rudnej” piwo pili i pocieszne podarunki sobie wręczali: dowódca wojsk lotniczych gen. dyw. pilot Henryk Michałowski, Jerzy Kolasiński z „Cuprum”, minister przemysłu ciężkiego Włodzimierz Lejczak, wiceminister Janusz Bojakowski oraz dyrektor naczelny ZG „Rudna” Zenon Słowiński.

KARCZMA PIWNA



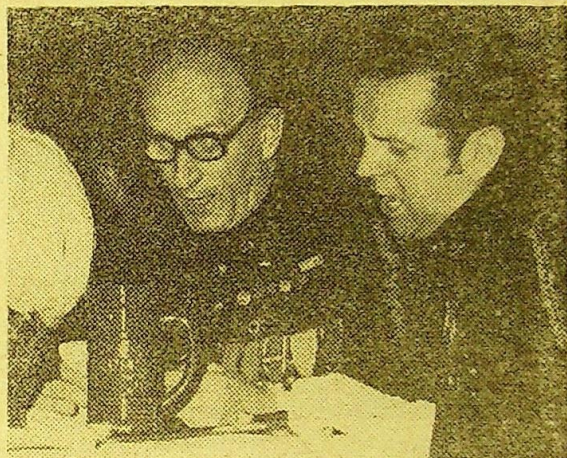
Tradycja stara jak górniczy stan. Uroczystość skoku przez skórę i karczma piwna. Foto-reportaż z barbórkowego święta górników ZG „Lubin” i ZG „Rudna” przygotowali Janusz Budnicki, Mieczysław Kowal i Andrzej Nowakowski.

Od góry:

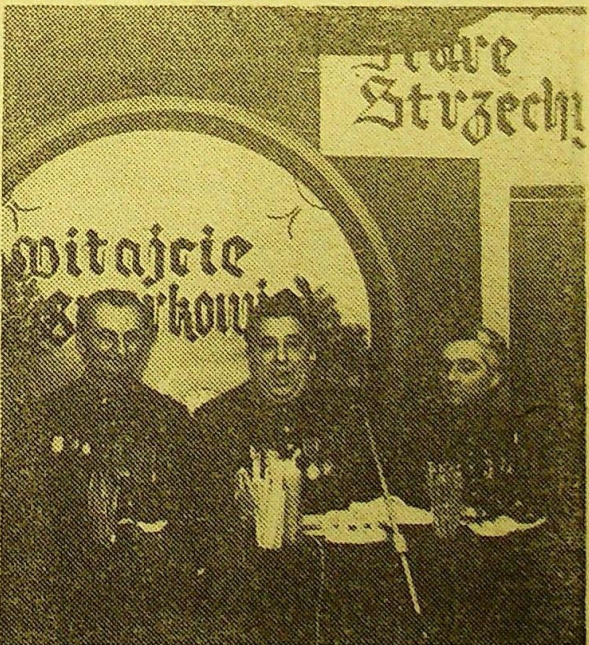
Na lubińskim rynku doroczna ceremonia pasowania na gwardków. Lis Major prowadzi fuksów przed oblicze Starych Strzech.

Takie kufle spełnia się tylko raz w roku...

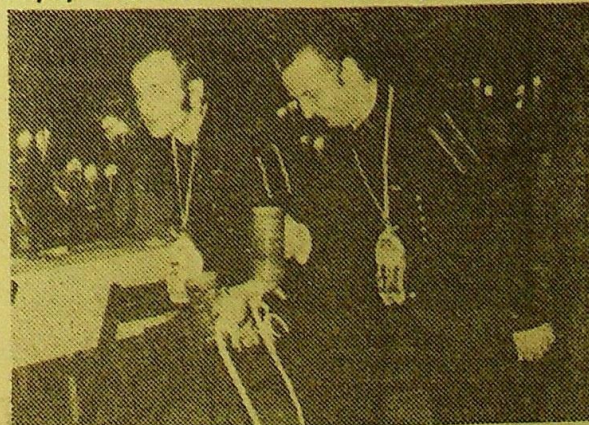
Obdarowany przez Stare Strzechy pędzlem i farbami szef „Konkretów” Ryszard Pollak przysięga na kufel piwa, że tygodnik będzie kolorowy.



Biesiada piwna nie obywa się bez pieśni bachicznych. Pełnym, jak zawsze, głosem wznosił je naczelny dyrektor KGHM Tadeusz Zastawnik.



Karczma piwna ZG „Lubin”. Stare Strzechy: dyrektor naczelny Adam Jesionek, Teofil Kowal — Prezes w Sprawach Piwnych Nigdy Przenigdy Nieomylny oraz wiceminister Janusz Bojakowski.



Głęboki szacunek Wysokiemu Prezydium...





Z miłości i namiętności pięknej Semele (Maria Górniczak) i Zeusa zrodził się Dionizos (Zbigniew Papis).



Dionizos zмага się z Tytanami.

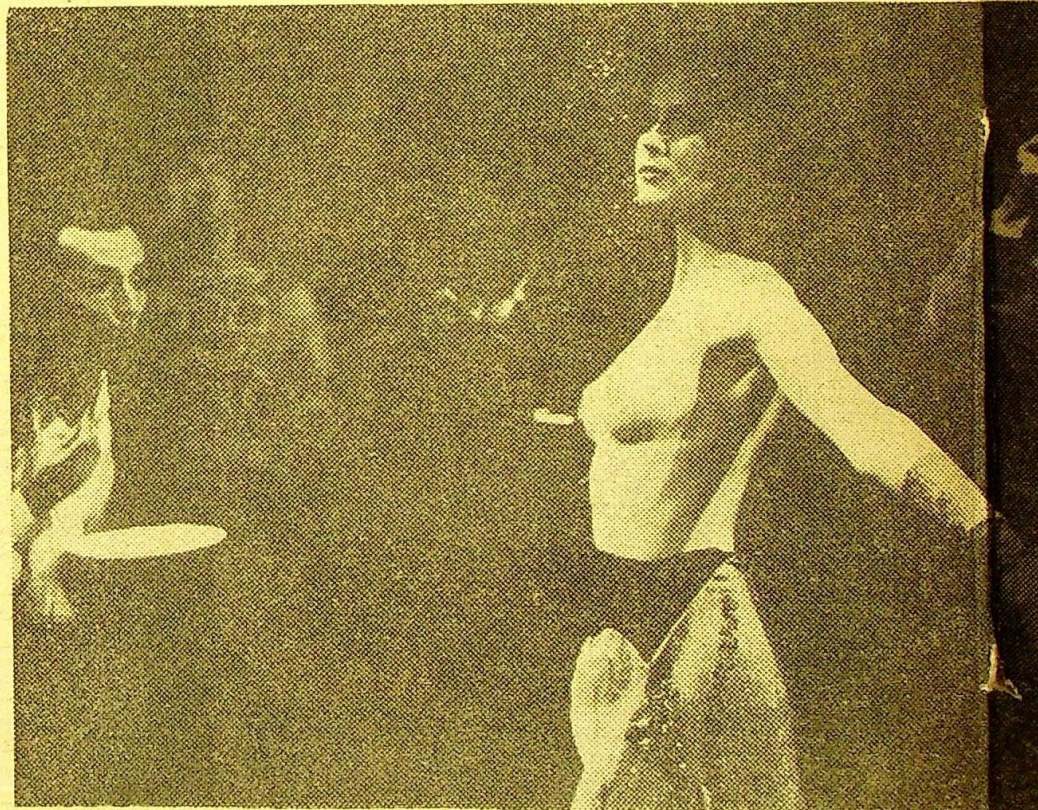


Urokowi gościa, który jest uosobieniem Bachusa, ulega matka (Danuta Kisiel-Drzewińska).



Zazdrosna Hera (Jerzy Kozłowski) podstępem niszczy Semele a Tytani (na drugim planie) rozszarpia Dionizosa.

Przyjazd gościa rozpętał ziemskie bachanalia. Scena z towarzyskiego przyjęcia, planie Maria Swidergal.



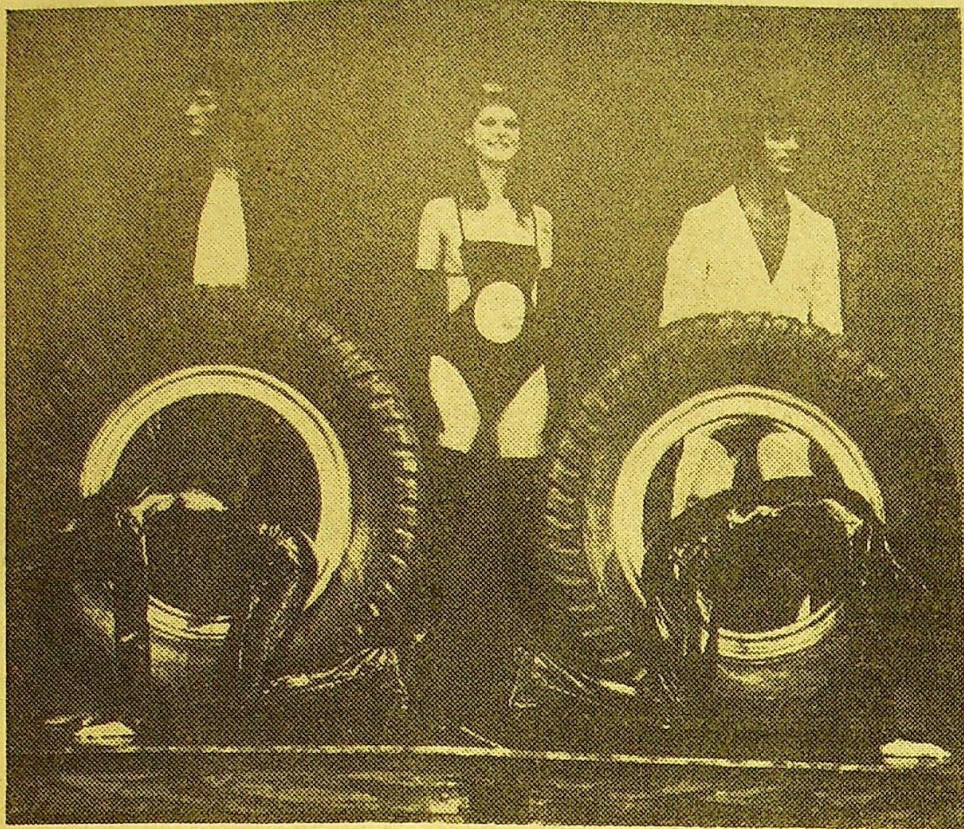
PANTOMIMA Wrocławska powstała w 1956 roku, jej twórcą i organizatorem był Henryk Tomaszewski, który do dziś kieruje teatrem. Historia tej sztuki sięga I wieku przed naszą erą, kiedy to w Rzymie pojawiło się widowisko zwane pantomimem. Aktorzy odtwarzali za pomocą ruchów ciała, gestów, tańca i mimiki akcję opowieści i jej atmosferę. Od tamtych czasów sztuka pantomimy przetrwała do dziś przechodząc różne przeobrażenia, ale ruch, gest, mimika pozostały nadal jej głównym środkiem wyrazu.

Henryk Tomaszewski w swoich inscenizacjach ukazuje najistotniejsze problemy ludzkiej egzystencji. Wprowadza do pantomimy elementy gimnastyki, akrobacji, tańca, obrzędów ludowych. Muzyka i rekwizyty stwarzają nastrój, są pomocą w określeniu charakteru postaci. Przez 18 lat istnienia Pantomima Wrocławska przygotowała 13 premier. Zdobyła uznanie w kraju i za granicą, występując w ponad 40 krajach świata. W marcu odbyła się najnow-

sza premiera „Przyjeżdżam jutro”, serował, scenariusz i choreografia Henryk Tomaszewski. W tym przedstawieniu ukazano bogów i ludzi. Wszystkie dążenia i pragnienia bogów i ludzi odzwierciedlają po wiekach odbicie w lustrze. Przedstawienie rozpoczyna się od spektaklu, który jest lekin jako aranżer i animator.

We Wrocławiu pantomima w lutym. Jednak jak nas zaprezentowałyby się w zapałce pod warunkiem, że znajdziemy nas. Koszt przedstawienia jest wyższy, niż wpływy z biletów nie są całkowite. Może warto by się zająć dniem do zagłębienia tego naszego teatru.

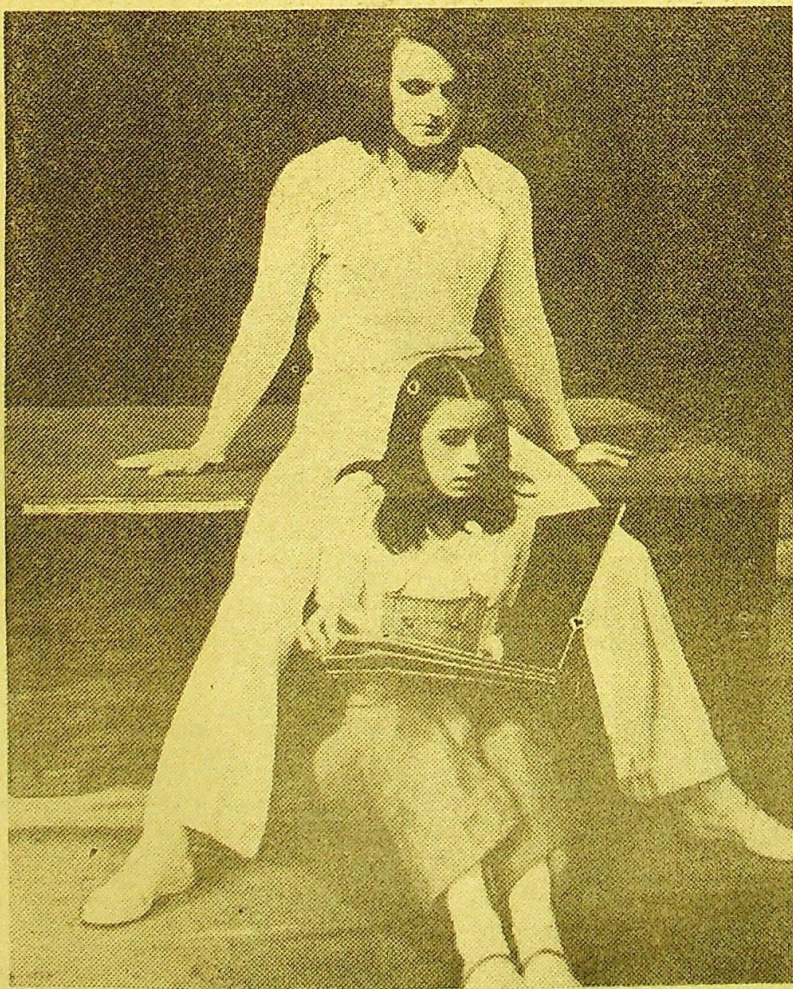
Na czerwiec 1975 roku przygotowana nowa premiera, do której scenariusz i choreografia „Pana Twardowskiego” Ignacego opracował Henryk Tomaszewski stworzył Zbigniew Karnecki – stale związany z teatrem.



Druga część spektaklu rozgrywa się we współczesności. Oto fragment jubileuszu w fabryce.

„PRZYJEŹDŹAM JUTRO”

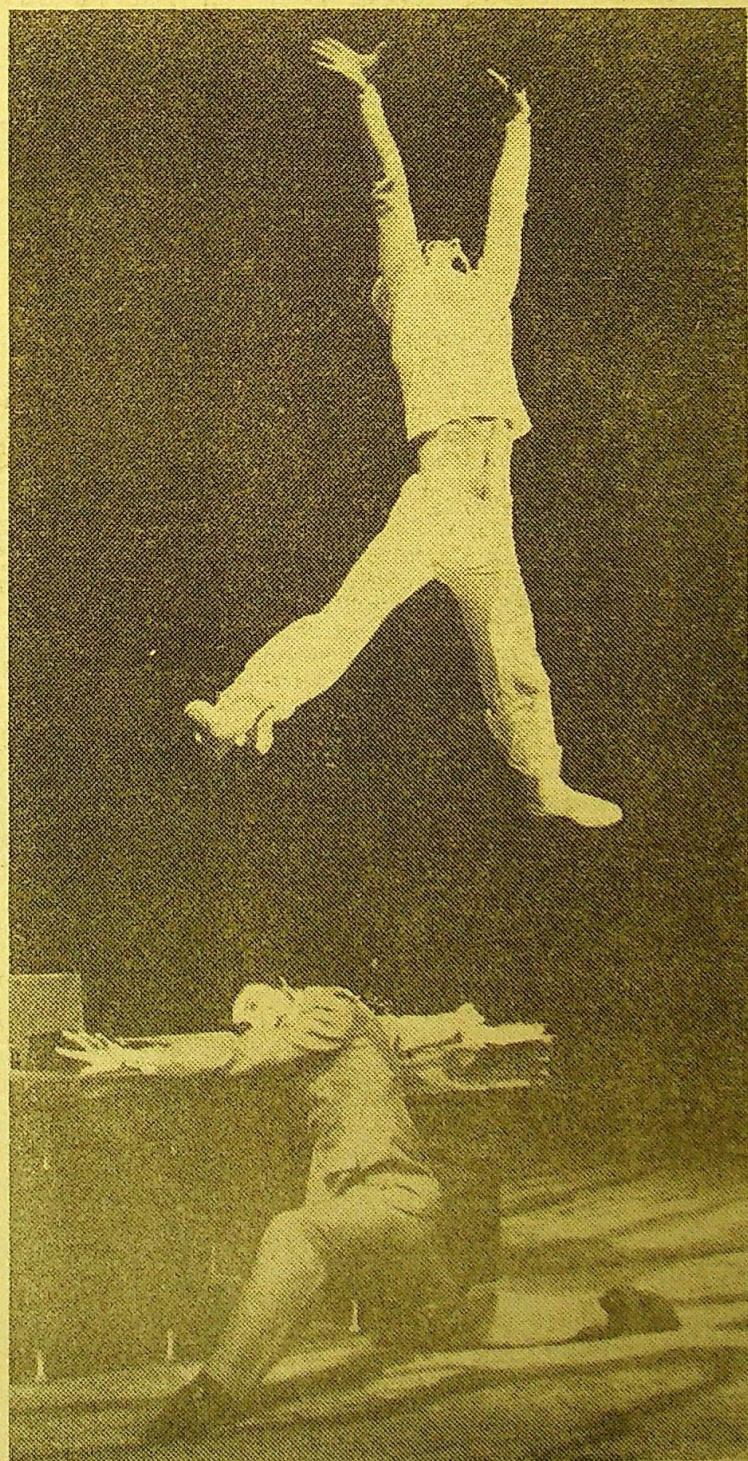
Zdjęcia: Joanna i Tadeusz Drankowscy



Córka (Karina Mickiewicz) darzyła miłością ojca, jednak po przyjeździe gościa wszystkie uczucia przelała na niego.



Telegram – Przyjeżdżam jutro – zmieni całkowicie spokojne życie mieszkańców domu. Na pierwszym planie listonosz (Zbigniew Papis) i służąca (Ewa Czekalska).



Przybysz (Wiesław Starczynowski) odwiedza ojca rodziny (Marian Chutnik) w jego biurze.

EDWARD
REDLIŃSKI

OBIAD NIDZIELNY

NA TRZY dni przed świętami uczycielka wyjechała: zabrała się z Kramarem, a jechał do sklepu po gaz, mączkę, zapalki na hendel, sklep koło stacji w Strabli, dużo drogi, i to kopnej, bo śniegu nawaliło po kolana: wyjechali wcześniej, ledwo dniało, wrzuciła na sanie waliske i torbę, szmatami nogi poobkrywali i przepadli w białym polu.

W chacie zrobiło się bez niej pusto, przestronno, tymbardziej że i cielak przeszedł do chlewa, za specjalne przegródki, że krowie mleka nie podbierał, żłob się tam jemu wstawiło oddzielny z delikatniejszym jedzeniem.

W wigilię Handzia napiekła pierogów z pytlowej mąki, cztery bóchenki, skore pomazała żółtkiem z mączką, pozapiekano się, a wyjęła z piecy, aj, jak zapachniało! Pierogi napieczone na święta, a na wigilię uszykowała barszczu grzybowego, grzybów z cybulą, zalewajki z suszonych gruszek, kuci i polamańców z makiem. Po wieczery mycie było w balet, szorowanie dzieci takie, że rozparzone, maku najedzone, w świeże pościel położone pozasypali od razu. I my z tatą sie pomyli, podziewali czyste koszuli, gaci, niedzielne spodni i marynarki, a budzienne odzienie i kożuchy nasze i dzieciów wrzuciła Handzia do piecy, że sie wszy wyparzyli, póki piec gorąca po pierogach. Potem poszli tatko do Michałowa posiedzieć pogadać z drugim synem, synowo, drugimi wnukami. Ja siano spod obrusa wzięwszy, krowom niose.

A na dworze święto, zorki wyroili się na niebie tysiącami, skrzy się, śnieg bieluński, strzechy bieluńskie, zmierzch nie szary, ale sinawy, tylko okna żółcieją, i cichutko jest, cichutko, mięciutko, czasem pies zaszczeka, ale niegłośnie i bez złości, ach, co za wieczór święty, noc przeświata, Dzieciątko sie Rodzi, Chwała na Wysokościach, pokój na ziemi, radość wszelkiego stworzenia i zgoda: tej nocy zajączek swoje głowy na wilczym boku kładzie, jastrząb kuropatwę pazurami głaśka, pies kota liże, krowy ludzkim głosem gadają o gospodarzach. Na polach, że śnieg nie pisał podszedł ja pod dźwi: a nuż i moja Raba z Mecko rozmawiają? Posłuchał ja, ale nic, żadnego głosu, tylko postękiwanie. A podścieliło się im na święta bogato, leżo w słomie jak w pierzynach leżo, żujo i postękujo, z sytości: Mecka stęknie, Raba odstęknie oho, czy oni gadać nie probują? Mnie zobaczywszy, łby do dźwiów obracają: widzo, że gospodarz przyszedł, siano wiliżne przynios, wstają, a jakże, siano z ręki skubio nabożnie jak opłatek, po trawce po dwie. Jedz, Raba, jedz, mówie, za rogami drapie szyje gładze: jedz, ale pilnuj się, bydlaczku, żeby więcej takich fokusów nie było, jak z tym cielakiem.

Nu i karmie jeszcze mojego wyrodka, niech zje wiliżne strawy, będzie pewniejszy. A ładnie rośnie, żadnej skazy nima, wesolutki rozbrykany, tyle że do Siwki częściej się lasi niż do Raby, o matce całkiem zapomniał, ech, różne dziwy dzieje się na świecie, nie obejmiesz ich rozumem.

Reszta siana do żłobu kładę i dźwi zamknąwszy odchodzę, ale na niby: zaraz cichutko wracam, może teraz, po opłatku, bedo gadać? Nie, postękujo tylko, siano żujo.

Święta świętami, na kolędach zesłi, gadaniu, różańcach. Ziutek z szopko latał. Herody, jak co roku zaszli, śmiechu narobili, podwędzili pół pieroga, ale tak trzeba, jak pamięć pamiętam, zawsze tak samo dokazywali, to samo przedstawiali: każdy w wiosce, kromie małych dzieci, wie na pamięć co robi i wygłasza Herod, co Śmierć, Anioł, Żyd, Koza, Cudzoziemiec, ludzi każde słowo, każdy krok pamiętają i ni zmylić się, nie przeznaczyć nie dają. I dziwne: choć sie umie przedstawienie co do słowa, jakoś tak jest, że nie nudziejo nikomu Herody, za rok znowu czeka sie, że gadali, skakali, dokazywali.

Gody jak Gody, ale Bogaty Wieczor, ten przed Nowym Rokiem, był wesoly. Wyszed ja pilnować gumna, żeby chłopcy czego nie wyfiglowali. Akur-

rat w pore, bo sypali słome od Jozika Dunajów do Mani Bartoszkowej: Sypali grubo, całego okotota nie pożałowali, oj, póki sie zdepchło te słomki pogadają sobie ludzi, pogadają, już sie młode nie wybroni przed wiosko: będzie musiał Jozik iść do niej z rajkami.

Akurat kończyli sypać. A skończywszy rozglądają sie co robić dalej. Pódcchodze ciszką, słysze, zmagają sie zamazać okna uczycielki glino z popiołem.

Jej zamazecie, a ja bede czyścił? mówie raptem, aż podskoczyli... I podmawiam, że Michałowi wartoby co zrobić.

Zatkać dymnik sianem, doradza któryś i wskuśkie w śmiech! wiedzo że u mnie i Michała dymnik jeden: u niego dym by sie kotłował, to i u mnie.

Sobie to ja nie bede zatykał mówie.

To może woza wciągnąć na stodołę, podradza drugi i znowu śmiech, bo wiadomo, że woz też mamy spólny.

Skończyło się na tym, że woz wyprowadzili my ze stodoły Kozakowi, rozebrali na kawałki po kawałku wciągneli na dach: tutaj poskładali i stanął woz na stodołę, na koźlinach, z hołobkami zadartymi do góry! Tylko konia brakowało. To zamiast konia postawili my pomiędzy hołobli kulik słomy.

A dymnik zatkałim Dominowi.

Dalej czarnym Litwinom założyłim słomo drzwi: całe sterte ułożyłim gomlami na sztorc. A drzwi u nich odmykają sie nie do sieniów, tylko na dwor!

Mazurowi Co to ja zawiązałim od nadworza drzwi lejcamy: żeby wyjść z chaty, Nowy Rok zacząć, będzie musiał dubeltowe zimowe okna wyjmować! Szymonowi Kuśtykowi operlim o drzwi ciężki kłoc: rano jak naciśnie zamyczke, nachylony kłoc zwali sie do sieni, na łeb Szymonowi, może i po kuśtyku haknie. Dalej poszli beze mnie, do Mazurowych dziewcząt poszli, przebierać sie: chłopcy za cyganki, wysztukują sobie cycki i zady z siana, podkraszo burakiem policzki, słomiane kosy pozaplatają i spod chustkow wypuszczą, nalożo sukienki do piętów. A dziewczęta boty z cholewkami obujo, nogawki wpuszczą i poodziewają kawalerskie marynarki, i czapki na bakier, i wasy podomałowują węglem i ech, cyganów bedo udawać pójdą po chatach z ręki wróżyć, z wody, czarować dymem, o dzieci sie targować, podpytywać ojców, matki dzie ich syny, córki z domu pogineli, i przyspiewywać, i tańcować, a i myszkować za plecami, z garków wyjadać: tego wieczora wszystko dozwolone, wszystkie żarty. A potem tygodniami będzie sie zgadywało, która była tym cynamem cyganiukiem, jakaż to pleczyta cy-

Niżej drukujemy fragment powieści

Edwarda Redlińskiego „Konopielka”,

książki, która cieszy się rzadko spotyka-

nym powodzeniem u czytelników. Jej

drugie wydanie ukazało się niedawno na

księgarskich półkach.

Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

ganka łokciem cegły z pieca u Dunaja wywaliła, miesiącami będzie się opowiadało, jak Mazur co to ja oknem wyłaził z chaty, Kuśtyk guza złapał, a Kozak zjeżdżał wozem ze stodoły, i wyglądać sie będzie wesela Bartoszkanki z Jozikiem.

Dzień po Nowym Roku Dunaj wysłali na stację Natośnika. Wyjechał rano, a nie wracał i nie wracał, bojełim sie już z Handzio, czy uczycielka nie ostała sie w mieście na zawsze. A może ich wilki przestąpili? Ale przyjechała, tyle że noco, podobno pociong spóźnił sie: miał być przed obiadem, a przyszedł wieczorem. Z sianów wyładowali my ze dwa worki książkow, wielkie okrągłe gule, worek jakichś brzękotkow i waliske. Uczycielka nogi pomroziła i trzeba było ich śniegiem nacierać, Handzia nacierała. Ale choć bolało, ona żartowała, pytała się jak święta przeszli, Handzia dała na prezent sześć talerzów z widelcami i nożami, dzieci pobudzili sie, dostali po cukierku, smoktali i sie przyglądali spod pierzyny, tatko dostali latarkę, takie że jak pstryknąć świeciła: bawili sie, zapalali, gasili, zapalali i wypytawali o miasto. Handzia uszykowała mleka z pierogiem, specjalnie dla niej zostawionym, w chacie poweselało.

S

ZEŚĆ talerzów i sześć lyszkow, nożów i widelcow sprezentowała Handzia uczycielka, ale czy kto wiedzieć mógł co dalej będzie? Wydawało się, że oni ni do czego, ot, do leżenia na policy i Handzi do chwalenia sie przed babami. Aż tu w niedziele staje uczycielka przy piecy za gospodynie, Handzia tylko ognia pilnuje i donosi jej: to wode, to cybulę, to jajka, a ona coś szykuje, jedzenie jakieś niezwykajne. Gotowali w trzech sagankach: w jednym jakiś barszcz czy krupnik, w drugim kartofli, oskrobane, w trzecim buraki sterte na miazge. Jak sie im ta miazga ugotowała, saganek zdjeli i zaczęło sie najgorsze: postawili patelnie, a co na tej patelni?

Kawał kumpiaka, taki że kapuste można by na nim gotować przez pół miesiąca, pokroiła ona w plastry! Te plastry obstukała na-desce polankiem i zaczęła smażyć. A smalcu to rzuciła bez miary, jakby błotem chlapała, a nie sadłem topionym! Smażywszy nalupita cybuli i cybulę mięso obłożyła, prawda, strasznie skierczało, pachniało, Handzia dzieci odganiała, bo całkiem zgłupiała, leżli do piecy jak muchy w mleko, totostygli na murku. patrzyli babom na ręce i postękiwali: O Kirelejsen, cybula! Omatkoboska, jajko! aż z tego wszystkiego różaniec wyjęli i dawaj modlić się oczy zapluszczony, tylko dychają, zapachi łykają. A mnie serce boli patrzeć, na





Język ciśnie się jedno: czy wy baby w Boga nie wierzycie? Tyle dobra na raz marnować! A może my dziś parszuka zakłuli i temu tyle smażenia, bo świeżyny dużo? Może dziś klusty czwartek. Nie, cholera, toż wiem dobrze, że dziś niedziela a do czwartku i do popielca z pięć tygodni jeszcze! A parszuka to my kluli po kopaniu, parszuczka niedużego, jak on ma do postu wystarczyć, to po kostce trzeba brać, po troszku. A tu masz! Że uczycielka się szasta, pojąc moge ale Handzia, czemu ona miary nima!

W głos powiedzieć nie wypada, trochu wstyd przed uczycielką. Ale tylko wyszła Handzia do komorki, ide za nią: Co tabie, babo ty chcesz wszystko zmarnować na jeden raz oytam się złapawszy jo pod boki i trzęse nią po ciemku: Czy ty kobieto rozum za stodoła wyszła! Uch walneloby sie babe kulakiem, ale nie wale, rozbeczy sie jeszcze i ściagnie uczycielkę. Trzęse, ale żonke opętało: Puść, źli sie, puszczaj, ona czeka na mąke!

Co wyrabiacie, szalone!

Zaraz spróbujesz, zobaczysz! chwali się ona bez wstydu brydu. I wyrwa sie, ucieka.

Uczycielka nożem stol oskrobuje, zeszkrobuje czarne, co sie ułoilo od kapania z lyżkow i miskow. Oskrobuje, myje z popiołem, decha bieleje jak nowa! I zaraz talerki rozstawia sześć przy każdym kładzie lyżkę, noż widelec. Do talerkow nalewa tego krupniku i odgarnawszy czub z czoła pod boki sie bierze, zaprasza: Proszę bardzo siadajmy, pierwsze danie zupa jarzynowa. Handzia napędzła: Nu, siadajmy. Kaziuk, dzieci, tatu, siadajmy, spróbuję jak w mieście jedzo.

Napędzła, bo jakoś nikt się do tych talerkow i nożow nie rwie, choć każdemu kieszki myczo, tyle smakow i zapachow w chacie krąży. Patrze ja na sześć talerkow sześć widelcow nożow, lyżkow blaszanych z białym polyskiem patrze na stol biały, wyszorowany i widze że z mojego stolu zroził sie stol cudzy, nie moj! Jakże w swojej chacie do cudzego stolu siadać? Oj, czuje jak złość obejmuje mnie całego wielka złość mnie w głowie huczy i strach niemaly ręce trzęsie. Sześć talerkow? Każdy sobie bedzie jadł? Na co noży? A widelcy? A co zrobio z burakami, z to czerwono mamalygo jak jeść takie straszne hadztwo? Z kartołami jo podadzo, czy do mięsa, czy do tej tu, jak to ona mówi, zupy? Czemu obiad nam zepsuli, obiad niedzielny!

Siadajcie, mówi Handzia, spróbuję po paninemu!

A to już niedobrze po naszymu, pytam cicho, a uczycielka podmawia: Cóż szkodzi spróbować jakie dzie indziej obyczaje. I na patelni mięso przewraca, dosmaża.

Handzia siada pierwsza i dzieci siadają i tato, uczycielka staje za plecami, pewno ciekawa czy pochwalim te jej zupy.

Na zdjęciu obok scena zbiorowa z „Konopielki” wystawionej przez teatr jeleniogórski.

U góry: Scena z tego samego spektaklu. Fot. Grażyna Wyszomirska

Posiadali, lyżki wzięli i na mnie czekają: żadne zacząć jeść nie może, póki ja, gospodarz, lyżki nie umocze.

Trudno, siadać trzeba siadam przy tym stole cudzym, niby moim a nie moim. Przeżegnać się trzeba, ale jakżeś żegnać się, kiedy tu jakieś widelcy noży błyszczą, a deska bieleje, jakby z niej skórę zderli. Sześć talerkow w rzędach stoi, każdemu talerz, i jak to, każdy sobie ma się żegnać, każdy do swojego talerka? Ręka co zawsze mnie sama żegnała, cięży teraz jak polano. Próbuje przeżegnać się tym polanem, zaczynam i nie mogę skończyć, nie przeżegnawszy się biore lyżkę, a blaszana ona, zimna, błyszcz.

Niechaj pani siada z nami, zaprasza Handzia, uczycielka dziękuje: dzisiaj raz dla odmiany ona gospodynią.

Bratniewola, zaczerpnę ja piersze lyżkę, niose, choroba lyżka niegłęboka ręka drży, póki ja donios do gęby, pół się wylało na podłogę i kolana. Druge lyżkę zaczerpnę jeszcze gorzej! Trzecie niose ręka tak skacze, że nic do gęby nie donoszę nie wiem nawet czy dobra ta zupa, czy niedobra: lyżka na stol rzucam! I przygarbiwszy się na moim stoleczku, patrze się po tych sześciu talerkach po blaszanych lyżkach, że moje dzieci nimi jedzo, moja żonka, że i moj ojciec lyżko musi się męczyć. To i tymi widelcami jeść bedo, i tymi nożami te zmarnowane mięso i to miazga? O niedoczekanie twoje, przyblendo ty kusa łazęgo miastowa, czego ty swojego nosa między nasze miski wypychasz!

Ale już i tato cicho lyżkę kładę, już i Handzia i dzieci na mnie spojrzawszy, jeść przestali. Co się stało panie Kaźmierzu, pyta się ona, zdziwiona bardzo, moja zupa wam nie smakuje? Chce się powiedzieć: twoja dopa! ale jakoś słowo w zębach dusze, siedze zły aż w oczach błyska, nie wiem co zaraz będzie: może zgarne rękawem te talerczyki: może stolek przewroce, może świsne widelcami w uczycielkę!

Jeśli wam zupa nie smakuje, trudno, mówi ona zmartwionym głosem, to może najpierw drugie danie?

Drugie sranie! mówię i kulakiem łups w stolek, aż te nożyki widelczyki zabrzęczeli i z talerkow się polalo.

Co ty, Kaziuk? pyta się Handzia i wstaje, a bardziej prosi, niż pyta się, a ja jak nie huknę: Milcz ty!

Uczycielka zakręciła się koło komina i stoi ci-

chutko jak trusia. Wtem chwartuch odwizguje. Ach, zapomniam, że na trzecią obiecałam być w szkole, mów cienko, pani Haniu, niech mnie pani zastąpi przy kuchni.

I raz dwa swoje kurtke bierze, w biegu się odziewa i niby śpieszkiem z chaty wychodzi. Tylko jej głowa mignęła za oknem, mówię do żonki:

Stawiaj miche!

Cichutko, wie Handzia że nie żarty, miske stawia na środku między talerkami. Zlewaj!

Zlewa ona z talerkow do miski, jeden po drugim, wszystkie sześć, miska duża gliniana, pomieszcila, talerki składa jeden w drugi, zabiera. Ale pozostali się na stolku i błyszczą tamte lyżki, noży, widelczyki.

Won i te pizdrylic! rozkazuje.

Ona ich zabiera, a kładzie lyżki nasze, drewniane. I wybieramy, każdy swoje, moja największa, z trzonkiem troche wykrzywionym na sęczku. Wzięli lyżki, trzymają, na mnie patrze, kiedy lyżkę umoczywszy jedzenie zaczne. Zaczne, ale przedtem rozkazuje:

Żegnać się od nowa!

Żegnają się, żegnam się i ja i lyżkę umaczam w tej jej zupie. Smakuje te zupy smakuje i czuje, że może ona i niekiepska, ale nie do jedzenia.

Zabieraj te hadztwo, mówię, syp kartośli!

Nasypała Handzia, całe miche, zaskwarzyła kłuszczem z patelni.

A mięso wrzucisz jutro rano do kapusty, rozkazuje, mięso się gotuje w kapuscie, rozumiesz? A teras rob kwas do kartołow! Prędko drugie miske stawia i nalewa z ladyszki zakwaski i zaraz nad misko czosnek nożem drobi. Posoliła, zamieszała, siada do stolu. Pokazuje jej palcem jedne miche, drugie: O, to jest moje i moich dzieciów jedzenie! I zapamiętaj, mówię, palcem groźniejszy pod nosem: żeby więcej takiej rozpusty jak dzisiaj nie było! Nu, jemy.

I jemy. Jemy zwyczajnie, po naszymu Pambóg przykazał, jak święty Józef z Matkobosko i Jezusem jedli: z jednej miski. Jemy i smakuje, i dobre, i jak trzeba.

A jak zjedli, obter się ja rękawem, przeżegnał się. Posłuchał, jak się w brzuchu odbija, odkachnął i kazał Ziutkowi, żeby wody dał: podał cały kubek, ja odchyliwszy głowę w tył, piję, piję dużymi lykami, bo lubie jak rozgrzane zęby drętwieją od zimnej wody i szkło na nich pęka i lubie jak chłód rozchodzi się kieszkami po brzuchu. Potem possowszy z zębów, bo dobre, splunowszy na podłogę bo lubie, obliżowszy się bo trzeba, kładę ręce na kolanach i mówię:

Nie pójdziesz więcej Ziutek do szkoły!

Czemu? pismoł.

Bo ja tak mówię!

A Handzia, cicho jak trusia: Ale ona się obrazi.

A niechaj obraża się!

A jak my z nią będziemy żyli?

A może sobie iść od nas Kczortumatiery!

Co ty, Kaziuk? I pieniędzy za kwatere nie żalujesz

Czortbiery i jej pieniędzy! Niepotrzebne mnie jej pieniądze.

Zapłaciła za dwa miesiące i co? Leżo.

Leżo. Ale sol wychodzi, mączka, nafta, trzeoa kupić!

Na to starczy samych jajkow co ona wyżera.

A trzewiki dla mnie? A kortu tobie na odzienie? A plug?

A dzie to chodzisz że tobie trzewikow trzeba? Na tancy? Włanki masz? Masz. Drewniaki na zime dzieci majo? Majo. A mnie i stare odzienie dobre.

A plug?

Tylko piętke kupić. Dawniej rosochami orali i rosło, nie tatu? A te talerki i widelcy oddaj jej nazad albo wyrzuć. My nie panowie!

Ale czy nie można było raz spróbować jeść inaczej? żali się Handzia.

Inaczej? zerwali się tatko: A co to, czy my parszywe jakie, że każde z innego koryta jadło? To krowy muszo mieć każda swój żłob, bo się nie dopuszczają. A toż człowiek nie krowa!

Razem żyjem razem robim, razem jemy! zakończył ja. A ty Ziutek pamiętaj: koniec ze szkołą!



TEN adres zdobyć niezwykle trudno. A jeśli się go już ma, to nie jest on kluczem do domku ukrytego za gęstwiną drzew ogródka przy jednej z wylotowych tras Poznania. Każdego dnia gromadzi się tam kilkanaście osób. Wielu przyjeżdża z najdalszych zakątków kraju. Nie wszystkim dane jest przekroczyć furtkę i wejść do wnętrza domu. Ci, którzy nie mieli szczęścia, będą próbowali jutro, za tydzień, za miesiąc. Być może uda im się zdobyć od kogoś wtajemniczonego kartkę polecającą. Wówczas i dla nich otworzą się drzwi...

Protekcję zdobyłem po długich zabiegach. Dzwonek przy furtce. Kontrola, jak na granicy. Pytania: po co, kto przysłał, czym mam kartkę polecającą? Wreszcie bacznie przyglądająca się kobieta przekręca klucz w furtce. W „poczekalni” siedzą już ludzie. Otyła niewiasta, dwaj młodzi chłopcy, zabiedzona kobiecina. Jest przeraźliwie duszno. Wąski pokój zastawiony starymi rupieciami i gratami. Zasłonięte okna, rząd krzeseł, w kącie stół, na nim dewocjonalia obok popielniczki z niedopałkami. Na ścianie dyplomy, listy dziękczynne od cudownie uzdrowionych: „Franciszkowi Urbanowi za „akwa wita” (dosłownie tak! — przyp. M. D., — mieszkaniec Gniezna”. Jesteśmy w mieszkaniu znachora.

Wyobraźnia dyktuje: wysoki, w czarnej todze, o przeszywającym wzroku.

Rzeczywistość jest inna. Zjawia się szczupły człowieczek, ubrany w przepoconą marynarkę i zniszczone spodnie. Brudne i zaniedbane ręce. Małe oczy ołoczone wyblakłymi rzęsami udają koncentrację. Otyła niewiasta jest stałą pacjentką znachora. Siada na wyznaczone krzesło. Rozpoczyna się misterium.

Mistrz bierze krzyżyk lewą ręką i przyciska do brudnej marynarki. Modlitwa, której tylko pierwsze słowa są zrozumiałe. Przyspieszone tempo zamienia je w jednostajny świst, przerywany zdaniem kierowanym do chorej. „Moje oczy nie widzą już ropy w głowie, serce jeszcze młode. Musisz robić to, co każę...” Trwa to może pięć minut. Z sześciu krzeseł mistrz wybiera teraz jedno i nazywając je „krzesłem boleści, męki pańskiej i katongi”, przenosi się do drugiego pokoju. Dochodzi stamtąd przyciszona rozmowa i czasem stękanie otyłej kobiety.

Wreszcie kolej na mnie. Osoba, która mi towarzyszy zabiera ze sobą zdjęcie swojej córki. Puciołowata dziewczynka uśmiecha się z fotografią, zadowolona z życia, szczęśliwa, że ominęły ją choroby. Znachor kładzie kartonik przed obrazkiem. Ten sam wariant z krzyżykiem, te same modlitwy przemienione w świst. Z tą tylko różnicą, że przerywane na zapisywanie tajemniczych znaków. Ogryzkiem ołówka notuje: dwa pylon ośmiem, cztery icks dwanaście, sześć pylon dziewięć itd. itd.

Wreszcie kiedy kartka jest zapisana, kończą się modły. Rozpoczyna się najtrudniejszy moment tak dla znachora, jak i dla nas. On musi postawić diagnozę, my udawać, że jesteśmy zatroskani chorobą dziecka. Seria krótkich pytań. Muszę przyznać, że spodziewaliśmy się tego, przygotowałem więc pełny zestaw odpowiedzi.

— To zdjęcie było robione niedawno? — Kiwam głową potakująco.

— Dziewczynka ma trzy lata — rzykuje on. Potwierdzamy. Na mo-

ment na jego twarzy pojawia się wyraz zadowolenia z własnego sprytu. Bierze teraz do ręki uprzednio zapisaną kartkę.

— To jest moja diagnoza. Tu mam wszystko zapisane, co wiem o chorobie dziecka. Pokazuje koślawo napisaną cyfrę trzy. Widzi pan — mówi — wiedziałem, że ma trzy lata...

Jesteśmy „zachwyceni” jego przenikliwością. O chorobie ciągle niczego nie mówi. Wreszcie decyduje się. Słowo „wysypka” powiedział tak cicho, że jego treści domyśliłem się raczej z ruchu warg. Czeka na moją reakcję.

— Pan wszystko wie — mówię szybko, dając mu szansę, na jaką z pewnością liczył. To wystarcza. Następuje teraz długi wywód.

— Dziecko ma wysypkę prawie na całym ciele, ale to nie jest uczulenie. To jest róża. Powodem są chore nerki i wątroba. To bardzo poważna choroba. Moja diagnoza powiedziała wszystko. Trzeba szybko leczyć. Ten oto młody człowiek — ruch głową w kierunku mego sąsiada — też chorował na to, ale go wyleczyłem. Trzeba tylko wykonywać to, co powiem. Inaczej dziecko nie wyleczy się. To bardzo poważna choroba...

Koniec seansu. Mistrz odchodzi do sąsiedniego pokoju. Pewnie wypisze recepty. Korzystamy z okazji i wypytujemy sąsiada.

— Tak, chorowałem na różę — mówi. — Leczę się już szósty rok. Panie, jaka poprawa. Nie, nie miałem wysypki. To była róża wewnętrzna...

Znachor długo nie wraca. Z sąsiedniego pokoju dobiegają szmery kartkowanej książki. Kilka razy skrzyknął drzwi od szafy. Dusznosc i przykry zapach tego mieszkania stają się coraz bardziej nieznośne. Po 25 minutach wraca, trzymając w ręce plik zapisanych karteczek.

— Tu wszystko jest zapisane. Kładę pieniądze w rękę jego żony i odchodzimy umóweni na kolejną wizytę. Do widzenia za dwa tygodnie.

★

Analiza recept dokonana przez lekarza wykazała, że środki zapisane przez znachora należą do rzędu tych, które nie szkodzą i nie pomagają. Jest jednak wyjątek od reguły. W zestawie maści fachowiec doszukał się środków, których stosowanie mogłoby wywołać silne uczulenie.

Mimo ryzykownych posunięć szarlatan cieszy się wielką sławą w całej Polsce. Kim więc są ludzie korzystający z jego wątpliwych usług?

Wiara w nadprzyrodzone zdolności znachora rodzi się zwykle u ludzi zabobonnych, których ciągle jeszcze nie brakuje. Jest wśród nich wielu ciężko chorych, odczuwających strach przed bólem ewentualnej operacji. Należy im tylko współczuć. Wychoząc od znachora nie zdają sobie sprawy, że mimo odmiennej diagnozy, ów cudotwórca zapisał im te same leki.

Franciszek Urban nie sili się nawet na oryginalność. Recepty pisze przez kalkę, żeby było łatwiej i więcej. Roją się od błędów. Trudno wymagać jednak od człowieka, którego zasób wiedzy nie wykroczył poza zakres szkoły podstawowej, aby poprawnie pisał. Znachor jest znany w kolegiach, sądzie, w milicji. Był kilkakrotnie karany. Przez sąle rozpraw przewinęło się wielu świadków. Ich zeznania są wstrząsającym dowodem szarlatanerii. Ischias i anginę pectoris leczył przy pomocy tych samych środków. Dotkniętym chorobą nerek, gruźlicą aplikował przeważnie „ściąganie ropy z głowy”. Ludzie wierzą mu, bo manifestuje swoją religijność. W 1957 roku zeznawał przed kolegium orzekającym: „siłę czerpię z krzyża”. Nikt nie domyśla się, że modlitwa ma na celu oddziaływanie na ludzi, których wiarę znachor znakomicie wykorzystuje.

Franciszek Urban, mieszkaniec wille położonej w pięknym ogrodzie kilkaset metrów od największego i najnowocześniejszego poznańskiego szpitala, z powodzeniem żeruje na ludzkim nieszcześciu. „Nie biorę za to pieniędzy...” I to prawda, bo pieniądze inkasuje nie on, lecz... jego żona.

BYĆ pierwszym jubilerem placu Vendome znaczy tyle, co być niekoronowanym królem jubilerów Paryża. Ten dystyngowany pan, który odłożył własnie lupę, był owym pierwszym, najbardziej renomowanym jubilerem. Jego spojrzenie, od trzydziestu lat przyzwyczajone do szacowania biżuterii, wyrażało tym razem zaskoczenie i zdumienie.

Generalny dyrektor towarzystwa ubezpieczeniowego „Security-First”, dyrektor hotelu „Persepolis” oraz Verdier, sława wśród prywatnych detektywów, spojrzeli pytająco na wybitnego fachowca.

— Wprost fenomenalny kamień — orzekł po chwili milczenia jubiler.

— Znam na świecie tylko jeden brylant, który można z nim porównać. Jest nim de Taje-Mal. O ile wiem, znajduje się w niedostępnym skarbcu pewnego wschodniego cesarza.

— Zechce pan oszacować wartość tego fenomenalnego kamienia? — zapytał przyciszonym głosem, jakby doceniając powagę chwili, generalny dyrektor „Security-First”.

— Proszę spojrzeć na jego wielkość! Przecież to rozmiar mafej mandarynki. Musiałbym oczywiście dokonać pewnych pomiarów ale jako fachowiec mogę oświadczyć, że to brylant co najmniej 140-karatowy. Do tego dochodzi nie spotykany szlif, wspaniała siła światła. Taki klejnot po prostu nie ma ceny!

— Może jednak dałoby się jakoś cenę ustalić, upierał się przy swoim dyrektor.

— Znam pewnego klienta, który nie zawahałby się zapłacić za ten kamień powiedzmy... dwa miliony dolarów.

Po tych słowach dało się słyszeć szmer podziwu. Tylko maharadza nie zmienił wyrazu twarzy. Siedział wygodnie w fotelu i spod wpół przymkniętych powiek obserwował tę scenę jakby nie był nią zupełnie zainteresowany. Mógł mieć około czterdziestki. Był szczupły, wysoki, ubrany w wyszukaną elegancję. Tylko turban błyszczący pąkami świadczył, że jest Hindusem. Ubrany był bowiem po europejsku. Robił wrażenie człowieka, którego nic nie zdoła poruszyć. Z pewną nonszalancją, ale bardzo dyskretną, potraktował zdumienie i podziw jaki wywołał jego klejnot wśród zebranych w tym pokoju.

Maharadza odsunął srebrną tacę, na której podano mu vegetariańską kolację, wyciągnął z platynowej papierosnicy cienkiego papierosa, zapalił go i jak gdyby nigdy nic odezwał się do generalnego dyrektora „Security-First”.

— A więc panie dyrektorze? Wie pan, że nigdy nie rozstaję się ze swoim kamieniem. Nigdy. Rozumie pan? A więc mowić nie ma aby przechować go w stalowym sejfie. Czy jest pan gotów podjąć ryzyko?

Wszystkie spojrzenia skierowały się teraz na Edgara Masona. On to właśnie był generalnym dyrektorem „Security-First”. Takie sytuacje wprowadzały go zawsze w ekscytację. Nie tylko z powodu spodziewanych zysków, również dlatego, że związane z tym było pewne ryzyko. Pozwalały mu też takie transakcje wykazać się niecodziennymi zdolnościami, to zaś w radzie nadzorczej towarzystwa profitowało okrągłymi sumami.

To prawda, brylant jaki ma ubezpieczyć na jedną noc przedstawia niebywałą wartość. Mason przedkładał jednak takie właśnie swoiste ekstrawaganckie interesy nad klasyczne kontrakty. Zabezpieczył się zresztą odpowiednio. Udział w tym

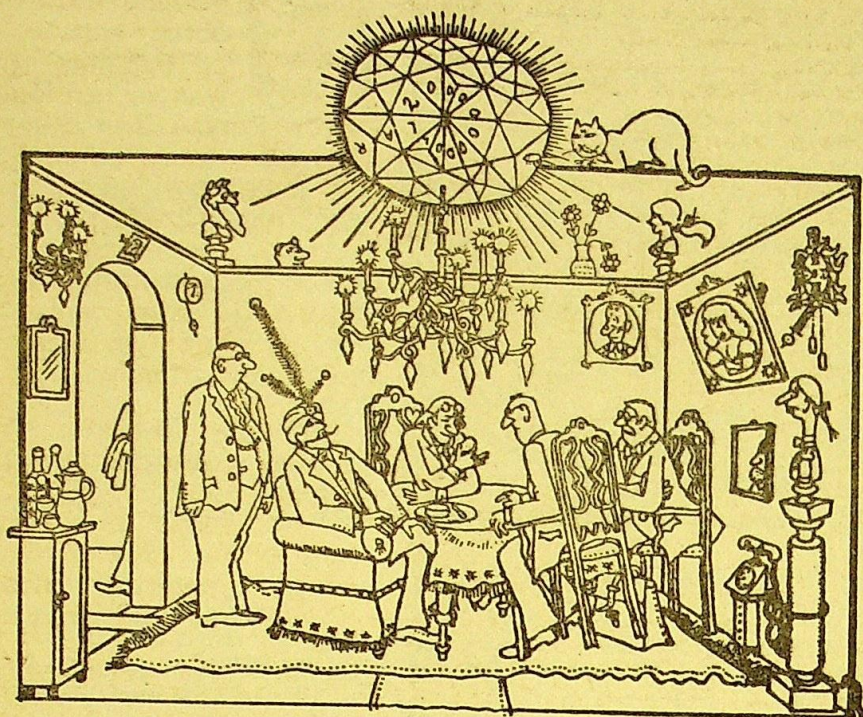
DIAGNOZA WSZYSTKO POWIE...

MIROSŁAW DREWS

Agnieszka

*Spodob kuracji
Przyjdzie tyżke z łoboz ukuu 1 deko
chwredy nklonke zimj wody.
Sposób przyzdekumia
Tyżke stolaide ukuu 1 deko chwredy
nauu pokunyl wazpai dogamko.
zaloai nklanku zimnej wody wauie
sua przykryci nudi stoj do nane
rozmiernai oddai ptoie leko podynad
wypic nuno na ororo nontz podpnai
wypic muel obiadem tu wbić co
olich pmer kitha dui potem od crasu
do orasu.*

„Tu wszystko jest zapisane...”



przedsięwzięciu Philippa Verdier, detektywa cieszącego się wprost legendarną sławą, gwarantował powodzenie całej operacji.

— Tak, ekscelencjo, podejmuję ryzyko. Wystarczy jeśli Wasza Wysokość podpisze, tu, w tym miejscu, polisę ubezpieczeniową. Wszystkie wydatki obejmujące ubezpieczenie oraz nasza stawka przewidziana dla tak poważnego przedsięwzięcia, wynosi 25 tysięcy dolarów. Gdyby w ciągu tej jednej nocy klejnot ów zginął, co jest nie do pomyślenia, towarzystwo nasze wypłaca jego wartość. To znaczy, żeby wszystko było jasne — dwa miliony dolarów.

Maharadza podpisał polisę jakby to był jakiś przekaz pocztowy. A przecież 25 tysięcy dolarów to suma niebagatelna.

Podczas kiedy jubiler i dyrektor hotelu, świadkowie również tej ostatniej sceny podpisywania kontraktu, zegnali się w ukłonach, ubrany w orientalny strój kelner zabrał srebrną tacę i dyskretnie zniknął z pokoju.

Od tej chwili wszelka inicjatywa należała do specjalistów ubezpieczających fenomenalny brylant. Maharadza nadal zasiadał wygodnie w fotelu, zaś detektyw poddał apartament dokładnym oględzinom.

Dwie godziny później Mason i Verdier siedzieli w barze hotelu „Persepolis” przy szklance szkockiej whisky. Obaj raz jeszcze wyliczali wszystkie środki ostrożności jakie przedsięwzięli dla zabezpieczenia klejnotu.

— Pięciu moich najbardziej zaufanych ludzi objęło posterunki na piętrze, na którym znajduje się apartament maharadzy — kontynuował Verdier. — Nawet w łazience jednego uplasowałem. Dwóch na balkonie wkroczy w akcję, gdyby ktoś z zewnątrz usiłował sforsować pokój. Dwaj pozostali pilnują korytarza, blokując dostęp do apartamentu. Pod obserwacją jest również wejście do hallu hotelowego, górny taras oraz dwa pozostałe piętra. Jak pan widzi, wystawiłem całą armię swoich ludzi.

— Doskonale pan to zorganizował, Verdier — podsumował Mason. Jego nerwowość ustępowała wyraźnie pod wpływem kolejnych porcji whisky. Spojrzał na zegarek — było krótko przed dwudziestą drugą.

— Lubię interesy na wielką skalę, Verdier. Pan zresztą także. Nie chcę przypominać, ale pański rachunek też opiewa na okrągłą sumę. Nie jestem drobniakiem, ma pan rację. Za solidną robotę każdy żąda dobrej zapłaty. Zresztą jutro zainkasuję 25 tysięcy dolarów!

TA NADMIERNA pewność siebie nie spodobała się detektywowi. W ciągu swojej długiej, pełnej przygód i sukcesów kariery, Verdier nauczył się nie lekceważyć niczego.

— Zechce Wasza Wysokość wybaczyć, ale nie mogę wykluczyć hipotezy, że w grę wchodzi tutaj jakaś zмова. Z góry wykluczam włamanie. Pozostaje więc przyjąć, że kamień znajduje się jeszcze w tym pomieszczeniu. Wszystkie wyjścia były pilnie strzeżone. Moi ludzie są zgodni co do tego, że nikt ani człowiek, ani zwierzę nie wkroczył do tego pokoju, ani też z niego nie wyszedł. Powiem wyraźnie: czy zechce Jego Ekscelencja poddać się rewizji osobistej, podczas kiedy moi ludzie przeszukają Jego pokój?

— Nie jest to dla mnie zbyt miłe. Sądzę jednak, że istotnie ma pan prawo zażądać ode mnie abym poddał się rewizji. Maharadza powiedział to jak zwykle obojętnym tonem.

— Czy zechce Wasza Wysokość udać się do łazienki. Pozwolę sobie sam przeprowadzić rewizję.

Verdier milczał już dobrą godzinę. Starł się logicznie dojść do rozwią-

OPOWIADANIE

— Wsiął jak kamfora. Dokładniej mówiąc — rozpułnął się. Chociaż nie zupełnie... Widzę zdumione spojrzenia panów. Nie będę nadużywał waszej cierpliwości. W momencie, w którym zegnął się jubiler po oszacowaniu wartości klejnotu, sługa maharadzy sprzątnął srebrną tacę z kolacją dla naszego gościa. Prawie nie tkniętą kolację. W tym właśnie momencie maharadza zamienił prawdziwy kamień na imitację wykonaną z... kryształu soli. Prawdziwy klejnot wyniósł kelner w budynku. Wymagało to niebywałej zręczności. Ale też prawdą jest, że wszyscy byliśmy zafascynowani i trochę oszołomieni sytuacją. Sługa jest współnikiem maharadzy. W tej chwili moi ludzie na pewno już zakuli go w kajdanki.

— Jak pan wpadł na taką kombinację? — zdziwił się dyrektor hotelu.

BRYLANT MAHARADZY

MAURICE ROLAND

tłumaczył: RYSZARD POLLAK

— Logicznie rozumując, ma pan rację, Mason. W tej sytuacji nie ma możliwości ukradzenia klejnotu z pomieszczenia. Proszę jednak nie zapomnieć, że żółty apartament, a maharadza upierał się przy tym, aby go zająć, posiada swoją tajemnicę...

— Niech pan mnie nie rozśmiesza, Verdier — wpadł mu w słowo dyrektor Mason. — W to nikt nie uwierzy, że pan, król paryskich detektywów, jest skłonny dać wiarę jakimś bredniom. Tajemnicze siły które jakoby działały w tym żółtym pokoju, to nonsens.

Mason zasnął głębokim snem. Alkoholem zrobił swoje. Dyrektor z okazji tak udanego interesu zbyt głęboko zagładnął do kieliszka. Miał teraz kolorowe sny: był na pokładzie swojego jachtu, który pruł fale Morza Egejskiego. Z lubością poddawał się pieszczotom młodej, długowłosej zgrabnej Afrodyty.

Przeraził go dzwonek telefonu wyrwał go z tych bajecznych snów.

— Co? Ależ to niemożliwe! Kiedy to się stało?

— Niecałe pięć minut temu — odpowiedział zdenerwowany głos Verdiera. — Niech pan natychmiast przychodzi. Jeśli nie uda nam się w ciągu najbliższych godzin wyjaśnić tej nieprawdopodobnej zagadki, mogę zlikwidować swoją agencję detektywistyczną, a pan pożegna się chyba ze stanowiskiem generalnego dyrektora!

Maharadza, ubrany w błękitną podomkę, z wyraźnym wyrzutem spoglądał na dyrektora hotelu „Persepolis” Verdiera i Masona. Ich miny świadczyły wyraźnie o wielkości katastrofy jaka się przed chwilą rozegrała.

— Mogę panu pogratulować, monsieur Verdier. A ja sądziłem, że jest pan najlepszym detektywem świata. Ten kamień posiada dla mnie wprost uczuciową wartość. Całe złoto świata nie może mi go zastąpić.

Verdier wytrzymał spojrzenie maharadzy. Chrzknął lekko i przejął inicjatywę.

zania tej niesamowitej wprost zagadki. Klejnot znikł. To fakt. Znikł tak dokumentnie, że na dobrą sprawę nie było nadziei, na odnalezienie go. Gdyby Verdier nie był tak zawziętym racjonalistą musiałby uwierzyć, że w tym wypadku miał do czynienia z prawdziwym cudem. Wolał jednak przyjąć, że coś przegapił. Coś musiało się wymknąć jego logicznemu rozumowaniu.

Maharadza wykazywał pierwsze oznaki niepokoju. Twierdził stanowczo, że musi następnym samolotem odlecieć do Londynu. Dla Verdiera znaczyło to, że musi rozwiązać tę zagadkę w ciągu najbliższych minut, w przeciwnym wypadku dozna kompromitacji i będzie musiał zniknąć z Paryża. O kontynuowaniu zajęć prywatnego detektywa także będzie już musiał zapomnieć.

Detektyw westchnął. Jego spojrzenie zatrzymało się na butelce whisky stojącej na empierowym stoliku. Nalał sobie do szklanki spory łyk, sięgnął po karafkę z wodą, która stała obok i napełnił szklankę do połowy. Po dużym hałasie przejechał językiem po wargach. Znowu pociągnął łyk i ten sam charakterystyczny ruch językiem.

— A więc panie Verdier, spytał maharadza zniecierpliwiony, czy wpadł pan już na jakiś trop?

— Powiem więcej, monsieur. Wiem nawet kto jest złodziejem, odpowiedział Verdier i spojrzał po kolei na Hindusa, Masona i dyrektora hotelu.

— Muszę przyznać, że to wprost niesamowita historia. Mimo to jest dziecinnie prosta.

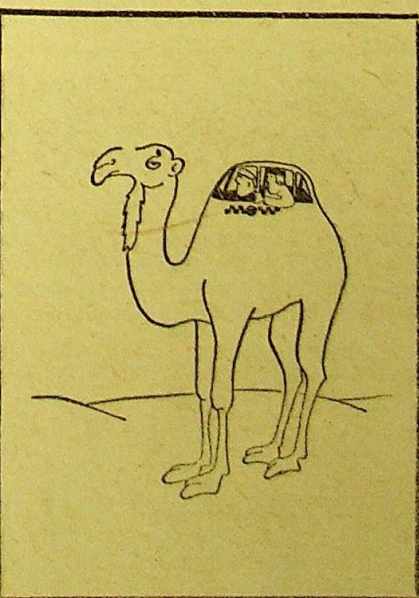
Verdier szepnął jednemu ze swoich agentów kilka słów do ucha. Człowiek ten natychmiast opuścił pokój.

— A więc jak powiedziałem jest to historia wprost nieprawdopodobna. W tym pomieszczeniu, mówiąc dokładnie, w tym żółtym pokoju znajdował się tylko maharadza, i klejnot. Nikt tutaj nie wchodził i nikt nie opuszczał pokoju. Mimo to brylant ulotnił się jak kamfora.

Detektyw sięgnął po karafkę. Trzymając ją w ręku kontynuował swój wywód.

— I dlatego nie znaleźliśmy imitacji? — dodał Mason.

TO ZUPEŁNIE proste. Odpowiem po kolei. Przypadek pozwolił mi rozwiązać tę zagadkę. Whisky, którą się poczęstowałem, była strasznie słona. Czy panowie rozumieją? Maharadza musiał wymyślić sposób na usunięcie kompromitującego go dowodu przestępstwa. Imitacja klejnotu musiała zniknąć. Nic łatwiejszego, jak rzucić imitację brylantu do karafki z wodą. Jak już powiedziałem, wykonano ją z kryształu soli. Rozpuściła się więc w wodzie, ja zaś wyczułem to. A więc, panie fałszywy maharadzo, czy zechce pan się ubrać? Ja w tym czasie powiadomię policję...



W

YKAŻ różnicę pomiędzy kręgiem szyjnym, kręgiem piersiowym, kręgiem lędźwiowym i kością krzyżową. W porządku — pomyślał Perry Hatch i nachylił się jeszcze bardziej nad formularzem egzaminacyjnym. Jednocześnie, niby w zamyśleniu, zaczął się drapać po kostce, wyciągając przy tym karteczkę, którą ukrył w skarpetce. Następnie spojrzał na profesora Jarvisa. Jak zawsze profesor oddychał otwartymi ustami, a jego oczy uzbrojone w grube szkła spoglądały pusto w przestrzeń.

To dziecięnie proste. Odpowiedz na następne pytanie. Nie musiał więc korzystać ze ściagi. Trzecie pytanie było trudniejsze i znowu musiał się podrapać w kostkę.

— Mister Hatch!

Głowa młodego człowieka poderwała się natychmiast. Profesor Jarvis runął na swoją ofiarę jak stary lew. Poły tużurka i potężna, siwa grzywa falowały rytmicznie. Perry trzymał jeszcze w garści karteczkę, kiedy profesor chwycił go za przegub.

— Proszę natychmiast puścić! — zagrmiał Jarvis.

Profesor podniósł karteczkę i stwierdził, że jego podejrzenie było uzasadnione. Zmiotł jednym ruchem ręki formularz ze stołu.

— Może pan się już nie fatygować, rozkazał szorstko. — Proszę nie opuszczać sali, aż inni nie skończą. Chcę z panem porozmawiać.



Dino stał przed pomnikiem generała, kiedy Perry wyszedł na dziedziniec i podszedł do przyjaciela. Zapytany o treść rozmowy z profesorem, Perry aż zatrząsł się z oburzenia.

— Ten stary grzywacz! Wyobraź sobie, on ma zamiar napisać do mojego starego. Już widzę jak tamten na to reaguje.

— Człowieku, to dosyć brutalne, wtrącił Dino, współczując przyjacielowi.

— Dlaczego on się tak na mnie zawziął? Przecież to istna podłość. Stale sobie robi ze mnie ofiarę.

Dino roześmiał się. Rozejrzał się dokoła czy ktoś nie podsłuchuje.

— Przecież wiesz co mówią o grzywaczku. Ponoć jego żona to istna diablica. On zaś, ten wielki profesor, jest pantoflarzem jakich mało.

— A żebyś wiedział, że tak jest. Ta stara czarownica urządza mu co wieczór piekło, a on nazajutrz mści się na nas. Mam nadzieję, że mu dzisiaj szczególnie dopieć.

— Niestety Perry, masz pecha. Jej nie ma. Przed kilkoma miesiącami wyjechała by odwiedzić swoją siostrę, czy kogoś tam. Jak dotąd nie wróciła.

— To pech. Teraz już naprawdę nie mam powodów do radości. Ale a propos, jestem przekonany, że mój ojciec nie przyśle mi już ani centa. List grzywacza robi na pewno swoje.

— Słuchaj koleś, odezwał się z troską w głosie Dino. A gdybyś tak poszedł do profesora...

— Co by to miało za sens?

— No! wiesz, schowaj ambicję do kieszeni, idź do niego, przeproś, wytłumacz się, może coś wskórasz...



Wieczorem to uniwersyteckie miasto przypominało najbardziej prowincjonalną dziurę. W małych mieszkaniach małych domków, które półkolem otaczały stare gmachy uniwersyteckie, szybko gaszono światła. Dom profesora Jarvisa był właściwie bungalowem z małym trawnikiem przed i sąsiadami tuż obok.

Perry i Dino zbliżyli się na odpowiednią odległość. Zauważyli żółte światło zalewające gabinet profesora. Przez wielkie okno mogli dokładnie zlustrować wnętrze pomieszczenia. Potężne biurko zaważone było papierami, podręcznikami i Bóg wie czym jeszcze. W rogu pokoju stał szkielet, na ścianie zaś mocno sfatygowane tablice anatomiczne. Na kominku nadzarty przez mole łeb łosia, smętnie patrzył szklanymi oczami.

Profesora nie było w gabinecie.

Perry ostrożnie podkradał się na tyły domu. Tam powinny znajdować się pokoje mieszkalne. Dino szedł krok w krok za przyjacielem. Nagle Perry zatrzymał się. Obaj przywarli płasko do ściany. Prostokąt światła padł na małe podwórko. Widocznie ktoś otworzył drzwi. Usłyszeli charakterystyczny, powłóczysty krok profesora. Następnie doszedł do nich jakiś blaszany dźwięk. Perry ostrożnie wychylił się zza węgła. Widział teraz dokładnie co się dzieje na podwórku.

Profesor podniósł pokrywę kubła na śmieci. Czynność niby zwyczajna. Jednak przedmiot, który zniknął w kubie nie był zwyczajny. Był to wielki, okrągły karton zgrabnie zasznurowany różową kokardką. Jarvis spojrzał krótko na pudło, a następnie zatrzasnął pokrywę. Powłócząc nogami profesor wrócił do domu. Zamknął drzwi.

— Widziałeś — wyszeptał Perry.

— Co miałem widzieć? Owszem, coś wyrzucił, ale ja wiem...

— Coś? Karton z różową tasiemką!

— Wiesz, że to pedant.

Perry wymamrotał coś na temat braku fantazji u przyjaciela.

— Chodź! Zobaczmy co tam jest.

Zawartość pudła sprawdzili dopiero kiedy już oddalili się o sześć ulic od domu profesora.

— Dino, pomyślisz na pewno, że zwariowałem...

— Jestem pewny, że ci niewiele brak.

— Posłuchaj, mówię serio: wiesz jak traktowała go żona. Można więc przypuszczać... to znaczy leży to w granicach prawdopodobieństwa, że ten stary pantoflarz wreszcie...

— Perry o czym ty myślisz? Dino spojrzał na pudło.

— Na litość, Perry, nie sądzisz chyba, że...

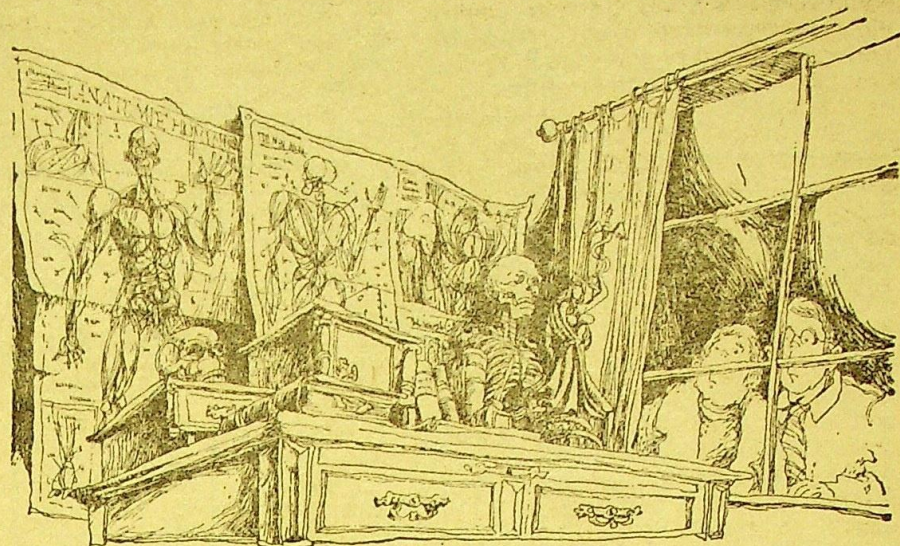
— Co mam nie sądzić, przecież takie rzeczy się zdarzają. Bo to pierwszy raz mąż pantoflarz wziął odwet na swojej żonie! Sam mówiłeś, że on twierdzi, jakoby jego żona wyjechała do siostry. Rzecz w tym, czy to prawda.

— Myślisz, że w tym pudle...

— Otworzymy, przekonamy się, zdecydował Perry.

— Mnie do tego nie miesza. Nie, ja tego nie otworzę! Napędziłeś mi stracha, to teraz bądź odważny. Ja nie tknię tego pudła.

Perry roześmiał się szatańsko.



— Ależ z ciebie tchórz. Prawdopodobnie są tam tylko obierki z porańaczy.

— No to otwórz wreszcie to pudło. Perry dotknął ręką kokardki, zawahał się jednak.

— A widzisz, że ciebie też strach obleciał. To ty wpadłeś na ten idiotyczny pomysł, a więc otwieraj pudło.

byś powiedział gdyby rozpuścił ją w niegaszonym wapnie...

— Przestań wreszcie! Mdlę mnie. Dino czuł, że dostaje gęsiej skórki.

— I ten stary grzywacz chce pisać do mojego ojca. A niech pisze. Sam jest mordercą, a skarżyć się będzie na mnie.

Perry odczuwał wściekłą radość.

— Chodź przyjacielu, idziemy...

TAJEMNICA

Perry nie miał innego wyjścia. Przecież nie mógł się przed przyjacielem skompromitować. Dino odsunął się o dwa kroki. Perry delikatnie podniósł wielko oudełka.

Było to zwyczajne pudło na kapelusz. W środku, opakowany w jedwabisty papier tkwił mały, zgrabny, słomiany kapelusik. Z przodu ozdobiony był bukietem sztucznych kwiatów. Wyglądał tak, jakby tylko co wyszedł spod rąk modystki.

— To tylko kapelusz, wymamrotał zaskoczony Perry. — Ale dlaczego go wyrzucił? Przecież jest zupełnie nowy.

— Może go nie lubi, powiedział logicznie Dino.

— On może go nie lubić, ale jego żonie na pewno się podoba. Wyrzucić nowiusienki kapelusz... coś tu się nie zgadza.

— Jego żona nie mogła temu zapobiec, przecież jej nie ma.

— I tu doszliśmy do sedna sprawy. Perry ocenił jasno sytuację. Tej diablicy nie ma, a więc on może robić co mu się żywnie podoba.

Perry przyciągnął przyjaciela do siebie.

— Rozumiesz wreszcie. Dino Wyrzucił ten kapelusz, ponieważ mu przeszkadzał. Ona zaś nie będzie go już więcej potrzebowała!

— Perry, ty chyba oszalałeś!

— Na pewno jestem na dobrym tropie. On ją usunął, a teraz pozbywa się wszystkich jej rzeczy. Wyrzuca wszystko co mu ją przypomina...

— Nie wierzę, aby się na to odważył...

— Masz pewność? Zawsze traktowała go w sposób wyjątkowo obrzydliwy. Każdemu by się to wreszcie przejadło. Działał niejako w obronie własnej. Kapelusz jest najlepszym dowodem.

— Kapelusz? No powiedzmy. A co się stało z jej zwłokami?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Może je zakopał? Może spalił? A może... Oczy Perry'ego błyszczały od ekscytacji. — Posłuchaj, jeśli ktoś wie jak usunąć zwłoki, to nie mam wątpliwości, że najlepiej obeznany jest w tym Jarvis. Przecież to jego profesja. Przez całe życie parł się anatomią, kościotrupami, i preparowaniem. A co

— Gdzie chcesz iść? — spytał Dino. — Idziemy na policję. A jak ty myślałeś!?



Roman uśmiechnął się i sięgnął po słuchawkę.

— Phyllis? Zna pan zapewne żonę profesora Jarvisa? O ile się nie mylę nazywa się Małgorzata. Udała się jakoby do Peggotville, by odwiedzić siostrę. Niestety, nie znam nazwiska tej siostry... Zakrył dłoń słuchawkę i mrugnął do studentów. — Phyllis wie wszystko i zna każdego.

— A więc to tak! Tym pytaniem Roman zakończył rozmowę.

W zamyśleniu odłożył słuchawkę. — Co się stało? spytał Perry. — Nie ma jej?

— Nie, odpowiedział cicho Roman. — Nie było jej u niej. Siostra nie widziała Małgorzaty od roku.

Dino zagwizdał cicho pod nosem. Roman sięgnął po pudło z kapeluszem.

— Chyba nie zaszkodzi jeśli zafundujemy sobie rozmowę z profesorem Jarvisem. Myślę, że znajdzie dla nas kilka minut...

— Czy możemy pójść z panem, poruczniku?

— Owszem, ale poczekacie na dworze, zdecydował porucznik Roman. — I uważajcie aby nie poniosła was fantazja. Jak dotąd mamy zbyt mało dowodów. Myślę, że się rozumiemy?

— No jasne, że się rozumiemy, przytaknął skwapliwie Perry Hatch i spojrzał triumfująco na swojego przyjaciela.

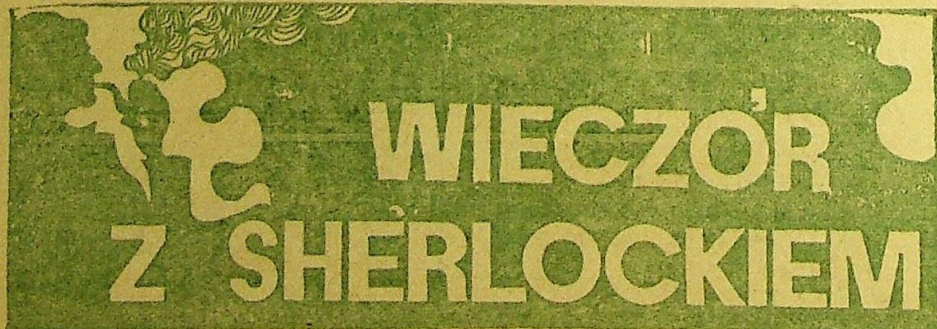


Podjechali samochodem porucznika przed dom profesora. Policjant wysiadł, niosąc przed sobą ostentacyjnie ostrożnie pudło z kapeluszem. Perry i Dino zgodnie z poleceniem zostali w wozie.

— Nie wytrzymam tutaj, stwierdził zdecydowanie Perry, kiedy porucznik zniknął w drzwiach profesorskiego bungalowu. — Chodź idziemy.

— Napytamy sobie biedy, zobaczysz Dino wolałby trzymać się z daleka od tej całej historii.

— Nie bądź tchórzem, idziemy, powtórzył rozkazująco Perry.



Ostrożnie podeszli pod okno gabinetu. Znajdował się tu niski żywo-plot, ale wystarczający aby ich ukryć. Perry postanowił podczłgać się jeszcze bliżej. Usłyszał głosy dochodzące z gabinetu. Nie bardzo mógł zrozumieć treść rozmowy. W pewnej chwili jednak osoby podeszły widocznie bliżej okna, gdyż teraz wyraźnie rozróżnił charakterystyczny głos profesora Jarvisa.

— Nie bardzo mogę zrozumieć, poruczniku, skąd to nagle zainteresowanie moją żoną?

— Przez czystą ciekawość, odpowiedział Roman. — Widzi pan, niecodziennie zdarza się by ktoś wyrzucił nowiuteńki kapelusz. Zresztą bardzo ładny. Gdyby pan widział profesora w jakich koszmarnych rzeczach na głowie pokazuje mi się czasami moja żona...

Nastąpiła dłuższa przerwa. Wreszcie odezwał się Jarvis.

— Czy zechciałby mi pan, poruczniku, wyjaśnić jak wszedł pan w posiadanie tego kapelusza?

— Nie chciałbym zdradzać tego już teraz.

— Nie dalej jak godzinę temu wyrzuciłem ten kapelusz do kubła. Odkąd to policja przeszukuje kubły?

— A więc jeśli dobrze zrozumiałem, nie ma pan żadnego dowodu, że żona pana opuściła? Żadnej notatki, telegramu czy listu?

— Nie, nie mam nic z tych rzeczy. Jarvis zdradzał oznaki zdenerwowania. — Szczerze mówiąc poruczniku, rad bym wreszcie dowiedzieć się, czego pan właściwie chce? Jeśli stawia mi pan jakiś konkretny zarzut lub jeśli oskarża mnie pan...

— Nie oskarżam pana.

— A więc może pan ma jakieś podejrzenia? Jakies małe spekulacje na mój temat? — profesor roześmiał się. — Rozczarował mnie pan, poruczniku. Ma pan typowy umysł policjanta. Widzę prawie jakie myśli krążą w pana głowie. A więc wpadł pan na pomysł, że usunąłem Małgorzatę?

— Nie powiedziałem tego. Porucznik Roman nie zareagował na uszczypliwe uwagi profesora.

— Ale pomyślał pan, prawda? Jarvis roześmiał się głośno jakby temat sprawiał mu niebywałą radość. — Wie pan, że to doprawdy zabawna historia. A więc jestem podejrzany o morderstwo? Być może widzi pan we mnie nawet potwora w rodzaju doktora Crippena, czy tego Francuza, jak

czną? Proszę spytać dowie się pan, że rzadko kiedy wysyłam jakąś korespondencję, i to przeważnie kartki pocztowe. Gdyby pan jednak chciał przeprowadzić rewizję może pan to śmiało uczynić. Od strychu do piwnicy, mój dom jest do pana dyspozycji, poruczniku.

Porucznik Roman nie podzielał wesołego nastroju profesora. Jego głos zabrzmiał teraz ostrzej.

— Istnieją jeszcze inne możliwości, profesorze, na przykład...

— Niegaszone wapno? Mój Boże, poruczniku, na lekcji chemii nie był pan zbyt uważnym uczniem. Mimo pańskiej wiedzy na ten temat oświadczam, że niegaszone wapno nie zdolna rozłożyć zwłok. Wapno konserwuje bowiem. Oczywiście istnieje sporo ostrych kwasów, ale czy zdaje pan sobie sprawę z trudności w ich stosowaniu? Taki kwas, który rozpuściłby zwłoki uczyniłby to samo z pojemnikiem, na przykład wanną. Nie, poruczniku, być może udałoby mi się częściowo usunąć zwłoki, ale nigdy całkowicie. Aż taki mądry nie jestem, niestety.

— Profesorze, mam wrażenie, że kpi pan sobie ze mnie...

Jarvis uśmiechnął się lekko jakby w zakłopotaniu.

— Mieć mu za złe? Nie, poruczniku, raczej powinienem się przed nim usprawiedliwić, a także przed innymi studentami. Wiem, że w ostatnim czasie byłem wobec nich szorstki. Zna pan teraz powód mojego złego samopoczucia. Zechce pan oświadczyć temu Hatchowi żeby nie miał żadnych obaw. Również z powodu tej swojej ściagi.

— Jestem pełen podziwu dla pańskiej wspaniałomyślności, profesorze. Gdybym mógł panu w czymś pomóc... W odnalezieniu żony...

— Nawet gdybyśmy ją odnaleźli, sądzę, że nie zmieniłoby to sytuacji. Wątpię aby zechciała do mnie wrócić.

— W każdym bądź razie może pan liczyć na moją pomoc. Jeśli będzie potrzebna...

— Serdecznie panu dziękuję, odpowiedział przyjaźnie stary profesor.

Podeszli do drzwi. Perry wyszedł ze swojej kryjówki i pobiegł do samochodu. Ledwie zajął w nim miejsce, a już porucznik Roman podszedł energicznym krokiem. Otworzył drzwi i wskazał rozkazująco kciukiem.

— Wsiadać! Ale już!

— Co się stało?, zapytał Dino zdumiony. — Czy dowiedział się pan czegoś, poruczniku?

— Owszem, dowiedziałem się, że nie należy wierzyć studentom, którzy wpadają na jakieś wariackie pomysły.

— Ależ poruczniku, zaprotestował Perry.

— Wysiadaćcie pókim grzeczny, bo was wyrzucę, powiedział groźnie Roman. — Kiedy następny raz znowu będziecie grzebać w jakimś kubku na śmieci, nie pokazujcie się u mnie!

PROFESORA JARVISA

HENRY SLESAR

łumaczył: RYSZARD POLLAK

— Wystarczy jeśli pan mi powie, dlaczego pan go wyrzucił? Czy żona już go nie potrzebowała? Jak już powiedziałem, kapelusz wyglądał jakby tylko co wyszedł spod rąk modystki.

— To prawda, jest nowy. Nie chcę jednak aby był w zasięgu mojego wzroku.

— Czy pańska żona zgodzi się na to?

Profesor usiadł najwidoczniej za biurkiem, gdyż fotel zaskrzypiał lekko.

— Zdaje mi się, że rozumiem do czego pan zmierza, poruczniku. Czy stawia mi pan jakiś zarzut?

— Ależ nic podobnego. Chcę jedynie powiązać kilka faktów. Na przykład taki — o ile się orientuję pańska żona udała się do swojej siostry. Do Peggotville, prawda?

Teraz zapadła dłuższa przerwa.

— Nie, odpowiedział profesor Jarvis. — Dokładnie mówiąc w tej historii nie ma żdźbła prawdy.

— Przecież pan sam rozповідаł, że żona udała się do siostry?

— Tak, zgadza się. Taka wersja była prostsza niż prawda.

— A jak brzmi prawda profesorze? Jarvis westchnął.

— Widzę, że będę zmuszony przedstawić ją panu. Wy w policji macie chyba również etykę zawodową, która obliuguje was do zaufania? A więc powiem w zaufaniu całą prawdę. Zdarzało się, niestety, dość często, że kłóciliśmy się z żoną. Bywały to gwałtowne kłótnie. Ostatnia miała miejsce jakieś dwa miesiące temu. I właśnie po tej kłótni żona opuściła mnie. Nie mam pojęcia dokąd się udała i prawdę mówiąc jest mi to obojętne. To wszystko poruczniku.

— I od tego czasu nie miał pan od niej żadnej wiadomości? Głos porucznika Romana był lekko sceptyczny. — Nie ma pan nikogo z kim mógłby pan nawiązać kontakt? Myślę o krewnych lub przyjaciółach, którzy wiedzieliby coś na temat pobytu pańskiej żony?

— Jedyną krewną, która jeszcze żyje, jest jej siostra, a właśnie z nią Małgorzata nie była w najlepszej komitywie. Zaś co do przyjaciół... Małgorzata nie lubiła ludzi.

mu tam... Landru, zdaje się? Sądzi pan poruczniku, że przepuściłem swoją żonę przez maszynkę do mięsa i podałem studentom w charakterze klopsików?!

— Profesorze! Morderstwo nie jest tematem komicznym, wtrącił porucznik Roman służbowo.

— A może sądzi pan, że to było samobójstwo?

— Skończmy z tą niesmaczną sceną. Powiem panu szczerze, profesorze. Jeśli istnieje nawet cień podejrzenia, moim obowiązkiem jest przeprowadzenie śledztwa. Nie podważam pańskiej prawdomówności. Przypnę pan jednak, że motywy zbrodni istnieją. Pańskie zachowanie się w ostatnim czasie także świadczy...

— Tak to prawda, przerwał porucznikowi profesor. — Być może zachowywałem się jak stuprocentowy przestępca, zbrodniarz. Rozpowiadałem kłamstwa o pobycie żony. Wyrzucałem jej kapelusze... Profesor znowu zaśmiał się sarkastycznie. — Tak, to poważne zarzuty, poruczniku. Może pan mi jednak wyjaśni jak dokonałem tej zbrodni. Jest pan przecież doświadczonym policjantem.

— Dobrze... Porucznik chrząknął. — Wprawdzie to tylko hipoteza, profesorze, moim zdaniem jednak jest pan człowiekiem posiadającym możliwości, zasób wiedzy i inteligencję, które pozwalają usunąć zwłoki. Mam na myśli pańską wiedzę biologiczną, a również z dziedziny chemii...

— A więc to tak! Gądzi pan, że moje wykształcenie upoważnia mnie do takiej zbrodni. Interesujący pogląd. Dobrze, przypuśćmy na moment, że ma pan rację. Co zrobiłem ze zwłokami? Może je zakopałem? Wie pan przecież, że nie posiadam samochodu, a na plecach nie mógłbym wynieść Małgorzaty. A może wykradłem się pod osłoną nocy i zakopałem ją pod trawnikiem? Mój drogi, sądzę że sąsiedzi, wścibscy, jacy są, ubawiliby się tym widokiem.

— Istnieją inne możliwości.

— Może spaliłem zwłoki? Obawiam się jednak poruczniku, że moje piecyki na ropy nie strawiłyby kochanej Małgorzaty. No cóż, może pan sądzi, że ją poćwiartowałem i rozesałem po-

— Sądzi pan? Owszem, to by się poniekąd zgadzało. Głos profesora stał się teraz łagodniejszy. — Zechce mi pan wybaczyć, nie miałem zamiaru drwić sobie z tej całej sprawy. Być może zawiniłem...

— Zawinił pan?

— Tak, przyznał Jarvis zmęczonym głosem. — Czy uwierzy pan, że bywało, iż stokrotnie życzyłem Małgorzacie naglej śmierci? Z utęsknieniem myślałem o tym, aby ten wieczny gderliwy głos zamilkł na zawsze? Ale człowiek jest skomplikowaną bestią, niestety. Mimo udręki jaką przeżywałem kocham swoją żonę, poruczniku. Kocham ją. Czy nie wydaje się to panu dziwne? I gdyby w tym momencie weszła przez te drzwi prosiłbym ją, aby na zawsze została przy mnie.

Przez moment zapadło milczenie. Przerwał je porucznik Roman.

— Profesorze, chciałbym się usprawiedliwić...

— Dlaczego?

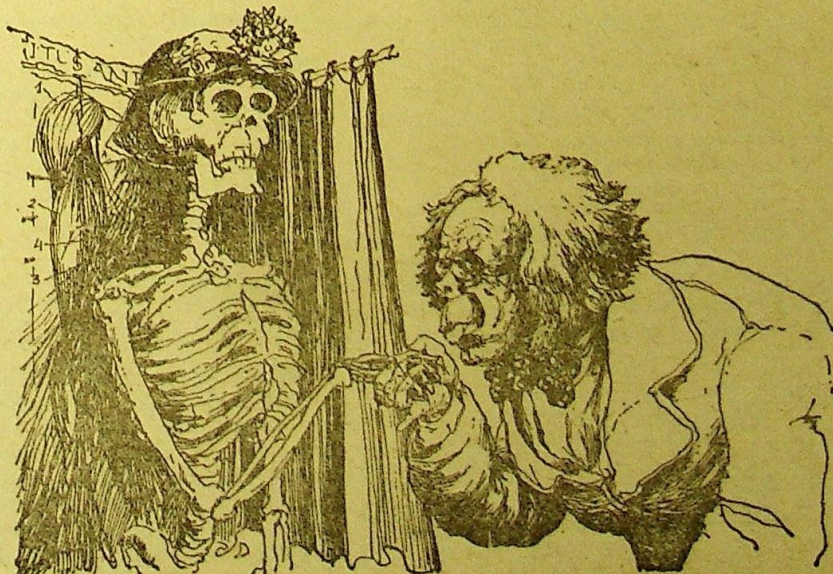
— Bardzo mi przykro, ale kiedy ci dwaj studenci przyszli do mnie z tym kapeluszem w pudle...

— Studenci?!

— Tak, dwaj pańscy studenci. Jeden z nich nazywa się Hatch. Chciał pan dzisiaj złożyć wizytę i właśnie wtedy zauważył, że wyrzuca pan coś do kubła. Myślę, że nie będzie pan miał mu tego za złe.

PO POŻEGNANIU się z porucznikiem profesor Jarvis zasiadł za biurkiem. Pracował jeszcze z godzinę. Potem spojrzał na zegarek, nakręcił go starannie i zdecydował, że czas udać się do łóżka. Wstał zza biurka i w tym momencie spojrzał na pudło z kapeluszem. Może je już teraz spokojnie wyrzucić do kubła. Przez chwilę zastanawiał się i podszedł do szkieletu, stojącego w kącie. Był to wspaniały okaz. Wszystkie kości starannie powiązane czarną nitką. Szkielet był prawie nowy. Profesor rozwiązał pudło, wyjął kapelusik i nałożył go na czaszkę.

— Dobranoc, Małgosiu — powiedział z wyszukaną uśmiechniętością. Następnie, charakterystycznie powłócząc nogami, opuścił gabinet.





Organizatorami konkursu są: Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Powiatowego w Jeleniej Górze, Grupa Sudecka Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, Centrum Informacji Turystycznej w Jeleniej Górze, dyrekcja Wyciągów Sportowo-Turystycznych w Szklarskiej Porębie oraz redakcja tygodnika „Konkrety”.

Chcąc rozwiązać zadanie należy najpierw znaleźć niezbędne, ukryte w rozmówkach bohaterów litery. Uzyskane litery trzeba z kolei wpisać do kartek na kuponie, tak, by utworzyły aktualne hasło. Dla ułatwienia podajemy pierwsze i ostatnie litery poszczególnych słów.

Rozwiązania tylko na wypełnionych kuponach prosimy nadsyłać na adres: Redakcja tygodnika „Konkrety” ul. Armii Czerwonej 4/4 59-300 LUBIN w nieprzekraczalnym terminie do 7 stycznia

1975 (decyduje data stempla pocztowego). Na kopertach prosimy napisać „Konkurs turystyczny”.

Miedzy Czytelników, którzy w terminie przysła trafe rozwiązania zostaną rozlosowane następujące nagrody w postaci bonów towarowych do sklepów sportowych WPHAPIS na terenie województwa wrocławskiego.

- I nagroda – 1000 – zł.
- II nagroda – 500 – zł.
- III nagroda – 300 – zł.

Ponadto rozlosujemy 10 kompletów wydawnictw turystycznych, 6 abonamentów na przejazdy wyciągami w Szklarskiej Porębie i Karpaczu oraz dwie nagrody pocieszenia w postaci przejazdów skuterem śnieżnym na trasie od Szrenicy do Śnieżki.

KUPON KONKURSOWY

16				16						11
		7						8		
16					1				1	

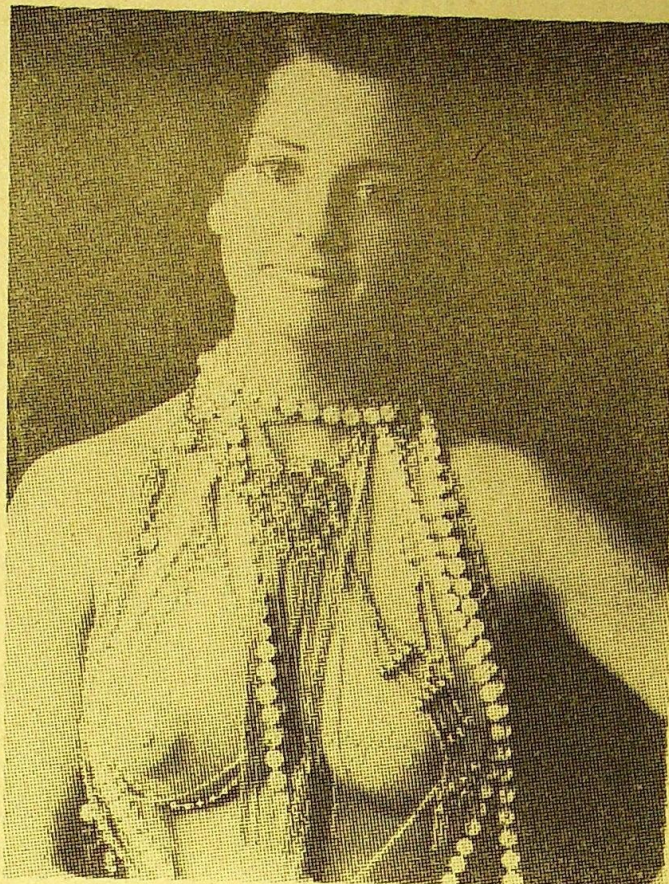
Imię i nazwisko

Adres





Do takiej sukni załóż sandalki z cieniutkich błyszczących paseczków.



Nawet na największym balu nie przesadzaj z ozdobami...

W STROJACH przebiega woli, modna jest bowiem różnorodność: sukienki z lat trzydziestych, czterdziestych, pięćdziesiątych – długie i krótkie, szerokie i wąskie, przylegające do ciała i luźne, koszulki z odsłoniętymi plecami i szczelnie zapięte pod szyję.

Modne materiały to żorżeta, miękki naturalny jedwab, sztywna tafta, przezroczysty szyfon, a także – nowość – zupełnie miękkie koronki. Kolory pastelowe – zszarzałe błękity, zblelałe róże, zamglone zielenie. A obok nich – czarny. A wszystko przetykane błyszczącą nitką, żeby świeciło, lśniło, migotało. Modne są naszycka z perełek, pąjetów, cekinów. Długie sznury pereł, boa z piór, szale z lisów.

Dla panów – garnitury jednorzędowe. Klapy marynarki szerokie, rozszerzane spodnie z szerokim mankietem, kamizelka z innego, kontrastowego w kolorze, materiału. Szeroki krawat, jednobarwny, duża muszka lub delikatna jedwabna apaszka pod szyję.

Włosy – nowość – nosi się coraz krótszel

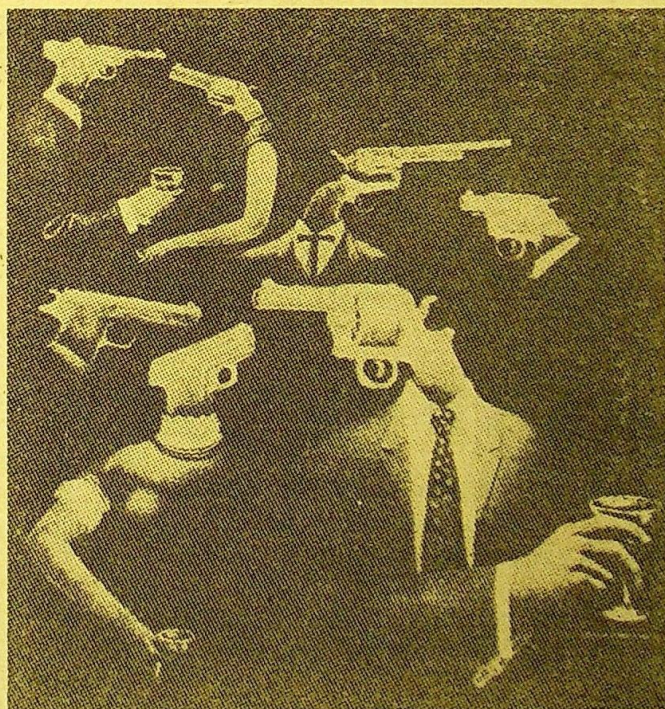
ŚWIĘTA I KARNAWAŁ



W karnawale – jak zwykle – wskazany jest dobry humor.



Modne są naszycka z koralików i cekinów i długie boa z piór.



Jeszcze jedna propozycja na karnawał...



COCKTAILE SYLWESTROWE

Szampański – do kieliszków zwanych szampańskimi włożyć po kostce cukru otartej o skórkę cytrynową i nasączoną łyżeczką jugosłowiańskiego aperitif-u Istra Bitter. Dopełnij kieliszki silnie ochłodzonym szampanem, koniecznie wytrawnym lub półwytrawnym. Do kieliszków włożyć po kostce lodu i natychmiast podawać.

Szampański słodki – Do szampańskich włożyć po 1/2 kieliszka likierowego: węgierskiej Barack Pálinka, glinu, soku malinowego i soku pomarańczowego. Po dodaniu 2 kosteczek lodu dopełnij kieliszek silnie ochłodzonym wytrawnym szampanem lub również silnie ochłodzoną wodą sodową.

Wermut-Soda – Do wąskiej wysokiej szklaneczki włożyć 2-3 kosteczki lodu i wleć (1/3 szklaneczki) biały wermut, łyżkę wyciśniętego soku cytrynowego. Dopełnij silnie ochłodzoną wodą sodową lub mineralną.

Brandy-Soda – do szklaneczki wleć po 1/3 koniaku (brandy), wleć 3 kosteczki lodu, spiralkę świeżo okrojonej skórki pomarańczowej (uprzednio sparzonej i dokładnie umytej) i dopełnij dobrze ochłodzoną wodą sodową.

Ice Cream Soda I – do szklanki (o pojemności 1/4 l) wleć 40 cm³ syropu malinowego, 40 cm³ słodkiej śmietanki i szklankę napelnij do połowy drobno potłuczonym lodem, wreszcie dopełnij silnie ochłodzoną wodą sodową. Zamieszaj, podawaj ze słomką.

Ice Cream Soda II – do szklanki o pojemności 1/4 l wleć porcję lodów waniliowych i wleć nieco sodowej wody (możesz je przedtem połać 3 łyżeczkami syropu malinowego czy truskawkowego), wymieszaj dokładnie i dopełnij silnie ochłodzoną wodą sodową. Podawaj ze słomką.

ZAWIJANCE

Ciasto: 40 dkg mąki, 2 czubate łyżki cukru-pudru (przesianego!), 15 dkg masła, 2-3 (zależnie od wielkości) jaj, 5 dkg drożdży, 2-3 łyżki kwaśnej śmietany, 1 cukier waniliowy i pół łyżeczki soli zagnieć, dokładnie wyrób ciasto, rozwałkuj na grubość 1 cm, pokryj farszem, zwini w rulon. Porcje wystarczają na jeden zawijaniec. Ułóż na natłuszczonej blasze (lub w formie ciwibakowej), zostaw na godzinę, żeby podrosło, po czym upiecz w dobrze wygrzanym, lecz niezbyt gorącym, piekarniku (180-200°C). Po wyjściu z pieca natychmiast oprószyć cukrem-pudrem lub po wystygnięciu polukrzyć.

Farsz: makowy – 30 dkg niebieskiego maku sparzyć wrzątkiem, dokładnie osączyć, 2-3 razy przepuścić przez maszynkę do mielenia mięsa. Dodaj 20 dkg cukru pudru, 2-3 łyżki miodu, cukier waniliowy, 4 dkg masła, 1/3 szklanki śmietanki i przesmaż, mieszając (łatwo się przypala!). Dodaj 5-10 dkg rodzynków, garść posiekanych orzechów włoskich, trochę pokrajanej drobno usmażonej w cukrze skórki pomarańczowej. Wymieszaj dokładnie, ochłodzoną rozsmaruj równomiernie na rozwałkowanym cieście.

Migdałowy lub orzechowy: 25 dkg migdałów (oparzonych, obranych z łupki) lub orzechów zmieł w maszynce, dodaj 20 dkg cukru, czubatą łyżkę przetartych przez sito biskoptów, ewentualnie nieco posiekanej drobno skórki pomarańczowej i łyżeczkę cukru waniliowego, wreszcie dodaj 3 surowe białka. Wszystkie składniki dokładnie utrzyj na jednolitą masę (gdyby była zbyt rzadka, dodaj jeszcze trochę przesianych biskoptów) i rozsmaruj na cieście.

Z róży: róże (lub powidła) dokładnie rozetrzyj w misce, ewentualnie dodaj nieco tartej bułki (do powideł możesz dodać nieco cynamonu, posiekanych migdałów lub rodzynków i posiekanej skórki pomarańczowej). Rozsmaruj na cieście.

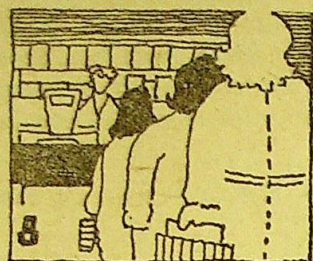
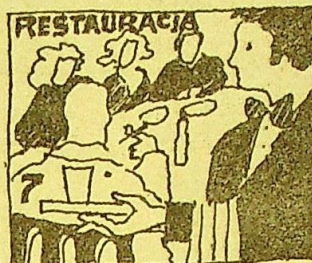
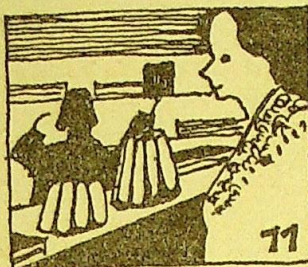
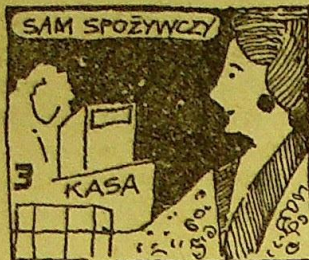




KONKURS ŚWIĄTECZNY

PAMIĘTAJ, ŻE:

NAJWYGODNIEJ

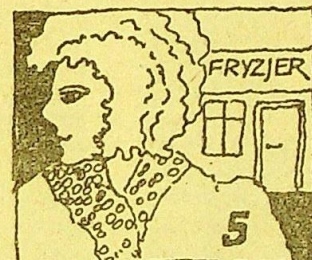
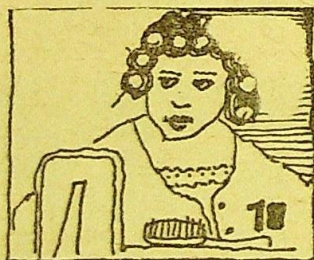
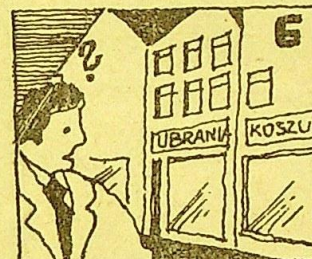


Wesołych Świąt
oraz Szczęśliwego Nowego Roku
wszystkim Czytelnikom „Konkretów”

życzy *Spółem*

Wojewódzka Spółdzielnia Spożywców

Składając życzenia pragniemy również
ułatwić Klientom „Spółem” sprawy dnia
powszedniego, a o tym jak, mówi nasz
konkurs



- S — korzystać z zakupów spożywczych zestawów rodzinnych;
- P — kupować ubrania, koszule, krawaty, bieliznę w jednym sklepie;
- O — indywidualną kreację karnawałową uszyć w ośrodku „Praktyczna Pani”;
- Ł — korzystać z usług fryzjerskich i kosmetycznych w ośrodku „Praktyczna Pani”;
- E — urządzać przyjęcia okolicznościowe w zakładach gastronomicznych;
- M — kupować gotowe ciasta świąteczne przygotowane na zamówienie.

Zadanie Czytelnika polega na odpowiednim połączeniu każdej z wyżej wymienionych propozycji z dwoma sytuacjami przedstawionymi graficznie, oznaczonymi cyframi. Rozwiązania wpisane na załączonym kuponie prosimy nadsyłać do dnia 6 stycznia (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Redakcja „Konkretów”, ul. Armii Czerwonej 4/4 59-300 LUBIN z dopiskiem — KONKURS „SPOŁEM”.

Miedzy Czytelników, którzy nadesłają poprawne rozwiązania rozlosowanych zostanie 30 bonów towarowych o wartości 100 zł, ufundowanych przez Wojewódzką Spółdzielnię Spożywców „Spółem”. Bony te będzie można zrealizować w sklepach WSS na terenie Bolesławca, Chojnowa, Legnicy, Lubina, Wołowa i Złotoryi.

S			
P			Imię
O			
Ł			nazwisko
E			
M			adres

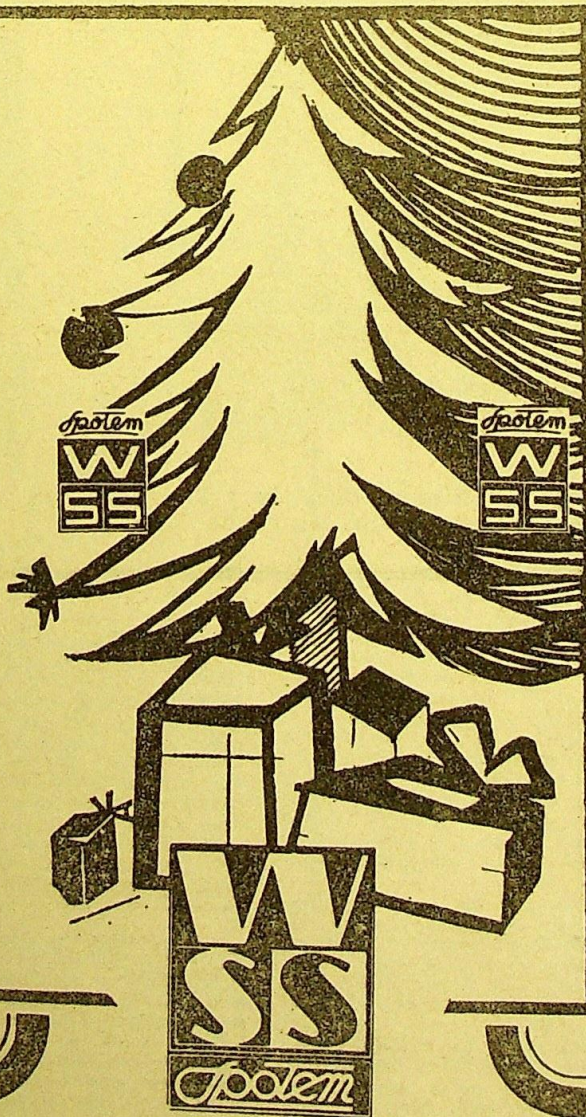
„SPOŁEM”

Wojewódzka Spółdzielnia
Spożywców we Wrocławiu
Oddział w Lubinie, ul. Odrodzenia

Życzy wszystkim PT Klientom
WESOŁYCH ŚWIĄT, a także:

- udanych zakupów w sklepach branży ogólnospożywczej w Lubinie przy ul. Kilińskiego pawilonie branży przemysłowej „MODA” przy ul. Kościuszki.
- zadowolenia z usług w zakresie krawiectwa, fryzjerstwa damskiego i maglowania bielizny, świadczonych przez ośrodek „Praktyczna Pani” w Lubinie, przy ul. Zawadzkiego 50 i Bieszczadzkiej 37, jak również cyklinowania podłóg, czyszczenia dywanów i obić tapicerskich świadczonych w punkcie wypożyczalni sprzętu przy ul. 11 Lutego.

45



„SPOŁEM”

Wojewódzka Spółdzielnia
Spożywców we Wrocławiu
Oddział w Legnicy

poleca:

1. Zestawy upominkowe wykonywane w sklepach:
 - cukierniczy, ul. Biskupia 1,
 - „Jacek, Agatka i Nastolatka”, ul. Złotoryjska 2/24,
 - Moda Damska, Rynek 3/36,
 - Dom Handlowy, ul. Grodzka 75,
 - spożywczy, ul. Świerczewskiego 17.
2. Oświetlenia, choinki sztuczne i ozdoby choinkowe do nabycia w sklepach:
 - elektrotechniczny, ul. Złotoryjska 19,
 - „Tempo — Dom”, pl. Mariacki
 - oraz na kiermaszu przy ul. Kościuszki 2.

ZAPRASZAMY

WSZYSTKIM PT. KLIENTOM SKŁADAMY
SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE.

448-k



niowieczna zbroja mocno ograniczała aktorstwo, jednak po udziale Moore'a w charakterze tytułowego bohatera serialu „Ivanhoe” można już mówić o zdobyciu popularności. Roger Moore wystąpił w kolejnym odcinkowcu „Maverick”.

Na stary kontynent wrócił w 1961 roku. Podczas realizacji filmu w Rzymie poznał atrakcyjną osiem lat od niego młodszą włoską aktorkę Louise Mattoli. Pełen temperamentu trzydziestolatek opuszcza więc starszą piosenkarkę, przez siedem lat żyje z Włoszką „na koca łapkę”. W tym czasie przyszło na świat dwóch dzieci: 9-letnia dziewczynka Deborah i 7-letni Geoffrey. Poprzednia żona dopiero w 1966 roku wyraziła zgodę na rozwód.

Roger Moore żyje z trzecią żoną, Louisą, oraz dziećmi w pobliżu Londynu. Korzysta z nich z przerwy między kolejnymi odcinkami telewizyjnymi. Roger wypoczywa przed sztalugami lub przy grze na gitarze. Jest niezwykle towarzyski. Chętnie bywam w gronie przyjaciół. Byłoby to zbyt liczne. Około 60 osób wystarczy...”



Zawsze otoczony atrakcyjnymi kobietami.

WSZYSTKO wskazuje, że Roger Moore robi także karierę filmową. Producent, ciesząc się dużym powodzeniem wśród zachodnich kinomanów ekranowego serialu z agentem 007, od dawna już szukał aktora, który by przydał blasku postaci Jamesa Bonda. Ostrożnie w inwestowaniu milionowych sum przeprowadził więc wśród amerykańskich kobiet ankietę. Pytanie brzmiało: Jak wyglądałaby idealna obsada Bonda? Zwyciężył Roger Moore, pozostawiając w tyle tak znakomitych konkurentów jak Paul Newman, Steve McQueen, Robert Redford i Tony Curtis. Raz jeszcze lord Sinclair okazał się lepszy. Wszyscy pamiętamy przecież dość niedobry tandem Moore'a z Curtisem.



W powietrzu, na lądzie i pod wodą – Roger Moore jest niezwyciężony.

Po tak rewelacyjnym wyniku ankiety producenci zawarli ze „Świątym” milionowy kontrakt. Na razie przewidziano trzy filmy. Już pierwszy nosi atrakcyjny tytuł „Życie i pozwolenie umrzeć”. Koszt produkcji – blisko 10 milionów dolarów.

Roger Moore jako agent 007 James Bond jest na tropie bandy przemycającej heroinę. Pogoń odbywa się przy pomocy samochodów, samolotów, ślizgaczy. Ba, sprowadzono nawet do USA londyński autobus-piętrowiec. Bond jedzie nim tak brawurowo pod zbyt niskim mostem, że ścięte górne piętro spada dokładnie na samochód prześladowców. W akcję wkracza także kilka tuzinów wygłodniałych krokodyli i aligatorów. Te krew w żyłach mrozące sceny realizowano na

Jamajce. W kolejnej przygodzie Bond znalazł się bowiem na małej wyspie otoczonej przez żarłoczne bestie. Agent oczywiście i tym razem wychodzi z opresji bez szwanku. Rzucił w paszczę gadów kilka kur, sam zaś po grzbietach krokodyli i aligatorów dostaje się na ląd stały. Dobrze!

Nie ma sukcesu bez ofiar. Roger Moore musiał obciąć dobrze zapuszczone włosy na regulaminową długość zapałki i w forsownym treningu zrzucić osiem kilogramów wagi. Producenci stwierdzili bowiem, że nawet przy wzroście 1,90 jego sylwetka byłaby zbyt ciężka.

CZY WCIĘLENIE się w agenta 007 da się pogodzić z dotychczasową niechęcią wobec brutalnych scen? Roger Moore twierdzi: „Pozostanę jak zawsze szarmanckim. Owszem, będą gwałtowne sceny, ale w „Życie i pozwolenie umrzeć” głównie samochody, samoloty, autobusy i motorówki zamieniają się w kupę szmelcu”. Reżyser natomiast twierdzi, że również w ósmym filmie z tej serii trup się będzie siał gęsto. Dożyjemy, być może zobaczymy. Jedno jest pewne, film ten obejdzie się bez erotycznych ekstrawagancji. Producenci chcieli by bowiem aby nowy Bond zwabił do kin również młodzież. Wprawdzie partnerka niezwykłego agenta będzie 22-letnia Jane Seymour, tancerka baletowa, jednak okazji do uławnienia swoich intymnych wdzięków jej nie stworzono.

Zapytany, czy jego żona nie jest zazdrosna o tak atrakcyjne partnerki, Roger Moore odpowiedział: „Owszem, ale ja nie jestem zazdrosny”. Odpowiedź wieloznaczna, jak przystało na agenta 007.

JEGO karkołomne przygody śledzono z zapartym tchem. Serca kobiet biły szybciej, kiedy narażając życie osłaniał zazwyczaj atrakcyjną i bezbronną ofiarę przebiegłych przestępców. Był zawsze szarmanckim, inteligentnym i niezwyciężonym. Znał go telewizzowiec prawie wszystkich kontynentów z ponad 120 odcinków. Słowem – Simon Templar, czyli „Święty” szklanego ekranu.

Roger Moore, 45-letni Anglik, jest dzisiaj gwiazdą telewizyjną pierwszej wielkości. I milionerem. Jak zaczęła się jego zawrotna, światowa kariera?

Jest synem londyńskiego policjanta. Już w piętnastym roku życia nawiązał kontakt z filmem: był gońcem, a następnie pomocnikiem rysownika w wytwórni filmów trickowych. Statystował w „Cezarze” i „Kleopatrze”. Debiut wypadł nad podziw dobrze, toteż znaleźli się chętni, którzy zafundowali młodzieńcowi pobyt w królewskiej akademii aktorskiej. Po raz pierwszy zaczęły go otaczać atrakcyjne dziewczyny. Jedną z nich Dorn van Steyn została jego żoną. Nowożeńcy spędzili miesiąc miodowy (w 1946 roku) w Niemczech. Tam też 19-letni Moore pełnił służbę jako porucznik angielskich wojsk okupacyjnych. Już wówczas jednak wykorzystywano raczej jego aktorski talent.

Dwuletnia służba w Niemczech oślodziła mocno młodego zapalę Rogera. Nastąpił rozwód. W kolejnych powojennych latach przyszły telewizyjny bohater był kelnerem, pomywaczem, reklamował modę, z rzadka tylko pojawiając się na scenie. Nic wówczas nie zapowiadało dzisiejszej popularności.

Roger Moore wytrwale dążył do wytkniętego sobie celu. Pracował nad swoim warsztatem aktorskim, dbając o nienaganny wygląd i maniery. W 1953 roku ożenił się z piosenkarką Dorothy Squires. Była od niego o dziesięć lat starsza. Widocznie pomogła mu jednak w zdobyciu kolejnego szczebla, gdyż w tym samym roku hollywoodzka wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer podpisała z nim kilkuletni kontrakt. Filmy z ryczącym lwem w czołówce, w których występował, nie były zbyt wysokiego lotu. „Wówczas w Paryżu” lub „Dana – kurtyzana Francji” miały wszak jedną atrakcyjną stronę. Występowały w nich takie aktorki jak Liz Taylor czy Lana Turner. Nazwisko Moore'a zaczęło się więc pojawiać obok nazwisk gwiazd ekranu.

Olbrymi rozwój telewizji, zapotrzebowanie na seriale stały się szansą dla młodego aktora. Wprawdzie śred-



„Święty” w rodzinnej idylli.



Najwięcej radości
sprawi
kupiony na gwiazdkę

LOS

KRAJOWEJ LOTERII PIENIĘŻNEJ



KRZYŻÓWKA—
— GIGANT

Zapraszamy naszych Czytelników do udziału w świątecznej zabawie, polegającej na ułożeniu krzyżówki z podanych niżej wyrazów. Litery w kratkach oznaczonych liczbami od 1 do 45, czytane w kolejności, utworzą hasło krzyżówki. Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy przesłać rozszyfrowane hasło na adres redakcji. Na kartce pocztowej prosimy nakleić kupon. Rozwiązania bez kuponu nie biorą udziału w losowaniu nagród. Termin nadsyłania odpowiedzi: 15 stycznia 1975 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Życzymy przyjemnej rozrywki i powodzenia w losowaniu nagród — 30 BONÓW KSIĄŻKOWYCH PO 30 ZŁOTYCH KAŻDY!

WYRAZY DO WPISANIA:

13-literowe: AWANTURNICTWO (wpisano), DOPOWIEDZENIE, JUSTY, CJARIUSZ, UDOSTĘPNIENIE;

12-literowe: ANALFABETYZM, ANKIETOMANIA, GASTROSKOPIA, KONFERANSJER, MODERNIZACJA (wpisano), NORMALIZACJA, REPORTAŻYSTA (wpisano), ROZŁADOWANIE;

9-literowe: AMBASADOR, KRONIKARZ, WAŁĘSANE, WITAMINKA;

8-literowe: AMARILLO, ARKANAS, ARTYSTKA, CALDERON, INWESTOR, PROSTOTA, TRZECIAK, WYROBNIK;

7-literowe: ADAPTER, ADOPCJA, AEROSOL, AGRESJA, ANATEMA, ANDAMAN, ARMATOR, ARNHEIM, CYTRYNA, CZYSTKA, DOTACJA, DYSPUTA, DWIKOZY, ELEKTOR, IBRAHIM, IONESCO, KASKADA, KOLUMNA, MARIUSZ, NAGONKA, NALEWKA, OBOROWY, OSADNIK (wpisano), PANTEON, PANTERA, PARASOL, PARAWAN, PARODIA, PARTACZ, PIENIEK, PUPILEK, RACHELA, RAWENNA, RESPEKT, ROGOPAG, TADEUSZ, WAHADŁO (wpisano), WYSTAWA, ZATOPEK, ZWYCZAJ;

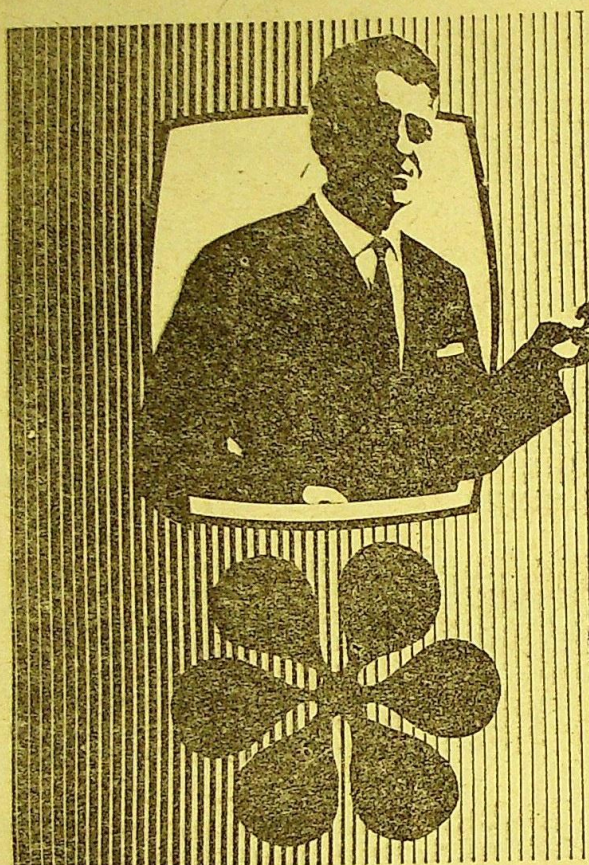
6-literowe: ARKADY, BARKAS, BUDRYS, DARWIN, DREWNO, HADYNA, KABINA, KLASYK (wpisano), KLATKA, KOMODA, KOTLET, KRAKUS, KURTKI, MARMUR, MEDYNA, NATURA, OCZŁAP, OGONKI, OKRYWA, PARKAN, PARNIK, PATRON, POGODA, POKAZY, RAPSOD, ROLADA, RZESZA, STACJA, STATKI, SZTABA, ŚWIDER, ŚWIECA, TARZAN, TRAPER, UDANIN, WULKAN, WYKUSZ, WYSKOK, ZACISK, ZAPŁON;

5-literowe: ADANA, ADRIA, AFERA, AGANT, AGATA, AGNEW, AKABA, AKIBA, AKRON, AKTOR, AKTYW, ALKAD, ANODA, APASZ, ARAGO, ARMIA, ARSEN, ASTER, AUTOR, BEKER, BLASK, BRODA, BRONA, CESJA, CYTRA, DANTE, DASZA, DAWKA, DERMA, DORSZ, DUCHY, ELANA, ELITA, ERATO, ERWIN, ETOLA, FENOL, GARAŻ, GARBO, GZYMS, INNES, IRCHA, IRWIN, JAŁTA, JUBEL, KADRA, KANWA, KASTA, KARAT, KARIN, KLOPS, KNORR, KOLOR, KORAN, KOTKA, KPINA, KREPA, ŁÓDKA, MARSZ, MISJA, NAHAS, NAPAD, NIASA, NINKA, NOTES, OBRAZ, OCZKO, ODŁAM, ODWAR, OGROM, OKTET, OKRES, OPOKA, PESOS, PLUSK, POMÓR, POWAB, PRASA, PRASK, PROSO, RADIO, RADNA, RAMKA, RAMOL, REMIS, REMIZ, RERON, RETYK, ROBUR, RODAN, ROLKA, ROWER, ROZUM, RURKA, RYNEK, RZECZ, RZEKA, RZEPA, SAGAN, SANIE, SANNA, SETER, SKALA, SONET, SOSNA, TEREN, TROJA, WARGI, WARTA, WIDMO, WIZJE, YORKE, ZAPAS;

4-literowe: AMOR, ANNA, APLA, ARTE, AUTO, ETNA, KAPO, KRAN, LALA, MAGI, NOEL, OKAZ, PLIK, RACA, SPAD, TRAP, UCHO, WNUK, WYKA, ZŁOM;

3-literowe: AIN, AKR, DUR, ELK, EMU, IBU, IPC, ITR, JUL, KIU, KOS, KRA, LIN, ONI, PAD, RAD, SET, SYN, TAL, TOS.

Opracował CZESŁAW PAŃCZUK
Rozwiązanie krzyżówki z numeru 49.
Poziomo: notariusz, błoto, sarkazm,



ZARZĄD
POWIATOWEGO ZWIĄZKU GMINNYCH SPÓŁDZIELNI
„SAMOPOMOC CHŁOPIKA” W LUBINIE,
MIEJSKIEJ SPÓŁDZIELNI ZAOPATRZENIA I ZBYTU W LUBINIE
ORAZ GMINNYCH SPÓŁDZIELNI POWIATU LUBIŃSKIEGO

ZAPRASZAJĄ KLIENTELE DO SWOJEJ SIECI HANDLOWEJ
W CELU DOKONANIA POMYSŁNYCH ZAKUPÓW W OKRESIE
ŚWIĄT GRUDNIOWYCH BR.

— Oferujemy szeroką gamę towarów przemysłowych i spożywczych w Domu Towarowym przy ul. Kopernika, Handlowym Domu Dziecka i Rolniczym Domu Towarowym przy ul. Traugutta oraz w sklepach branży przemysłowej i spożywczej na terenie całego powiatu.

— Rolników zapraszamy również do Składnicy Maszyn i Narzędzi Rolniczych oraz części wymiennych mieszczącej się przy ul. Ścinawskiej.

— Tym, którzy posiadają waluty obce, oferujemy poszukiwane atrakcyjne towary w sklepie „Pewex” przy ul. Kościuszki.

KORZYSTAJĄC Z OKAZJI WSZYSTKIM CZŁONKOM „SPÓŁDZIELNI „SAMOPOMOC CHŁOPIKA” ORAZ NASZYM KLIENTOM I ICH RODZINOM SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE ORAZ NOWOROCZNE.

ZARZĄD PZGS W LUBINIE

440-1



dyrekcja
Wojewódzkiego
Przedsiębiorstwa
Handlu
Spożywczego
Oddział
W Lubinie

POLECA PT KLIENTOM NASTĘPUJĄCE USŁUGI:

— PIECZENIE DROBIU NA RÓŻNIE
sklep nr 5 „SEZAM”, ul. Nowotki — tel. 428-56
sklep nr 19, ul. Mickiewicza — tel. 417-31

— DOSTAWA MLEKA DO DOMU
sklep nr 5 „SEZAM”, ul. Nowotki — tel. 426-56
sklep nr 21, Osiedle Staszica

— ZESTAWY UPOMINKOWE (SŁODYCZE)
wg uzgodnienia
sklep nr 2 — ul. Nowotki — tel. 416-94
sklep nr 14 — pl. Wolności — tel. 418-36
sklep nr 24 — Osiedle Staszica

Radom Zakładowym polecamy korzystanie z usług WRĘCZANIA
PACZEK DLA DZIECI PRZEZ MIKOŁAJA — szczegółowej in-
formacji można zasięgnąć pod numerami tel. 428-64, 428-81.

Ponadto proponujemy SZEROKI ASORTYMENT ARTYKUŁÓW SPO-
ŻYWCZYCH W SKLEPACH WPHS.

WSZYSTKIM PT KLIENTOM ŻYCZYMY WESOŁYCH ŚWIĄT
I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU.

435-k



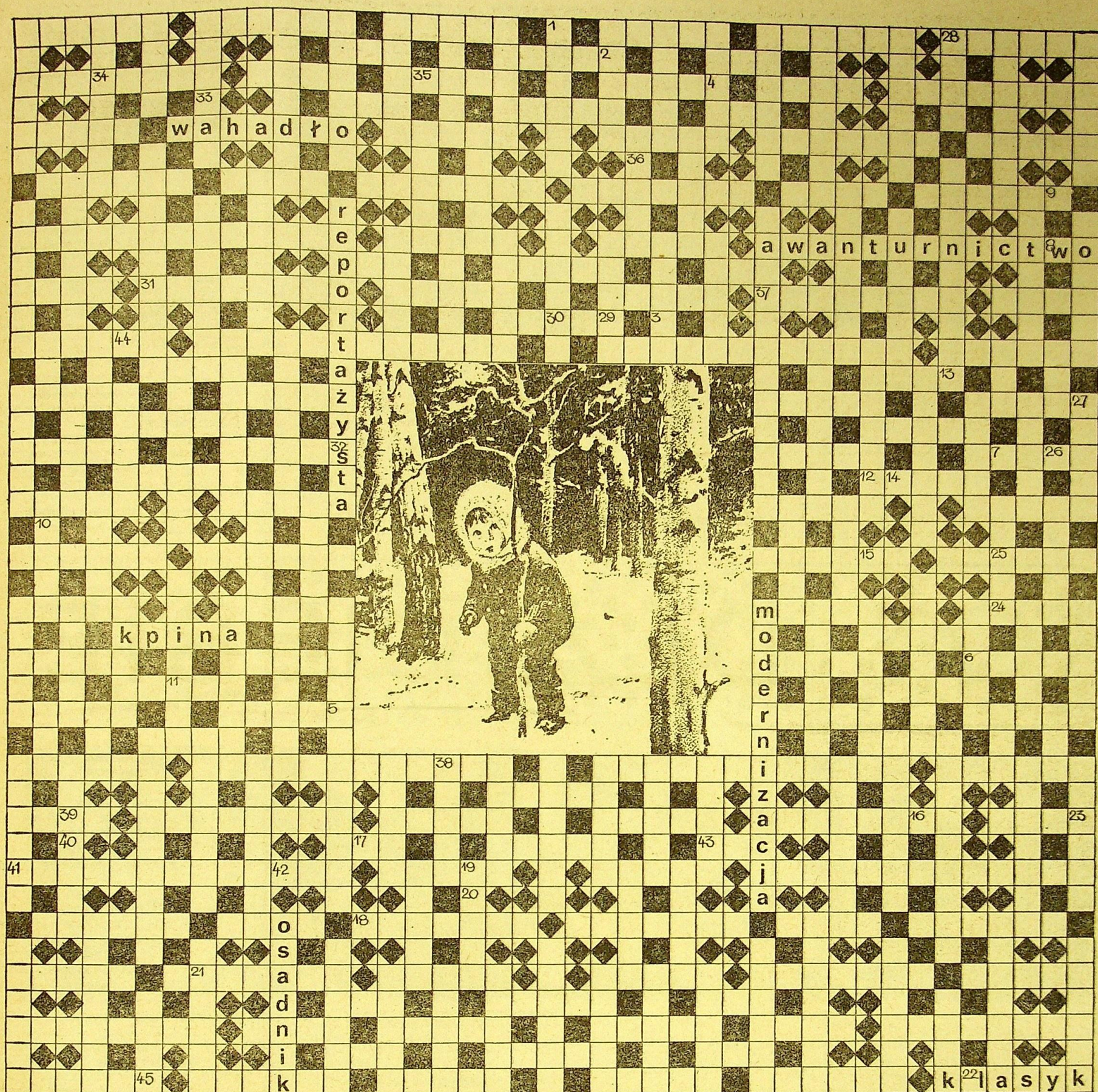
28

OGŁOSZENIE

Poszukuję właściciela czerwonej
SKODY, który w dniu 31.X.1974 roku
był świadkiem wypadku WARTBUR-

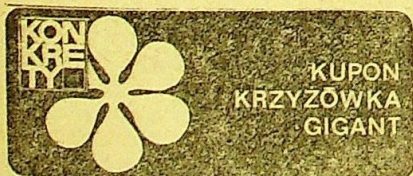
GA ze STAREM A-25 na ul. Niepodle-
głości przy skrzyżowaniu z ul. Skło-
dowskiej-Curie w Lubinie. Wiado-
mość: Jan Armatez, Lubin, Zawadz-
kiego 66/13.

g-041699



siekacz, errata, mewa, łup, krep-, amarek, uczucie, kredens, cynik, szalająca. Pionowo: Zbyszek, pole, nota, tusz, rura, udar, zamek, krater, chałat, lupa, zero, sklejka, mszyca, rycina, kokos, reda, mewa, usta.

Nagrody — bony książkowe 20-złotowe — wylosowali: Cezary MOCZKO, 59-921 Sieniawa; Anna SZUFLITA 59-220 Legnica; Zygmunt ZYCH, 68-221 Białoleka, pow. Głogów. Nagrody prześlemy pocztą.



Sprostowanie

W opublikowanym w numerze 49 na stronie 13 wyjaśnieniu architekta powiatowego z Lubina błąd literowy zniekształcił sens zdania. Winno ono brzmieć: „Wydział... wydał nakaz (nie jak wydrukowano zakaz) natychmiastowego uporządkowania terenu...”. Czytelników i autora listu za pomyłkę przepraszamy.

WPTO

DO SIEGO ROKU!

ODZIEŻ, TKANINY I TRYKOTAŻE
DAMSKIE

polecają

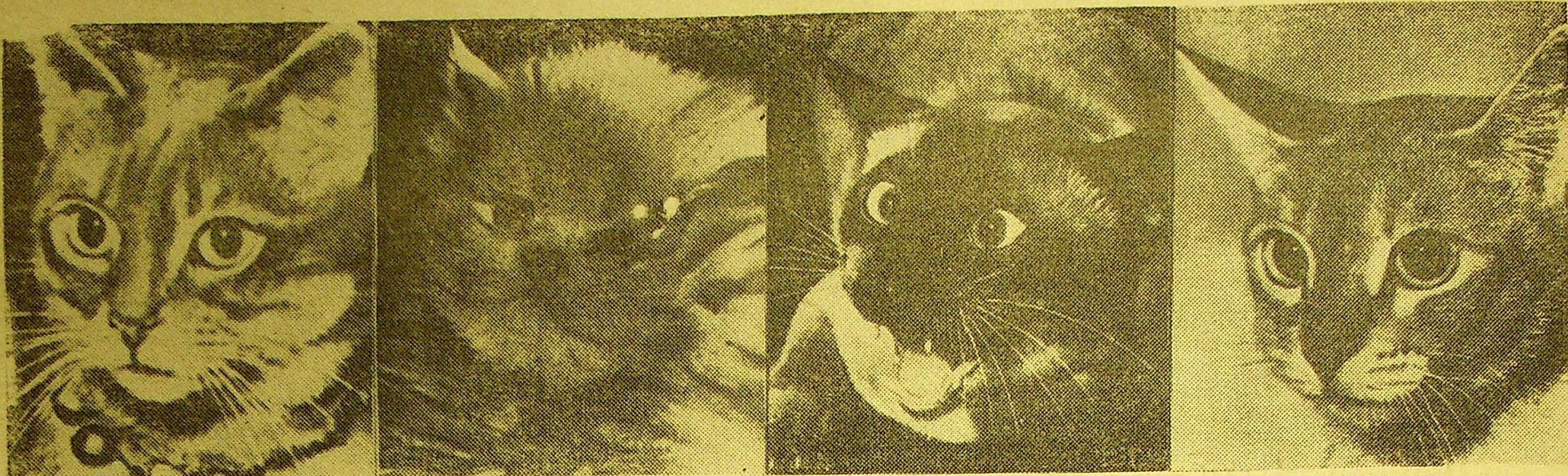
SKLEPY WPTO

LUBIN, AL. NIEPODLEGŁOŚCI.

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW.

WPTO

450-k



BARAN 21 III-20 IV

Ludziom spod znaku Barana przypisuje się kota, który myśli i działa równie szybko jak oni. Żywy, inteligentny, ma swoje dziwactwa i humory, których – podobnie jak dziwactw i humorów Barana – nie usiłuj zrozumieć. Jest też cokolwiek, jak i jego pan, zarozumiały. Rodowód tego zwinnego, burego jak tygrys kota, wywodzi się aż z Bagdadu.

BYK 21 IV-21 V

Dla samotnych Byków najlepszym towarzyszem jest kot perski – atrakcyjny i elegancki jak i Byk bywa kiedy mu na tym zależy. Kot Byka może być bardzo zazdrosny o swoją pozycję, nie lubi przyjaciół, a tym bardziej stałego partnera swojego pana. I chociaż dla pozoru pozwala się głaskać, gdy tylko jego właściciel wyjdzie z pokoju, podrapie lub ugryzie nielubianą osobę.

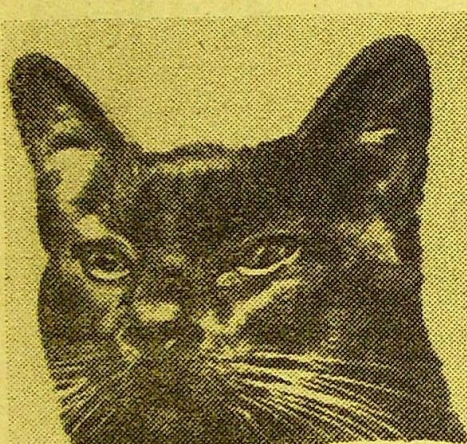
BLIŹNIĘTA 22 V-21 VI

Gdy Bliźnięta decydują się na posiadanie kota, będzie to na pewno kot syjamski, zwany królem kotów. Jest on nieufny, ostrożny, powoli przywiązuje się do właściciela i nigdy nie ma się pewności czy nagle nie odejdzie w stronę dali. Elegancki i towarzyski, może być przemiły ale najbardziej cenią sobie niezależność. Z właścicielem – Bliźniętami – łączy go milczące porozumienie, może dlatego, że obaj mają tak podobne cechy charakteru...

RAK 22 VI-22 VII

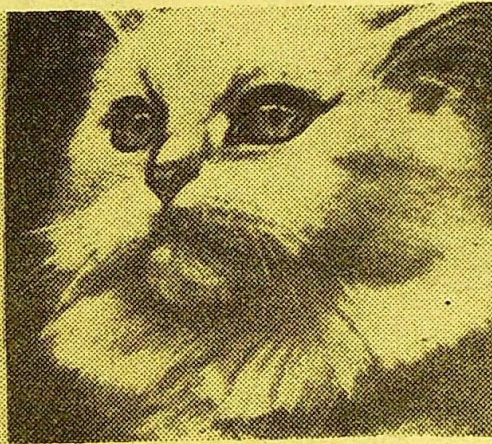
Rak jest domatorem, to samo dotyczy jego kota, który potrafi rozsiać się w najlepszym fotelu, panoszyć na środku tapczanu i mało kiedy wychylił nos poza próg domu. Przemiły i „przylepny” lasy jest na pieśczoły. Kwitnie, gdy dobrze mu się wiedzie. Rak na ogół pozwala swojemu kotu na wszystko, a kot... toleruje łaskawie jego obecność w domu.

KOT DLA CIEBIE



LEW 23 VII-22 VIII

Lew, który sam ma kocią naturę, lubi koty niezależne i mało go absorbujące – najlepiej, gdy są to koty sąsiada. Kot, którego astrologowie przypisali Lwu, pochodzi z kotów syjamskich. Jest pełen rezerwy i dostojności. Podobnie jak jego właściciel – zawsze opanowany i nie angażuje się w nic zbyt pochopnie. W działaniu szybki i zdecydowany. Lubi wylegiwać się w słońcu, na piecu przy kaloryferach, ale rzadko na czyichś kolanach...



PANNA 23 VIII-22 IX

Astrologowie twierdzą, że Panny są idealnymi właścicielkami kotów, a koty bardzo do nich pasują. Najbardziej zaś koty rasy chinchilla. Panny pozwalają kotom na wszystko, toteż ich koty wachają różne przesady między kryształami a ukochanymi książkami, pozwalają karmić się witaminami i cukierkami. Bez protestu znoszą też kokardy na szyi, głaskanie i całowanie. Są zawsze opanowane i pełne godności.



WAGA 23 IX-23 X

Jeśli Waga przyniesie nagle któregoś dnia do domu kota, będzie to niewątpliwie długowłosy kot birmański. Jest on bardzo atrakcyjny dzięki oryginalnej urodzie, która dodaje mu wielkiej pewności siebie. Lubi być ośrodkiem zainteresowania i z wyniosłą obojętnością wysłuchuje komplementów, w czym bardzo przypomina swojego właściciela – Wagę.



SKORPION 24 X-22 XI

Pstrokaty kot jest najlepszym towarzyszem dla Skorpionów. Lubi gdy go głaskać. Mruczy wtedy głośno i przemiłnie, a mruczenie to działa kojąco na wiecznie podenerwowane Skorpiony. Jest mało wymagający, bardzo samodzielny, nie narzuca się ze swoją obojętnością. Astrologowie twierdzą, że cierpiące ciągle na stesy i chandry Skorpiony powinny sobie koniecznie sprawić takiego właściciela kota.



STRZELEC 23 XI-21 XII

Większość Strzelców nie przepada za kotami, dużo bardziej wolą od nich psy lub konie. Gdy jednak zdecydują się na kota, będzie to na pewno kot z wysp na Morzu Islandzkim. Wesół, zawiadacki, odważny i ryzykowny, a przy tym – zaproszony – lubi posiedzieć chwilę na kolanach. Sam nie narzuca się jednak nigdy.



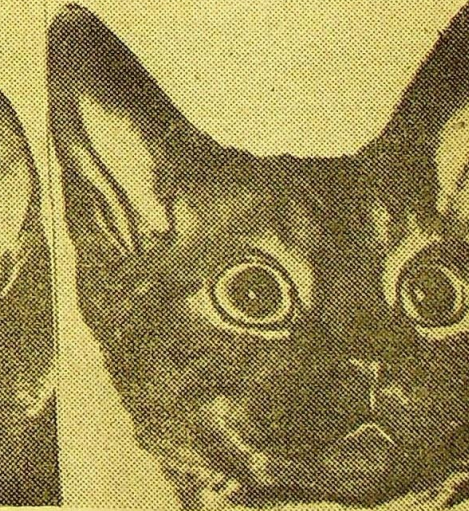
KOZIOROŻEC 22 XII-20 I

Koziorożce mają szczególne upodobanie do kotów czarnych, naturalnie nie są one wskazane dla Koziorożców, zabobonnych, które potrafiłyby obarczyć kota odpowiedzialnością za wszystkie swoje kłopoty i zmartwienia. Czarnowłose koty wbrew pozorom są wesole, pogodne i towarzyskie. Są też wyjątkowo schludne – myją się bez przerwy i nigdy nie stają brudnymi łapami na czystym.



WODNIK 21 I-20 II

Kot Wodnika to błękitny kot rosyjski. Jest on przede wszystkim uparty – niemal tak samo jak uparty bywa Wodnik. Robi zawsze tylko to na co ma ochotę. Nie próbuje go wołać – jeżeli nie zechce, nie podejdzie do ciebie. Kot ten jest bardzo inteligentny, doskonale potrafi przejrzeć twoje zamiary. Kiedy mu zależy, umie być przemiły i pełen wdzięku.



RYBY 21 II-20 III

Koty i kotki są idealnymi towarzyszami dla Ryb. Ryby zaopiekują się każdym bezdomnym kociakiem i nieraz na siłę pragną go uszczęśliwić i uczyć przeróżnych sztuczek. Kot, którego astrologowie przypisują Rybom, jest rzadkiej rasy, charakteryzującej się bardzo długimi uszami, rasy trudnej w hodowli. Jest to kot towarzyski, wesół, figlarny. Nieraz zbyt beztroski. Podobnie zresztą jak Ryby...

TV PROGRAM

PIĄTEK — 20. XII. 74 r.

9.55 — „Pechowy dzień” — fab. film węg. 15.50 Nurt — Psychologia. 16.30 — DTV. 16.40 — Pora na Telefora. 17.15 — Prawda w oczy — publ. sportowa. 17.40 — Przewodnik Młodego Turysty. 18.00 Poradnia Młodych. 18.20 — Rozmaitości (Wr.). 18.40 — Fakty, hipotezy, opinie — Azyl dla człowieka. 19.30 — DTV. 20.20 — „Mój program” — przedstawia Zofia Mrozowska. 21.25 — Panorama. 22.05 — Recital zespołu Pro-Contra. 22.35 — DTV. 22.50 — Wiadomości sportowe.

Program II

16.50 — Morskie zawody — radiooficer — pr. public. 17.20 — Kino miniatur. 18.05 — Mała encyklopedia zwierząt. — odc. 26: „Zyrafy”. 18.40 — Przed kamerą SBB — pr. muz. 19.30 — DTV. 20.20 — Sześć zdrowia. 20.35 — TEST. 20.50 — NURT — Psychologia. 21.20 — 24 godziny. 21.30 — „Allegro con brio” — jugosl. film fab. 22.35 — Słowa za słowem — sylwetka tłumacza. 23.00 — Jez. rosyjski.

SOBOTA — 21. XII. 74 r.

10.00 — „Allegro con brio” — jugosl. film fab. 15.20 — Na opolskiej ziemi. 15.40 — TV Inf. Wyd. 16.00 — DTV. 16.10 — Sobótka. 16.35 — Reportaż. 17.00 — Dla młodzieży — „Łukasz”. 17.45 — Światłoczuły notatnik — Zyciorys zycia. 18.05 — Dave Cash przedstawia: „Domowe jedzonko” — ang. pr. rozrywkowy. 18.30 — Pegaz. 19.30 — Monitor. 20.20 — „Poślizg” — fab. film polski. 21.45 — „Jesienny pan” — Wyk.: Roman Gerczak, Urszula Sipińska, Renata Krótówna, Zdzisława Sośnicka i inni. 22.40 — DTV. 23.00 — Wiadomości sportowe. 23.15 — Jara da Cimrman — humor czeski.

Program II

16.55 — Spotkania ze sztuką — Grafika nie tylko prasowa. 17.40 — Tańczy Barbara Bittnerówna. 17.55 — „Na ziemiach pradawnej Gondwany” — dok. film radz. 19.30 — Monitor. 20.20 — Spraw. mag. sportowy. 21.50 — 24 godziny. 22.00 — „Łoża”. 22.40 — „Co ważne w życiu” — film fab. CSRS.

NIEDZIELA — 22. XII. 74 r.

8.40 — Bieg po zdrowie. 9.00 — Tele-ranek. 10.30 — Antena. 11.00 — Drogi zwycięstwa — Wojna w Afryce — dok. film ang. 12.20 — DTV. 12.40 — Z kamerą w Konopnicy. 13.00 — Studio muzyki rozrywk. W pr. Pro-Contra, Fonogram, Bolesław Gromnicki oraz balet Opery Poznańskiej. 13.30 — Piórkami i węglem. 13.55 — Dla dzieci: „Ramajana”. 15.05 — Nie tylko dla pań. 15.30 — Lekturey Pegaza. 15.45 — Toto Lotek. 16.00 — Wielka gra. 16.50 — Refleksje obywatelskie. 17.10 — Polski film dok. — „Gdy wszystko było pierwsze”. 17.45 — Recital Middle of the Road (Wielka Brytania). 18.10 — Spraw. magazyn sportowy. 19.30 — DTV. 20.20 — Bajka dla dorosłych — Zaliczka. 20.25 — „Puccini” — odc. ostatni — film fab. włoski. 21.45 — „Sam na sam” — z Józefem Szajną. 22.45 — Inf. mag. sportowy.

Program II

14.10 — Gospodarność i ja — Cena partactwa. 14.25 — Portret z autografem. Utwory Dworaka, Mozarta, Schuberta i Pucciniego śpiewa Elizabeth Ebert. (Pr. TV NRD). 15.05 — „Tawerna”. 15.35 — Estrada literacka — Ignacy Krasiński — „Pijaństwo”. 15.45 — Militaria — Obronność — Nowoczesność. 16.15 — Dla ml. widzów: „Złote wrota”. 17.05 — Koncert estrad. 17.35 — Świat — Obyczaje — Polityka. 18.05 — „Ostatnie słowo” — odc. II filmu NRD. 19.30 — DTV. 20.20 — Małe varié — pr. rozrywk. 20.55 — „W domu mistrza Jana” — rep. filmowy. 21.45 — Eurowizyjny konkurs piosenki 74.

PONIEDZIAŁEK — 23. XII. 74 r.

9.00 — „Książę i żebrak” (cz. I) — film CSRS 15.30 — NURT 16.30 — DTV

16.40 — Zwierzyniec. 17.30 — Echo stadionu. 17.15 — Rozmaitości (Wr.). 18.45 — „Konsylium” — cz. I. 19.30 DTV. 20.20 — Teatr TV: Maciej Bortowicz — „Teraz większy spokój”. Wystąpią: Teresa Lipowska, Mieczysław Voit, Jan Kociński i in. 21.15 — „Gert Michaeli chór” — pr. rozrywk. 22.00 — „Spotkania w drodze”. 22.50 — „Konsylium” — cz. II. 23.05 DTV.

Program II

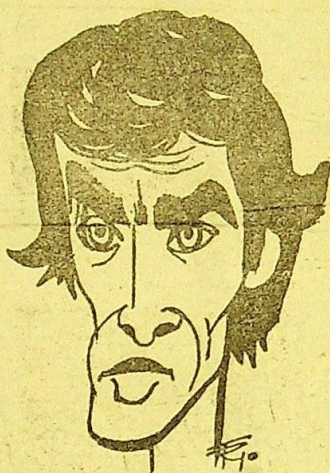
17.45 — „Pod wierzchami”. 18.05 — „306 taktów z Welickowskim”. 18.45 — „Rewelers wczoraj i dziś”. 19.30 DTV. 20.20 — Sprawozdawczy magazyn sportowy. 21.20 — 24 godziny. 21.30 — Czas i ludzie: Wenecja. 22.40 NURT.

WTOREK — 24. XII. 74 r.

9.00 „Książę i żebrak” — film CSRS (cz. II). 10.10 — „Puccini” (odc. V — ostatni). 14.15 — Kino Skrzat. 14.55 — „Zima w lesie”. 15.05 — „Wódz Indian Tecumseh” — film NRD. 16.55 — Polska w oczach świata — Japonia. 17.20 — „Gospoda pod piórem i gitarą”. 18.00 — „Wieczór wigilijny u Hanuszkiewiczów”. Udział wezmą: Zofia Kucówna, Adam Hanuszkiewicz, Daniel Olbrychski i inni. 19.30 — Dziennik. 20.20 — „Wśród nocnej ciszy” — Kolędy i pastorałki. 20.40 — Teatr TV: A. Fredro — „Pierwsza lepsza”. Wystąpią: Marta Lapińska, Hanna Okuniewicz, Damian Damięcki i inni. 21.25 — „Dobry wieczór tu Łódź”. 22.25 — „Arsen Lupin” — pt. „Kasa pancerna pani Imert”. 23.15 TV Teatr Muzyki „Chopiniana”. 23.35 — „Sen na jawie” — hiszpański program rozrywkowy. 23.55 — Bajka dla dorosłych.

Program II

16.50 — „Święty Mikołaj pilnie poszukiwany” — nowela 17.20 — „Marze-



WIECZÓR WIGILIJNY U HANUSZKIEWICZÓW, na którym spotkamy dobrych znajomych z kina i szklanego ekranu. Będą u siebie przyjmować Adam Hanuszkiewicz

ŚRODA — 25. XII. 74 r.

9.00 — „W pustyni i w puszczy” (odcinek I). 10.00 — „Srebrna droga” — reportaż o mistrzostwach świata w piłce nożnej. 10.50 — „Kolędy i pastorałki”. 11.25 — Program publicystyczny. 12.45 — Godzina Orfeusza. 13.15 — Klub Sześciu Kontynentów. 14.05 — „Czerwony Kapturek”. 14.35 — Mały Lotek. 14.45 — „Fantomas” — film franc. 16.25 — Pieśni polskie śpiewa Elżbieta Jarosiewicz. 16.40 — Polska w oczach świata: USA 16.50 — „Z najlepszymi życzeniami”. 18.10 — Tele-Echo. 19.30 — Dziennik. 20.20 — „Kleopatra” — film amerykański. 23.25 — Program rozrywkowy.

Program II

13.15 — „Talenty i wielbicieli” — film radz. 14.40 — „Zimowe gody”. 15.10 — Spotkanie z idolem. 16.10 — „W drodze” — tańczy Alicja Boniuszko, recytuje Mieczysław Voit. 16.40 — Teatr TV: Jarosław Iwaszkiewicz: „Lato w Nohant”. Wystąpią: Halina Mikołajska, Leszek Herdegen, Hanna Okuniewicz i inni 18.10 — „W pustyni i w puszczy” (cz. I). 19.30 — DTV. 20.20 — „Wszystkiego po trochu” — program rozrywkowy.

CZWARTEK — 26. XII. 74 r.

9.00 „W pustyni i w puszczy” (cz. II). 10.00 — „Gdy zagrają stare płyty”. 10.30 — W starym kinie „Tarzan i amazonki”. 11.45 — „Zodiak pod znakiem Strzelca”. 12.30 — „Z gwiazdą idziemy od Tatru do Wrocławia”. 12.50 — „Z kamerą wśród zwierząt”. 13.25 — Dla dzieci: „Bromba, czyli festiwal w kłopotach”. 14.05 — Polska w oczach świata: ZSRR. 14.30 — „POJEDYNEK” — Szymon Kobylński i Bernard Ładysz (III runda). 15.50 — „Jak ukrąść milion dolarów” — film USA. 17.50 — VI TV Spotkania z Balladą. 19.30 — DTV. 20.05 — Teatr Kobra: W. Irish — „Pan widmo”. Wykonawcy: Anna Chodakowska, Andrzej Kopiczyński, Józef Nowak. 21.15 — „Walter broni Sarajewa” — film jug.

Program II

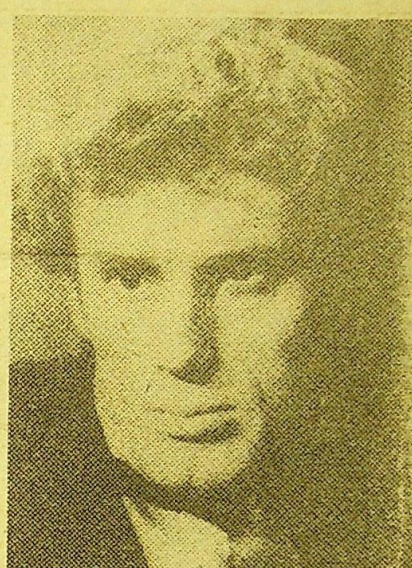
14.50 — Przegląd polonijny. 15.20 — „Copelia” — adaptacja baletu Delibesa. 16.30 — „Tundra” — film przyrodniczy. 17.00 — „Wieczór kapitanów”. 17.50 — „Taaaka ryba”. 18.10 — „W pustyni i w puszczy” — (cz. II). 19.30 — Dziennik. 20.15 — „Pechowy załotnik” — film radz. 21.10 — „Porwanie Sabine” — udział biorą: Irena Kwiatkowska, Jolanta Żykm. Edward Dziewoński i inni.

PIĄTEK — 27. XII. 74 r.

9.00 — „Niezwyciężony orzeł” — film Disneylandu. 9.50 — „Arsen Lupin”. 15.50 — Nurt. 16.30 — DTV. 16.40 — „Zaproszenie do Smoczej Jamy” — dla dzieci. 17.25 — Polska w oczach świata: Dania. 17.45 — Spotkanie z Ireną Szewińską



Zofia Kucówna



będzie tam również Daniel Olbrychski.

WTOREK — 31. XII. 74 r.

15.55 — Przypominamy, radzimy. 16.00 — DTV. 16.15 — Dla dzieci — Legendy z wianego brzegu. 16.45 — „Zyciorys kaczora Donald” — z serii: Disneyland. 17.40 — Dla młodych widzów: Ostatni walecznik. 18.10 — Debiuty roku — pr. sportowy. 18.40 — „Cześć Stary... Roku” — sylwestrowy program rozrywkowy. 19.30 — DTV. 20.00 — Przemówienie Noworoczne. 20.15 — Muzyka polska. 20.35 — Telewizyjny program sylwestrowy.

Program II

17.40 — „Motywacje” — public. kulturalna. 18.30 — „Pan Tomzik” — czeska komedia filmowa. 19.30 — DTV. 20.00 — Przemówienie noworoczne. 20.15 — Muzyka polska. 20.35 — W starym kinie — „Książatko” — arch. film polski. Wyk.: Karolina Lubieńska, Eugeniusz Bodo, Loda Niemirzanka, Antoni Ferner. 22.00 — „Hoffman”, ang. film fab. 0.05 — „Błada twarz” — komedia USA (western).

ŚRODA — 1. I. 75 r.

9.00 — „W pustyni i w puszczy” — odc. IV, ostatni. 10.00 — „Na szczęcie, na zdrowie”, na Nowy Rok — Zwycięzcy i obrzędy — wid. regionalne w wyk. koledników z Beskidu. 10.30 — Sport 1974. 11.55 — DTV. 12.15 — Koncert Noworoczny z Wiednia w pr. pop. utworzy Strausów w Wyk. Orkiestry Filharmonii Wiedeńskiej pod dyr. Willy Bockosky'ego i baletu Opery Wiedeńskiej. 13.45 — W starym kinie — „Tarzan i łowcy zwierząt” — arch. film przygodowy. Wyk. Johny Weismüller, Brenda Joyce. 15.00 — Mały Lotek. 15.10 — Dla dzieci: Kopciuszek. 18.00 — Przeboje roku — prezentacja piosenek laureatów z Festiwalu w Sopocie, Kołobrzegu i Opolu. 17.00 — Sprawozdawczy magazyn sportowy. 18.00 — Bal Pegaza. 19.30 — DTV. 20.20 — Bajka na dobranoc — Upiorny Sylwester. 20.35 — „Rio Bravo” — film fab. USA. 22.50 — Wiadomości sportowe.

Program II

16.50 — „Róża dla Karl-Marx-Stadt.” — pr. estradowy NRD. 17.30 — Na zamku i w gospodzie. 18.10 — „W pustyni i w puszczy” — odc. IV, ostatni. 20.20 — Teatr TV: Aleksander Fredro — Słuby panienskie. Wystąpią: Aleksandra Karzyńska, Igor Smiatowski, Stanisława Celińska, Krystyna Chmielewska, Andrzej Zaorski. 21.35 — Karnawałowy wieczór — wystąpią: „Pro Contra” i „Novi Singers”.

proponujemy

W pierwszej serii „Kleopatry” film realizowany przez trzy lata i zakończony w 1963 roku. Koszt jego produkcji pobli wielkie ówczesne rekordy ale też przyniósł milionowe zyski. Główne role odgrywa w nim najgłośniejsze małżeństwo aktorskie świata Elizabeth Taylor (Kleopatra) i Richard Burton (Antoniusz). Przy realizacji filmu kapryśna Liz próbowała kilkakrotnie zrywać umowę z wytwórnią co wywoływało wiele sensacji. Reżyser Mankiewicz zadbał o bardzo bogatą oprawę. Wspaniałe stroje, tłumy statystów, specjalnie budowane pałace i miasta podnoszą walory widowiskowe filmu.

W Starym Kinie dwa filmy z serii Tarzana „TARZAN i AMAZONKI” oraz „TARZAN WŚRÓD ZWIERZĄT”. Te przygodowe filmy oglądane w dzieciństwie zapierały nam dech. A warto wiedzieć, że jest to jeden z najstarszych seriali jakie zna kino. Pierwsze „Tarzany” pojawiły się w 1918 roku. Potem aż 12 wytwórni zajmowało się kontynuacją tej serii. Angażowano do nich znanych lekkoatletów, kulturystów i mistrzów olimpijskich w pływaniu. Bohaterem oglądanych filmów będzie Johny Weismüller — najgłośniejszy z Tarzanów.

8.40 — Bieg po zdrowie. 9.00 — Tele-ranek. 9.40 — „W pustyni i w puszczy” — cz. III 10.40 — Antena. 11.00 — Czas i ludzie. 12.20 — DTV. 12.40 — „Na chłopski rozum”. 13.10 — Śpiewa Bogdan Paprocki. 13.25 — Nie tylko dla pań. 13.50 — Lekturey Pegaza. 14.05 — „Śpiąca królewna”. 14.45 — Losowanie Toto-Lotka. 15.00 — Program rozrywkowy. 16.00 — Drogi i bariery. 17.00 — Sprawozdawczy magazyn sportowy. 18.00 — Reportaż filmowy. 18.25 — Program rozrywkowy. 19.00 — „Ballada S-dur Fryderyka Chopina”. 19.30 — DTV. 20.20 — Bajka dla dorosłych „W małej chatce”. 20.50 — „Musisz tu wypić do dna” — odc. I filmu „DROGA”. 21.25 — „Co kto lubi”. 22.45 — Informacyjny magazyn sportowy.

W STARYM KINIE

Trafia do celu

Inżynier Emma Gapczenko z Moskwy ma pewne oko i rękę. Do tego oczywiście dochodzi



ambicja i treningi. W sumie daje to niezwykle rezultaty. Wszystkie główne zwycięstwa Emma Gapczenko odniosła za pierwszym razem. Od razu została mistrzynią Moskwy, zwyciężyła debiutując w pierwszych swoich mistrzostwach ZSRR. W roku 1971 wygrała mistrzostwa świata w Anglii, wreszcie w Monachium, na igrzyskach olimpijskich, zdobyła brązowy medal. Lalkowi łucznictwo wydaje się sportem łatwym. Że tak nie jest dowodzi choćby następujące wyliczenie: w czasie treningu i na zawodach, trzeba w ciągu kilku dni oddać kilkadziesiąt strzałów, zaś wysiłek przy jednym równa się podniesieniu 20 kilogramów!

Songi Brechta w ONZ

Gisela May jest najsławniejszą artystką NRD. W swoim repertuarze posiada 300 piosenek. Znana jest i ceniona jako interpretatorka Brechtowskich songów. Za swe artystyczne osiągnięcia otrzymała nagrodę państwową. Szczególnym wyróżnieniem był również występ galowy w ONZ z okazji 25-lecia istnienia NRD.



Dopięła swego

Sophia Loren ukończyła 40 lat. Okazja do wywiadów. W jednym z nich oświadczyła, że kiedy miała 20 była brzydka jak noc i smutna jak listopadowy wieczór. Obecnie w pełni korzysta z radości życia (zaś co do jej urody nie ma chyba sprzecznych zdań). W ostatnim filmie „Lalka gangstera” występuje obok Marcella Mastroianniego. Jej dewiza: Najlepszą kosmetyką jest szczęśliwe małżeństwo.



Pryśły zmysły

Przez trzy lata byli nierozłączną parą. Owocem wielkiej miłości jest Chiara. Owocem i ofiarą, gdyż ostatecznie związek Catherine Deneuve z Marcello Mastroiannim zakończył się rozstaniem. Ukojenia szuka popularna, francuska aktorka w pracy. W najbliższym terminie czeka ją realizacja trzech kolejnych filmów.



Dyrygują mężczyznami

Coraz więcej kobiet staje za filmowymi kamerami, zasiada w fotelach reżyserskich. Dodajmy, robią to z wielkim powodzeniem. Przykładem może być szwedzka reżyserka Ingemo Engström. W swoim kolejnym filmie pragnie przedstawić sytuację kobiety między pracą a dzieckiem.



Bitne dziewczęta?

Równouprawnienie wtargnęło również na boisko. Może niezbyt fortunnie, jak dowodzi tego mecz rozegrany w Los Angeles. Przed kilkutygodniową widownią, niemalże męską, stanęły naprzeciwko siebie dwie miejscowe drużyny „Lwi Kiel” i „Mustangi”. Mecz bootballu, nie mylić z europejską piłką nożną, jest brutalną odmianą rugby. I tym razem nie było inaczej. Po zakończeniu naliczono 16 rannych, a aż 5 musiało wyjechać do szpitala. Większość zawodniczek po pierwszym, gwałtownym występie raz na zawsze wycofała się z tej formy emancypacji.



Co nosimy w tym sezonie?



Koziołki nadal modne.

75 - ROK KOBIET!

Mężczyźni w defensywie

Tak przynajmniej twierdzi Esther Vilar, autorka kilku książek o problematyce społeczno-obyczajowej, które stały się bestsellerami. Złożyła ona protest przeciwko ogłoszeniu przez ONZ roku 1975 ROKIEM KOBIET. Vilar reprezentuje bowiem ruch antyemancypacyjny! Twierdzi wręcz, że nie kobieta a mężczyzna jest płcią ciemniejszą. Podziwu godny obiektywizm czy przewrotna taktyka? Jedno usprawiedliwia kontrowersyjną autorkę „Tresowanego mężczyzny” i „Poligamicznej płci”: sytuację kobiet oceniła ona według sobie znanych przykładów amerykańskich.

Kirk Douglas jako prezent noworoczny od redakcji.



Z nowego cyklu: APOLLO CUDZY